



ADAM WĘGŁOWSKI

PRZYPADEK RITTERÓW

TA ZBRODNIĄ WYDARZYŁA SIĘ NAPRAWDĘ

Aneta Ponomarenko i

ADAM WĘGŁOWSKI

PRZYPADEK RITTERÓW



Prolog.

Pod łukiem ledwie oświetlonej bramy poruszał się niespokojnie jakiś cień. Lepsze światło ujawniłoby zniecierpliwionego młodego mężczyznę w cylindrze, który co chwilę zerkał na zegarek, nie chowając go już nawet do kieszonki kamizelki. Szarpał złotą dewizkę, jakby to z winy czasomierza minuty wlokły się tak niemiłosiernie.

Po drugiej stronie ulicy, w niewidocznym dla młodzieńca miejscu, stał inny mężczyzna, ubrany skromniej, nie tak elegancko. Cicho grał na ustnej harmonijce jakąś tęskną melodię. Rozpoczęła się niczym szum wiatru, potem przeszła w gwizd nadjeżdżającego pociągu, aż jęła się roztopiać w rytmie kroczących stóp, stukocie podkutych kopyt, skrzypieniu powozu.

Młodzieniec w cylindrze zatrzasnął przykrywkę zegarka i schował go, jakby czas oczekiwania wreszcie dobiegł końca. Drugą dłoń mocniej zacisnął na gałce eleganckiej, staromodnej laski. Gdy odpowiednio pomanipulował przy wieńczącym ją maszkaronie, mógł wysunąć ze środka, niczym z pochwy, wąskie ostrze szpady. Sprawdzał teraz działanie mechanizmu, błyskając klingą w półmroku, a potem znów schował broń w lasce. Kliknięcie gałki zabezpieczyło ostrze. Rzeźbiony maszkaron ponownie objął nad nim pieczę.

Mężczyzna z harmonijką przestał grać. Schował instrument do lewej kieszeni, obok książki Marka Twaina, a w prawej namacał rewolwer. „To nie Dzik Zachód”, pomyślał, ale mimo to trzymał dłoń na rękojeści broni.

Oczy obu niewidzących się nawzajem mężczyzn spoczęły na tym samym punkcie - na nadjeżdżającym bez pośpiechu powozie. Każdy z nich uważał, że wszystko zostało uzgodnione, ale mimo to jeden i drugi zrobił krok do tyłu, głębiej w mrok. Obaj czekali, aż cel się zbliży. Wtedy będą mieli dowód. Czarno na białym.

Był wieczór, a my byliśmy młodzi. Mieliśmy mnóstwo wolnego czasu i nic do stracenia. Na wszystko było nas stać. Przynajmniej w przerośni. Dobrze pamiętam, że pogoda w Paryżu tej marcowej nocy była wyjątkowo dobra. Wiatr, choć chłodny, dał tylko z lekka, rozpryskując na nas strącone z dachów i drzew drobne krople deszczu.

- Czuję się jak rabuś - powiedziałem.

- To dlatego tak ciągle poprawiasz kapelusz? - spytał Ernest. Noc była księżycowa, ale nie na tyle, bym mógł zauważyć charakterystyczny błysk zębów mojego druha. Dopiero gdy Ernest podniósł lampę, zobaczyłem jego uśmiech w pełnej krasie. - Chcesz się cały pod nim schować? - zakpił.

- Nie, po prostu strasznie mnie uwiera - odparłem, poprawiając rondo kapelusza. - Muszę jutro wymienić go na większy. A ty nie świeć tak tą lampą. Osłoń ją, na miłość boską, przecież mieliśmy nie rzucać się w oczy. Wzięłeś zapasowe świece? - chyba się denerwowałem.

- A niby co tak wypycha mi kieszeń? Pistolet? Spokojna głowa, Bonaparte - przyjaciel poklepał mnie po plecach.

- Nie nazywaj mnie tak - warknąłem. Wprawdzie ojciec faktycznie dał mi na imię Napoleon po cesarzu (którego, jak spora część Polaków, mój rodzic ubóstwiał), ale bonapartystą nie byłem. I nie lubiłem, gdy Ernest bawił się moim kosztem. - Weszliśmy tu niczym złodzieje, więc mogą nas wziąć za hieny cmentarne. Ponoć były tu ostatnio takie przypadki - wróciłem do zasadniczego tematu.

Ernest machnął ręką, która niczym spadające ostrze gilotyny miała skończyć z moimi obiekcjami. Uspokajał, że to tylko zabawa i przygoda. W końcu, kto mógłby zarzucić nam - młodzieńcom dobrze urodzonym i w miarę majątnym - że jesteśmy rabusiami grobów?! Przecież to oczywiste, że zaszliśmy na cmentarz PereLachaise, aby zadumać się nad grobami Moliere'a czy La Fontaine'a i oddać cześć ich niepokornym duchom. Nie wiedzieliśmy wtedy, że wkrótce dołączy do nich jeszcze jedna piękna postać, szczególnie bliska sercom polskich emigrantów. Nasz najbardziej chwytający za serce artysta. I nie mówię tu o Słowackim, też zmarłym w roku 1849. Zresztą on miał trafić na cmentarz Montmartre. Ale mniejsza o tego lucyfera...

Księżyc przebijał się przez chmury, kiedy zaczęliśmy przemykać się między rzędami grobów. Nie było w tym nic przyjemnie ekscytującego, jak się wcześniej łudziłem. Parę razy wręcz włos zjeżył mi się na głowie przez dziwnie wyglądający cień albo posąg. Wolałbym, żeby nasza lampa dawała więcej światła, ale przecież nie chcieliśmy przyciągnąć jej blaskiem jakiegoś wścibskiego stróża.

Ernest sprawiał wrażenie, iż jego wyobraźnia odporna jest na wszelką cmentarną grozę. W przeciwieństwie do mnie, wcale nie był na nią podatny. Kroczył śmiało, podczas gdy ja zaczynałem już trochę żałować tej nocnej eskapady.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił wreszcie mój przyjaciel i dałbym głowę, że znów wyszczerzył zęby. - Oto słynny grobowiec hrabiny Elżbiety Aleksandrownej Stroganow-Demidow, niech jej ziemia lekką będzie.

- Wchodzimy? - zapytałem cicho.

Ernest gorliwie przytaknął i pierwszy zaczął wspinać się w górę mauzoleum. Ruszyłem za nim. Przechodząc, pilnie baczyłem na sterczące z boków grobowca węże i

wilcze łby, jakby w ciemnościach miały mnie ukąsić.

- I jak znajdujesz tutejszą atmosferę, Napoleonie? - dobiegło mnie z góry sarkastyczne pytanie Ernesta. Mój druh dotarł już bowiem na szczyt mauzoleum i przysiadł na schodkach.

- Cóż, siedzę sobie w grobowcu z widokiem na cmentarz - odparłem, gdy dołączyłem do przyjaciela. - Pośród wilków, żmij i innych cudaków, którymi kazała przyozdobić swój pośmiertny pałacyk piękna hrabina. Czy można znaleźć sobie w Paryżu lepsze towarzystwo na zimną noc?

Zachichotaliśmy. Do odwiedzenia grobowca hrabiny namówili nas znajomi. Zapewniali, że w mauzoleum można poczuć niezły dreszczyk emocji, a to ze względu na niezwykłą legendę otaczającą rosyjską arystokratkę. Primo, zmarła piękna, młoda i bogata. Secundo, słynęła z organizowania tzw. wieczorów z duchami, na których działy się rzeczy dosyć dziwne. Tertio, grobowiec nie miał być bramą hrabiny z tego świata do zaświatów, lecz stamtąd do nas! I tego właśnie należało dowieść...

Podobno sama rodzina hrabiny Demidow chętnie przystawała na odwiedziny grobu Elżbiety. Wręcz im na tym zależało, niczym na towarzyskich wizytach. Osobiście nie rozumiałem, dlaczego duch hrabiny miałby woleć błąkać się po ziemskim padole, zamiast stanąć u świętego Piotra. Jednak dla takich niespokojnych głów jak nasze rzecz warta była sprawdzenia.

- Jest tu całkiem sielankowo. Szkoda, że nie wzięliśmy buteleczki wina - stwierdził Ernest. Odparłem mu, że to nawet lepiej. Gdybyśmy osuszyli ją zbyt szybko, to musielibyśmy rzucić winę na ducha hrabiny, spragnionego krwistego, mocnego napoju.

Gawędziliśmy jeszcze chwilę, wymieniając banalne nieco uwagi na temat cmentarza, a potem jakby zapadliśmy się w siebie - trochę już zmęczeni, znudzeni i senni...

Kiedy usłyszałem dziwne zgrzyty, zdawało się mi, że śnię. Zamrugalem szybko oczami, aby wrócić do rzeczywistości. Uświadomiłem sobie jednak pomyłkę - to nie były majaki. Upiorne odgłosy się powtórzyły! Przeszedł mnie dreszcz. Całe szczęście hałasy nie dochodziły z mauzoleum hrabiny (co tu dużo mówić, wtedy natychmiast wzięlbym nogi za pas!), ale i tak poczułem, jak włosy pod kapeluszem stają mi dęba.

- To gdzieś tam, nie sądzisz? - Ernest podniósł lampę z dopalającą się świecą i wskazał ręką na prawo od nas.

Przytaknąłem i spytałem niepewnie: - Co to może być?

- Sprawdźmy - odparł lakonicznie Ernest z pozornym spokojem, choć poruszony był nie mniej ode mnie. Przez moment starałem się go powstrzymać, ale szybko wzięłem się w garść. Nie mogłem przecież wyjść na tchórza. Ścisnąłem więc mocniej swoją pamiętkową

laskę z niespodzianką i zszedłem za przyjacielem na cmentarną ścieżkę.

Poruszaliśmy się powoli, bezszelestnie, przy słabiutkim świetle ślepej latarni. Czujnie nasłuchiwalismy. Tylko tak mogliśmy zlokalizować miejsce, z którego dochodziły dziwne hałasy. Widać przecież było niewiele. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymaliśmy się, bo zgrzyty nagle umilkły.

- Wracajmy. Widać tu tylko płataninę grobów, jeden podobny do drugiego. Cokolwiek się działo, chyba już tego nie odkrywamy - szepnąłem.

- Może to te hieny cmentarne, o których mówią plotki? Złoty ząb czy obrączka to w dzisiejszych czasach łup nie do pogardzenia - mruknął Ernest. - Jeśli to rabusie, to jeszcze powinniśmy ich usłyszeć - dodał.

- Pewnie to grabarz napił się i teraz się tłucze - wzruszyłem ramionami. I zaraz dobiegły do nas kolejne dziwne dźwięki. Tym razem nie zgrzyty, lecz miarowe uderzenia.

Złapałem Ernesta za ramię i wskazałem ręką jakieś mdłe światełko poruszające się kilkadziesiąt stóp od nas, za drzewami. Po chwili zgasło. Ale wiedzieliśmy już, gdzie szukać, ruszyliśmy zatem w tym kierunku. Drżałem, ale szedłem, ciągnięty jakąś niepojętą ciekawością.

I tak trafiliśmy do piekła.

Diabeł z PereLachaise gorączkowo uwijał się przy grobie. Nawet nie słyszał, jak podchodzimy. Gdy byliśmy kilka kroków od niego, Ernest otworzył osłonę naszej lampy. Buchnął snop światła i... odebrało nam mowę. Zobaczyliśmy obnażoną ludzką sylwetkę klęczącą koło rozkopanego grobu i pojękującą*. Pierwsza moja myśl była taka, że to ktoś żywcem zakopany wy dostał się ze świeżej mogiły, niczym upiór. Zaparło mi dech.

Zauważyłem jednak po chwili, że półnaga postać w istocie pochyła się nad zwłokami wyciągniętymi z grobu. Pociętymi szpadlem, rozczłonkowanymi, sprofanowanymi. Zwłokami, w których ten półnagi człowiek niemal się tarzał. Nie stękał z wysiłku, lecz z rozkoszy.

Dotarło to do nas i wręcz sparaliżowało. Spojrzeliśmy na siebie z Ernestem, osłupiali. Dam głowę, że tym razem twarz mojego przyjaciela była równie przerażona, jak moja.

- Brać go! - wrzasnął Ernest, wyrывая nas z tego paraliżu. Ale złoczyńca pozbiierał się już z ziemi i rzucił do ucieczki, porywając przyodziewek, który porzucił koło grobu.

* M. Janion, Wampir. Biografia symboliczna; E. Petoia, Wampiry i wilkołaki.

Naprawdę chciałbym, żebyśmy mieli przed sobą tylko cmentarnego rabusia. Wiedziałem jednak, że jest inaczej. Że dotknęliśmy czegoś potwornego, co nieodwracalnie nas skaziło i będzie śniło się po nocach.

Ernest tymczasem, nie tracąc czasu na takie rozmyślania, długimi susami sadił za uciekinierem. Ruszyłem za nimi. Zamierzałem cisnąć w nogi zbiega swoją laską, ale niewiele widziałem. A zresztą wystraszyłem się, że zniszczę rodzinną pamiątkę.

- Dopadnę cię, ścierwo! - sapał Ernest niczym rozjuszony byk. Rzucił kamieniem za uciekającym, ale chybił. Tymczasem ja potknąłem się o wygaszoną lampę pozostawioną przez szaleńca i runąłem na ziemię. Kiedy wstałem, obaj - ścigany i ścigający - znikli już z mojego pola widzenia. Widziałem za to w bladym świetle księżyca zmasakrowane ludzkie zwłoki, domagające się, by ktoś zwrócił im godność. To było ciało kobiety. Zapewne niedawno pochowane. Zasłoniłem oczy i przykryłem je własnym płaszczem. Zemdliło mnie. Odszedłem kilka kroków na bok i ciężko oddychałem.

Gdy przestało mi się kręcić w głowie, uświadomiłem sobie, że właściwie nie bardzo wiem, co dalej począć. Zastanawiałem się, czy czekać na powrót Ernesta, czy poszukać stróża, czy uciekać. Przeszła mi bowiem przez głowę przerażająca myśl, że ktoś może mnie znaleźć nad zbezczeszczonym grobem i uznać za sprawcę tej ohydy. Uznałem więc, że najlepiej będzie wrócić do mauzoleum hrabiny Demidow. Prędzej czy później Ernest wpadnie na to, by mnie tam szukać.

Drogę do grobowca rosyjskiej damy na szczęście pamiętałem. Po kilkudziesięciu krokach rozpoznałem wysoką sylwetkę mauzoleum. Dotarłem do schodów i z ulgą westchnąłem. Kto by pomyślał, że z taką radością powitam wilcze łby i węże. Jednak ze zmęczenia potknąłem się w ciemnościach i upuściłem laskę, która potoczyła się gdzieś w zarośla. Schyliłem się i zacząłem jej szukać, aż w końcu wymacałem dłonią maskarona na gałce. Wyprostowałem się energicznie z odnalezioną zgubą. Wtedy poczułem nagły ból, smak krwi i zapadłem się w ciemność.

Kiedy się rozviała, już świtało, a nad sobą zobaczyłem zatroskaną twarz Ernesta. Pochylał się nade mną także ktoś w mundurze. Obmacał mi głowę. Syknąłem z bólu.

- Dobrze, że wróciłeś z zaświatów - mojego przyjaciela nie opuszczał dobry humor, choć w rękę trzymał zakrwawioną chustę. Widząc moje przerażone spojrzenie, lekko się uśmiechnął. - To tylko krew z nosa. Chyba się potknąłeś i uderzyłeś głową w jakiś wystający element grobowca. Nie zazdroszczę - stwierdził.

Lekko dotknąłem obolałej czaszki. - A co z tym potworem? - zapytałem.

- Niestety, umknął - odparł mundurowy. - Oczywiście, jeśli wierzyć w panów wersję.

Spojrzałem na niego zaskoczony i nerwowo podrapałem się w szyję. Mimo wielkiego guza na głowie również tam czułem bolesne swędzenie. Najwyraźniej pogryzły mnie jakieś insekty. „W panów wersję!”, powtórzyłem w myślach, skonfundowany.

- Potwierdził ją przecież stróż, którego spotkałem w bramie - zirytował się Ernest. - Też widział szaleńca wypadającego na ulicę!

Sprawa nie była jednak taka prosta. Okazało się, że francuska policja nie wykluczała żadnej teorii. Na przykład, że byliśmy w zмовie z szaleńcem, który zbezcześcił zwłoki. Paradoksalnie nasze rzekome „sataniczne upodobania” miała potwierdzać wersja wydarzeń podana przez nas policji! Czyli fakt, że wybraliśmy się nocą na grób tajemniczej hrabiny. Dziwna była ta logika śledczych.

O incydencie poinformowali rodzinę martwej biedaczki, której ciało padło ofiarą szaleńca, oraz rodzinę Demidowów. Na szczęście wszyscy oni uwierzyli w naszą wersję wydarzeń. Obyło się więc bez kompromitacji. Za to, ku naszemu zdziwieniu, nazajutrz zajechał pod nasze lokum powóz. Przysłał go sam Anatol Demidow - syn hrabiny Elżbiety. Zapraszał nas do złożenia mu wizyty! Zaskoczyło nas to, bo cmentarne wydarzenia były tyleż interesujące, co stawiające nas w dwuznacznym świetle (oczywiście bezpodstawnie). Postanowiliśmy jednak nie tracić rezonu i stawiliśmy się przed słynącym z bogactwa Demidowem, od niedawna księciem San Donato, w jego paryskiej rezydencji.

Mówiąc w dużym skrócie, okazało się, że wcale nie żywił do nas urazy o próbę sprawdzenia rodzinnej legendy. Wręcz przeciwnie, serdecznie się przy tym uśmieł. Wielce nas to zdziwiło - w końcu chodziło o jego matkę! Ale być może miał specyficzny stosunek do jej zainteresowań. A może i do kobiet w ogóle? Ciągnął się za nim skandal wynikający z rozvodu z żoną z rodu Bonapartych. Parę, choć czującą ku sobie pociąg, dzieliły ponoć niedające się przewyciężyć różnice charakteru.

Tak czy owak, Demidow wysłuchał naszej relacji z wielkim zainteresowaniem i poprosił, aby nie pomijać nawet najbardziej drastycznych szczegółów. Zadośćuczyniliśmy zatem jego prośbie.

Następnie Rosjanin zapytał mnie... o imię. - Dlaczego właśnie Napoleon, panie Kord?

- Jak się wasza książęca mość domyśla, z powodu cesarza - odparłem z pewną dumą. - Mój rodzic walczył u jego boku.

- Pewnie pan nie uwierzy, ale mój ojciec też cenił Napoleona, choć sam był Rosjaninem - Demidow pokiwał głową. - A ja Bonapartego wręcz uwielbiam - dodał po chwili.

O rodowodzie żony oczywiście nie wspomniał, a my nie mieliśmy zamiaru poruszać tej kwestii. To byłoby faux pas.

- A miał wasza książęca mość okazję stanąć z nim oko w oko? - rzucił Ernest, trochę dwuznacznie.

- Nie, ale mój starszy brat Paweł walczył przeciw armii Napoleona pod Borodino - odparł Demidow.

- Mój ojciec też tam był! - podchwyciłem. - Dostał postrzał w ramię. Stracił też dwa palce - wyjaśniłem, ale dość powściągliwie, żeby nie wyglądało to na próbę licytowania się z gospodarzem.

Demidow znów pokiwał głową, a potem podszedł do mnie, spojrzał mi w oczy i stwierdził: - Strasznie pan blady. Czy ta krew z nosa leciała panu przez pół nocy?

Uśmiechnąłem się niepewnie. Cóż mogłem powiedzieć?

- Mam dla panów propozycję, której, jak mniemam, winniście być radzi - oznajmił Demidow. - Wyjeżdżam właśnie do mojej willi we Florencji. Zapraszam serdecznie. Ostrzegam, że odmowy nie przyjmę! Po pierwsze, chcę, żebyście zobaczyli, jak żyją Demidowowie na tym świecie, skoro już zobaczyliście, z jaką pompą potrafią wyszykować się na tamten. Po drugie, czuję się odpowiedzialny za stan pańskiego zdrowia - tu książe wskazał na mnie. - To może być coś poważniejszego, a tokański klimat dobrze panu robi.

Zdumieni, wymieniliśmy z Ernestem spojrzenia. Co tu dużo mówić, była to dla nas nie lada nobilitacja, choć i my nie wypadliśmy wszak sroce spod ogona. Oczywiście, że nie mogliśmy księciu odmówić. Ale ostatecznie pojechałem do Florencji tylko ja. Ernest musiał zostać w Paryżu. Policja zażądała, aby pomógł w zidentyfikowaniu szaleńca z cmentarza. Zresztą sam Ernest także chciał uczestniczyć w poszukiwaniach łotra, który - jak się okazało - miał na swoim koncie kilka podobnych aktów na innych paryskich cmentarzach.

Kiedy zegnałem się z przyjacielem przed wyjazdem do willi Demidowa, nawet nie podejrzewałem, że widzę go po raz ostatni. We Florencji dostałem od niego jeszcze kilka listów, ale to wszystko... Pamiętam, że w jednym z nich donosił o sztuczce, za pomocą której proponował złapać nieuchwytnego szaleńca, bezczeszczącego groby. Zasugerował władzom, by po zamknięciu cmentarza na noc, instalować przy wejściu pistolety pułapki. Podczas próby wdarcia się do środka mogłyby zranić intruza, a przynajmniej zaalarmować stróża. Plan był dobry, choć martwiłem się, że ofiarą pistoletu pułapki mógłby również paść ktoś podobny do nas - jakiś poszukiwacz przygód z dreszczykiem. Wiele grobowców miało w końcu tajemnice i legendy, które działały na romantyczne umysły!

Oprócz tego Ernest pytał mnie niedyskretnie, czy w willi Demidowa nie pojawiła się sławetna pani Kalergis, którą ponoć już w Paryżu rosyjski arystokrata podkradał z koncertów chorowitego Chopina. Intrygowało go również, czy Demidow w istocie jest takim zapalonym kolekcjonerem napoleońskich pamiątek. Co do tego nie miałem akurat żadnych wątpliwości. Pytanie, czy sam - jako bądź co bądź też Napoleon - również miałem dołączyć do tej kolekcji,

skwitowałem szerokim uśmiechem.

Florencką wizytę wspominam z dużą przyjemnością. Rodzina Demidowów, która swoją fortunę zbudowała na stali, srebrze i złocie, była bajecznie bogata. W willi było to widać na każdym kroku. Książę San Donato zgromadził tu całą galerię dzieł sztuki. Pokazał mi na przykład pewien arcyciekawy eksponat z kolekcji broni, który jego zdaniem mógł mnie szczególnie zainteresować jako Polaka. Był to miecz, nabyty przez Demidowa od jednego z jego znajomych*. Dziś wiem już na pewno, że orężem tym był sam Szczerbiec - miecz koronacyjny polskich władców, zrabowany przez Prusaków z Wawelu i od lat tułający się od kolekcjonera do kolekcjonera. Już wtedy zrobił na mnie niebywałe wrażenie. Szczególną uwagę zwróciłem na napisy na jelcu. To niewiarygodne, ale jeden z nich okazał się... inwokacją w języku hebrajskim, choć wyrytą w alfabecie łacińskim. „Con citomon Eeve Sedalai Ebrehel”, głosiła. Razem ze zdaniem po łacinie: „Quicumque hec nomina Dei secum tulerit nullum periculum ei omnino nocebit”, całość znaczyła mniej więcej (czego dowiedziałem się po konsultacji ze znajomym Demidowa, lingwistą): „Żarliwą wiarę budzi Bóg Wszechmocny i Wszechwiedzący. Temu, kto te imiona Boga będzie ze sobą nosić, żadne niebezpieczeństwo nie zagrozi”*

* Był to książę Dymitr Łabanow-Rostkowski - przyp. red.

* J. P. Sobolewski, „Szczerbiec. Insygniumamulet Bolesława Pobożnego”, w: Fasciculi Historici Novi. Z dziejów średniowiecznej Europy środkowowschodniej, t. 2.

Tylko skąd żydowski napis na mieczu polskich królów? Oto zagadka. Demidow zapewnił, że nie ma wątpliwości co do autentyczności miecza. Cena, jaką zapłacił, miała o tym świadczyć najdobitniej. A hebrajski napis uznał za zaklęcie, jakim Żydzi specjalizujący się w kabale chcieli ochronić najwyraźniej życzliwego im władcę...

Powóz podskoczył na wertepach.

Kamil Kord odłożył wspomnienia z młodości ojca, spisane w czasach, gdy jego rodzic śmiertelnie rozchorował się na gruźlicę. Akurat o tym ostatnim szczególe syn starał się nie pamiętać.

Westchnął ciężko i wyrztał przez okienko powozu. Miał przed sobą jeszcze kawał drogi do Nowego Targu i dalej, w góry... Ale tam już oczekiwała na niego nagroda! Co tam górale, tak łasi dudków przyjezdnego jaśniepaństwa, że gotowi umiłać mu życie na każdym kroku, prawdziwa atrakcja miała postać czarownej, młodej i dobrze urodzonej kobiety, z którą Kamil listownie się umówił. Była Polką, jak i on. Mieszkała jednak za północną granicą, w Warszawie, czyli pod carskim, nie cesarskim berłem. Nazywała się Maria.

Kamil Kord wiązał z młodą damą o perłowych włosach poważne nadzieje. Usilnie

starał się nie zaprzętać umysłu zbyt śmiałymi marzeniami, ale czasem trudno było się od nich oderwać.

Najlepszym lekarstwem na te fantazje miała być lektura.

Kord spojrział jeszcze raz na zapiski ojca. Historię o wampirze z PereLachaise bardzo lubił, ale ten kolejny wątek, żydowski, wręcz go odstręczał. Kamilowi brakowało też w ojcowskich gawędach kobiet. Irytowało go ponadto, że o pewnych wydarzeniach pisał szczegółowo, a okresy kilkutygodniowe zbywał paroma ogólnikowymi zdaniem. Kamil sam marzył o karierze literackiej i dziennikarskiej, więc zwracał na to uwagę, choć póki co nie miał żadnego wykształcenia uniwersyteckiego. Był dziedzicem małej naftowej fortuny i żył jak chciał, między Paryżem a Krakowem. Stać go było na to.

Ziewnął dyskretnie i przewrócił kilka stron. Znowu cofnął się z roku 1882 do 1849. Przynajmniej do czasu, aż jego wehikuł się zatrzyma.

Część I

Zbrodnia

I

6 marca 1882, Lutcza

Szła wiosna. Było słoneczne, marcowe popołudnie. Śnieg na polach szybko topniał, odkrywając osobliwości skryte przez zimowe miesiące pod mroźnym płaszczem. Jednak chłopcy woleli pokotłować się i pobiegać, niż śledzić tajemnice budzącego się na nowo życia. Pędzili po polnej drodze, rozpryskując stopami kałuże błota. Im wyżej, tym lepiej. Im bardziej jeden zapaskudził drugiego, tym było weselej. W końcu czerwoni i mokrzy zatrzymali się, ciężko dysząc.

- Patrz! - zziąjany Piotrek ze zdziwienia wytrzeszczył oczy i wskazał palcem coś za plecami starszego brata. Zaciekawiony Józek natychmiast odwrócił głowę. Młodszy tylko na to czekał, z byka rąbnął go w brzuch i pchnął w błotnistą kałużę. Zaatakowany stracił równowagę i runął prosto w największą breję.

- Ty świnió! - wrzasnął, kiedy wrócił mu oddech po nieoczekiwanym uderzeniu. Próbował podnieść się z lepkiego błočka, ale za każdym razem ślizgał się i lądował z powrotem w mazi.

Obserwując te żałosne próby, Piotrek zanosił się śmiechem. Od tego rechotu aż rozboleł go brzuch. - Sam jesteś świnią! - odrzyknął. - Chciałeś szukać w lesie sadzonek? Albo patyków? Żołędzi se poszukaj! - po czym zaczął chrumkać i ryć stopą w ziemi.

Na jego nieszczęście starszy brat w końcu wykaraskał się z błota, co było zresztą do przewidzenia. Podobnie jak złowrogi błysk, jaki Piotrek dostrzegł w jego oczach. „To już nie świnią, o nie! To wilk zły, który ostrzy na mnie kły!”, powtórzył w myślach rymowankę i wziął nogi za pas. „Chodu, chodu!”, zagrzewał się do szybszego biegu, aby uniknąć straszliwej zemsty z rąk Józka.

Kiedy pędził, widział przelatujące obok patyki i pecyny błota, szczęśliwie jednak żaden z tych pocisków go nie trafił. Po kilku nieudanych próbach Józek zrozumiał, że obrał złą taktykę. Tylko tracił czas, przystając, zbierając gałęzie i lepiąc piguły. Postanowił wziąć brata na wytrzymałość. „Zobaczmy, ile jeszcze wytrzymasz, gnoju”, myślał, cierpliwie sadząc susy za Piotrkim.

Biegli i biegli. Byli już na gruntach Dudka, kiedy młodszy zaczął słabnąć. Przebierał nogami coraz ślamazarniej. Biegając wzdłuż parowu płytko wypełnionego wodą i błotem, rozglądał się niepewnie na boki. Niezgrabnie wymijał rzadkie, młode drzewka, przedzierał się przez jodły i kaliny, aż wreszcie siły opuściły go na tyle, że długie ręce starszego brata dosięgły jego ramion. Wytracony z równowagi chłopak stoczył się na dno parowu, lądując

obok strumyka, a po drodze fikając jeszcze efektownego kozła.

Na ten widok Józkowi przeszła wcześniejsza złość, ale postanowił nie dać nic po sobie poznać. Tym bardziej, że obaj bracia byli już tak umorusani, iż w domu niechybnie czekały ich smary. Nie było mu więc do śmiechu. W końcu własną skórą odpowiadał za młodszego o parę lat brata i jego wygłupy. Z marsową miną zszedł w dół parowu. Zbliżając się do malca, groźnie strzelił palcami, jakby zamierzał mu zaraz dołożyć.

Piotrek zapiszczał lękliwie i zaczął się rozglądać za jakimś kijem do obrony. Wreszcie chwycił coś długiego. Niestety, domniemany kij natychmiast obwisł mu w dłoni, opadając niczym zwiędły kwiat.

Tego Józek już nie wytrzymał i parsknął śmiechem. - Ale żeś sobie wybrał broń! - zakpił.

Wściekły malec cisnął mu w twarz swój niedoszły oręż i próbował zerwać się do dalszego biegu. Jednak był na tyle wyczerpany, że po paru krokach potknął się i znów runął płasko na ziemię, prosto na twarz.

- Jezu! - zajęczał tymczasem Józek, ściągając z twarzy dziwne „coś”, którym trafił go Piotrek. - Jezus Maria, to ludzkie włosy... - wyszeptał, obracając w dłoniach gruby, mokry, jasnobrązowy warkocz.

W tej samej chwili leżący w topniejącym śniegu Piotrek zaczął wrzeszczeć wniebogłoso. Oto odkrył, że tkwi nos w nos z gnijącym ludzkim czerepem, z rzadka już tylko okrytym skórą i włosami. Z oczodołów wyzierały na niego resztki gałek ocznych, nad którymi dziwnym trafem przetrwały prawie nienaruszone powieki. Z długimi, pięknymi rzęsami.

6-7 marca 1882, Lutcza

„Dolna połowa ciała spoczywa w strumyku, a górna na prawym brzegu. Trup leży na brzuchu i widać, że ze środka wylały się wnętrzności. Prawą nogę ma wyciągniętą, a lewą mocno zgiętą w kolanie. Obie kończyny są częściowo odarte z tkanki mięśniowej. Także z pośladków sterczą tylko kości. Ramion widać jedynie górną część. Reszta jest przyciśnięta pod tułowiem. Na nogach trupa widać buty z cholewami, czubkami skierowane do ziemi.

Charakterystyczne, że lewa noga jest obwinięta poniżej kolana szmatami. Resztki ubrania widać po obu stronach ciała. Białe i niebieskie szmaty leżą też zwinięte na biodrach trupa. Plecy są prawie zupełnie nagie, wyziera z nich dziura wyżarta do łopatek i kręgosłupa. Koszula zasłania tylko lewy bok i piersi. Na ramionach sterczy też porwany i zabłocony szary kaftan. Głowa trupa jest wręcz wbita w błoto. Z tyłu sterczą z niej nagie kości czaszki, z przodu pokryty błotem kawałek twarzy. Zwłoki są w zaawansowanym stanie rozkładu. Sama zgnilizna***, zanotował doktor Bieliński, wezwany do oględzin.

* Analiza medyczna, cytaty z dokumentacji i opis przebiegu sprawy za: L. Blumenstok „Sprawa Ritterów”, w: „Przegląd Lekarski” 1886; krakowski „Czas” z lat 1882-1886; M. Cieśla, J. Żyndul, „Sprawa Ritterów.

Wokół kręciło się w sumie osiem osób z komisji sądowo-lekarskiej, która przyjechała do Lutczy z pobliskiego Strzyżowa. Terenu pilnowali żandarmi, wezwani przez Piterów - rodzinę chłopców, którzy odnaleźli zwłoki. Jako pierwszy zjawił się funkcjonariusz Jan Gajda. Pomimo że nadciągał zmierzch, wokoło gromadziło się coraz więcej gapiów. Dlatego Gajda i jego koledzy musieli co jakiś czas grzecznie ich odganiać. Nie zawsze dawało to skutek. Ktoś w tłumie zaczął głośno dzielić się swoimi podejrzeniami w sprawie domniemanej zbrodni. Doktor Bieliński ciekawie nadstawił ucha.

- To zwierzę czy człowiek? - przeszkodził mu żandarm.

- Chyba pan widzi - odparł zdziwiony pytaniem Bieliński. - To kobieta.

- Ale mnie się rozchodzi o to, kto to zrobił - nie ustępował żandarm, zupełnie nieświadom, że lekarz chce się go jak najszybciej pozbyć.

- Może ona sama? Kto to wie? - mruknął doktor. - Ciemno jest. Więcej już tu nie wypatrzę. Do sekcji zwłok wezwijcie na jutro magistra Maydla z Frysztaku.

Nazajutrz komisja znów zebrała się wokół ciała. Maydl zapoznał się z opisem Bielińskiego i go potwierdził. Potem przełożono zwłoki na wieko trumny i przeniesiono na wcześniej przygotowany stół. Bieliński i Maydl cicho wymieniali uwagi, co jakiś czas coś

zapisując.

*Aktualizacja legendy mordu rytualnego w Galicji końca XIX wieku”, w: Kwestia żydowska w XIX wieku. Spory o tożsamość Polaków; B. P. Harston, Sensationalizing the Jewish question.

- W oczodołach resztki gałek ocznych i powiek... Nad kolcem nosowym kawałek skóry... Prawa szczęka złamana w okolicach brody... Na szyi same kości. Został tylko jeden cienki kawałek skóry biegnący od brody do resztek krtań i kości gnykowej... Skóra na piersiach w plamach. Klatka piersiowa wzdęta... Brzuch jakby rżnięty? - kiedy chirurg Maydl potwierdził, Bieliński kontynuował: - Za paznokciami rąk nic, prócz schodzącej z palców skóry, no i błota... Skóra na podudziach pokryta pęcherzami... Nogi zawinięte szmatami i sznurem...

Mokre łachmany spadły ze stołu na ziemię.

To właśnie te szmaty i sznur pomogły zidentyfikować zwłoki. A może raczej potwierdzić wcześniejsze przypuszczenia. Niejaka Regina Mních z Lutczy zeznała, że właśnie takim domowej roboty sznurkiem z węzłkami obwiązywała szmaty na nogach jej krewniaczka Franciszka Mníchówna. Jasnobrązowe warkocze ostatecznie potwierdziły identyfikację.

Jak ustaliła komisja śledcza, zmarła miała około 35 lat. Była sierotą i panną. Zwykle mieszkała w domu swojej ciotki, za rzeką i kościołem. Jakieś sześćset kroków na południowy wschód od parowu, w którym ją znaleziono. Zmierzono też odległości do najbliższych sąsiadów: Felberów, Stochlińskich i Ritterów. Ich zabudowania leżały około czterystu kroków od miejsca zamieszkania Mníchówny, niedaleko polnej drogi do Krasnej.

Do parowu wiodła teraz całkiem nowa ścieżka, świeżo wydeptana przez nieustępliwych gapiów. Jednak widok, który mieli przed sobą Maydl i Bieliński, nie był przeznaczony dla postronnych. Lekarzy czekały szczegółowe oględziny wewnętrzne zwłok.

Zaczęli od czaszki. Nad ciemieniem znaleźli „podbiegnięcie krwawe wielkości talara”, jak zanotowali. Odpowiadające mu fragmenty mózgu też były podbiegłe krwią.

Potem przeszli do klatki piersiowej. „Płuca nie przyrosłe, nieco przekrwione, pod nożem trzeszczą. W worku sercowym około 25 gram płynu. Serce nieco stłuszczone”, zapisali.

Niżej, w żołądku, znaleźli resztki kapusty z fasolą. Taki był ostatni posiłek ofiary. W jelitach stwierdzili nieco kału.

Wątroba denatki wydawała się nieco stłuszczone, tak samo jak nerki.

Na macicy obducenci znaleźli kilka cięć. Kształtem przypominały trójkąt zwrócony

ostrzem w dół. Widać też było ślady po łożysku. I jeszcze coś lekarze zanotowali w okolicach pociętego podbrzusza: „zupełny brak części płciowych zewnętrznych włosom pokrytych”.

- Trzeba zabezpieczyć te rzeczy - powiedział zmęczony Maydl i otarł pot z czoła. Ślady cięć na brzuchu i uszkodzenia macicy wydały mu się tak ważne dla sądu, że wyjął badany organ i oddzielił uszkodzony kawałek skóry. W obecności komisji włożył je do słoja i opieczętował. Jako materiał dowodowy zabezpieczono też warkocz i charakterystyczny sznurek zdjęty z nogi Mnichówny. Potem ciało złożono do trumny.

Maydl bawił się kilkoma listkami, które wypadły na stół z warkocza kobiety. Jakby się zastanawiał, czy włożyć je do trumny, czy do zapieczętowanej paczki. Z zamyślenia wyrwał go Bieliński. - Czas porozmawiać z sędzią - powiedział. Maydl skinął głową i rzucił listki na ziemię.

Lekarze zapowiedzieli sędziemu, że potrzebują więcej czasu na wydanie orzeczenia. - To skomplikowany przypadek. W grę wchodzi wiele czynników - argumentował Bieliński. Sędzia dał im pięć dni. Do 12 marca.

14 marca 1882, Lutcza, Strzyżów

Oficer Ponar miał 48 lat i podczas swojej służby widział już różne rzeczy. Kiedy jednak przeczytał opinię rzeczoznawców w sprawie młodej kobiety z Lutczy, poczuł wstrząs. Czytając podobne raporty w młodości, wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby coś takiego spotkało jakąś jemu bliską osobę. Z latami i kolejnymi sprawami nabrał do swej pracy dystansu. A po prawdzie to i grono bliskich bardzo mu się zmniejszyło.

Ponar wciąż był w sile wieku, lecz od wielu lat wiódł samotnicze życie. Mieszkał w Strzyżowie. Kobieta, z którą przestawał, zachowała jeszcze resztki młodzieńczej urody, ale do ożenku się jej nie spieszyło. Może właśnie dlatego z nią był. I dlatego, że nie pytała, czym się Ponar dokładnie zajmuje. O tym za żadne skarby by jej nie powiedział, z obawy, że odebrałoby to resztki dziewczęcego uroku, jakim rozjaśniała się jeszcze od czasu do czasu jego kochanka.

Pociągnął więc łyk herbaty i czytał dalej, co pisali lekarze: „Franciszka Mnich nie umarła w miejscu, w którym ją znaleziono, lecz dopiero po śmierci w to miejsce została przeniesioną. Przypuścić też nie można, aby trup trzy i pół miesiący na powietrzu, deszczu i błocie leżący, niektóre części tak zachowane posiadał, jak to na rękach, plecach i piersiach Franciszki Mnich spostrzec się daje”.

Ponar i jego ludzie przepytali miejscowych, kiedy kobieta znikła. Jej ciotka nie była pewna, mówiła, że stało się to w którąś z adwentowych niedziel: 27 listopada lub 4 grudnia 1881 roku. Cztery miesiące temu! Ale po jej zniknięciu, już w styczniu szukali jej żandarmi Jan Kościeński i Franciszek Libuch. Bez efektu.

W dalszej kolejności obducenci napisali: „Franciszka Mnich była w 3-4 miesiącu ciąży. Morderca rozciął brzuch z lewej strony, a po przecięciu macicy płód wraz z łożyskiem wyjął. Ciąża wynika z powiększenia macicy. Przecięcie macicy i brzucha wynika z gładkich brzegów uszkodzeń. Że zaś płód wyjętym został z macicy przez mordercę, a nie przez zwierzęta drapieżne, wynika z gładkich brzegów cięć w macicy i całości jej, jeżeli płaty rozcięte razem złożymy. Zresztą w uwzględnieniu położenia trupa wyjęcie płodu przez zwierzęta drapieżne jest niemożnością”.

Z kim denatka mogła być w ciąży? Franka, stara panna, miała opinię pracowitej i uczciwej. Może dlatego nie chciała przed nikim ujawnić, kto jest ojcem dziecka, które nosiła w brzuchu? A przecież całe miasteczko już wiedziało, że za kilka miesięcy urodzi bękarta. Jedni mówili, że to Ritteru którego pracowała. Inni, że Bil - którego dobrze znała. Jeszcze inni

wspominali po cichu o księdzu Drzewieckim - tylko nie wiadomo o którym, bo było ich dwóch: proboszcz i wikary. A jakaś złośliwa baba uznała z kolei, że musiało to być niepokalane poczęcie, bo przecie Franki brzyduli żaden facet i kijem by nie tknął.

Ale Mnichówna przyznała się ponoć przed znajomą, Franciszką Telesz. Powiedziała jej, że to ktoś żonaty i dlatego ksiądz nie chciał jej dać rozgrzeszenia. Który ksiądz, nie wiadomo.

Zapewne któryś Drzewiecki, ale nawet jeśli znał nazwisko ojca dziecka Mnichówny, obowiązywała go tajemnica spowiedzi.

Dalej Ponar przeczytał co następuje: „Franciszce Mnich zdjął morderca dla zatajenia zbrodni skórę z głowy i wyciął zewnętrzne części płciowe. Wynika to z gładkich brzegów skóry na szyi oraz z braku części płciowych włosom pokrytych. Brak części płciowych nie mógł wynikać z obgryzienia przez zwierzęta drapieżne, które w ogóle ciała włosom pokrytego nie czepiają się, jeżeli inny żer na trupie mają, ani wskutek toczenia przez robactwo, gdyż nie można przypuścić zupełnego zniszczenia przez robaki pewnych części ciała, wobec zupełnie nietkniętych innych części”.

Czy ta próba ukrycia tożsamości ofiary nie wskazywała jednoznacznie, że kobieta i jej kat dobrze się znali? Że można było ich skojarzyć? A może nawet, że to ojciec dziecka był sprawcą zbrodni?

Ponar doszedł do kluczowej części orzeczenia: „Franciszka Mnich została zamordowaną w ten sposób, iż wprzód ją ubezprzytomniono, a następnie gardło poderżnięto, wskutek czego śmierć nastąpić musiała. Ubezprzytomnienie nastąpiło wskutek dwóch uderzeń przedmiotem twardym tęnym. Uderzenie pierwsze nader silne spowodowało złamanie szczęki dolnej, drugie wywołało uszkodzenie na czaszce, oponie twardej i mózgu samym. Poderżnięcie gardła dowodzi skóra na szyi i przełyku o brzegach gładkich ciętych”.

Co też się mogło wydarzyć? Feralnego dnia Franka wyszła po południu z domu ciotki Zofii, a następnie udała się do domu swoich krewnych Salomei i Marcelego Stochlińskich. Pokręciła się tam, po czym oznajmiła, że pójdzie jeszcze do Żydów Ritterów po mleko. Tam ślad po niej się urywał.

Dlaczego? Ponar pomyślał, że może nie powinien się tym sugerować, ale w orzeczeniu fachowców widniało jasno:

„Wyjęcie płodu wskazuje, że morderca o ciąży Franciszki Mnich wiedział. Płód wyjętym został albo z chęci zatarcia śladu ciąży, albo wskutek zabobonu (np. złodzieje utrzymują, że świeca zrobiona z niedonoszonego płodu jest pewnym sposobem do udania się kradzieży), albo - ŻE MORDERCA BYŁ IZRAELITĄ, KTÓRYM WYJĘCIE PŁODU PO

ŚMIERCI MATKI JEST NAKAZANEM”.

Czyżby potwierdzało się, co ludzie mówili?

Już nazajutrz po znalezieniu zwłok, a jeszcze kilka dni przed wydaniem orzeczenia żandarmi postanowili przyjrzeć się Ritterowi, pracodawcy Mníchówny. Zaczęło się od plotek. Wielu gapiów, kręcących się wokół miejsca zbrodni, mruczało: „To Ritter!”, „Nic tylko Mosiek to zrobił”. Nic prostszego, niż sprawdzić. W końcu to do Ritterów szła Franka. Może już od nich nie wyszła?

„Mojżesz Ritter był po pięćdziesiątce, jego żona Gitla parę lat młodsza. Dochowali się w sumie sześciorga dzieci. Obecnie mieszkali z dwójką dorastających córek. Jaki mogli mieć motyw morderstwa? Bardzo prosty. Od marca 1881 roku ich córka Bejla była zaręczona z Szymonem Neumannem z sąsiedniej wsi. Jednak zamiast się szybko żenić, czekała ze ślubem. Dlaczego? Czy nie z powodu plotek o rychłych narodzinach bękarta starego Rittera? Pozamałżeńskie dziecko kalalo nie tylko Mojżesza, ale i jego córki. Gdyby więc nie dopuścił do jego narodzin, jego bliscy uniknęliby hańby, a Bejla mogłaby rozpocząć normalne małżeńskie życie. Trzeba było tylko zamordować Mníchównę i bękarta w jej brzuchu...”, dumał Ponar.

Komisja sądowa sprawdziła, że piwnica Ritterów, możliwe miejsce mordu, była świeżo wysypana piaskiem. Tłumaczenia gospodarzy uznała za mętne i kilka dni po przeszukaniu z 7 marca nakazała zaarrestować Mojżesza i Gitlę. Przy okazji zebrano w ich domu kilka podejrzanych przedmiotów: siekiery i noże. Wzięto też pod lupę innych miejscowych Żydów, Felberów. W końcu stary Lejb Felber był bratem Gitli. Mógł coś wiedzieć.

Nim Mníchównę złożono do grobu, żandarmi byli więc już bliscy rozwiązania tajemnicy zbrodni. Tyle że... Ritterowie wszystkiego żarliwie się wypierali.

Ponar zaszedł do sklepu Mojżesza, za którym żydowska rodzina mieszkała, a pod którym miała dokonać mordu. Izba była niedawno bielona, ale już przybrudzona. Całkiem spora, jednak główne jej umeblowanie stanowiły tylko stare szafki z całym mnóstwem szuflad i półek. Na stole rozkraczała się mocno nadwerżona lampa. Nad drzwiami wisiał smętnie portret cesarza za młodych lat*. Niewyraźny, pociemniały. Pewnie niejedna mucha go upstrzyła.

Ritter był trochę jak ten obraz. Przybrudzony, zmięty, zarośnięty, w kurcie pamiętającej lepsze czasy. I niejedna mucha go upstrzyła. Bo każdy Mosze, Nataniel czy Samuel był z góry podejrzany.

Ale nie dla Ponara. On musiał najpierw się upewnić, że podejrzenie ma mocne

podstawy. Nie może być zbudowane na zabobonach i plotkach, które doktor Bieliński zasłyszał od gapiów, gdy oglądał zwłoki. Ponar musiał mieć konkrety. Jeśli wskażą na Rittera, już mu nie popuści.

* Zapożyczone z osadzonych w nieco późniejszych czasach Sędziów S. Wyspiańskiego.

3 kwietnia 1882, Kraków

- Kamil! Miło cię widzieć - cioteczny brat Korda, Hubert Konicki, przechylił się przez dębowe biurko i uściskał gościa. Był jakieś dziesięć lat starszy od młodszego brata. Też wiódł kawalerskie życie, ale swój czas poświęcał rodzinnym interesom. Jednak z wyglądu obaj mężczyźni byli bardzo do siebie podobni. Tyle że blond włosy Korda były długie i rzadkie, a Konickiego krótkie i gęste.

- Witaj, Hubercie. Miło znów znaleźć się w gościnnej Kamienicy pod Pegazem - Kamil z uśmiechem rozsiadł się w fotelu.

- Czy madame Kord ma się lepiej? - spytał Hubert, też siadając. Uważnie przyjrzał się niewidzianemu od paru tygodni krewniakowi. Kord wprawdzie wyglądał zdrowo, ale radość życia na jego dwudziestoletniej twarzy mącił jakiś grymas znudzenia.

- Cieszę się, że pytasz o moją matkę, ale muszę cię zmartwić. Nie wiem nic, bo i nie odpisała na mój poprzedni list. Zapewne nie zamierza też wracać z Paryża nad Wisłę.

- Czyli to nie paryskie powietrze jest źródłem jej natarczywych migren?

- Maman nigdy tego nie przyzna. Myślę, że nie przeżyłaby rozstania z atrakcjami, jakie ma nad Sekwaną.

- Na Jowisza, od śmierci twego ojca, a mojego wuja minęło trochę lat. Chyba wdowa może sobie pozwolić na odrobinę rozrywki? - Hubert wyglądał na zaskoczonego słowami krewniaka. - A może ty też odmawiasz sobie zabawy?

W odpowiedzi Kamil uśmiechnął się i lekko zaczerwienił.

- No to gadaj, co słyhać w tym Zakopanem? - Hubert aż zatarł ręce z uciechy.

- A co ma być słyhać?

- No nie daj się prosić. Mów od początku.

- Na początku wsiadłem do dyliżansu i pojechałem do Nowego Targu. W drodze trochę się zdrzemnąłem. Na miejscu złapałem furmankę, która zabrała mnie do Zakopanego...

- Przecież wiesz, że nie o to pytam.

- Wynająłem izbę, dostałem od gospodarza słomę do siennika i opał do pieca...

- Kamil!

- No dobrze - ustąpił młody Kord i ciężko westchnął. - Przyjechała, jak obiecała. Spotkaliśmy się.

- Jak wyglądała? - Hubert pokraśniał z uciechy.

- Miała balową suknię i lekkie pantofelki. Nie rozstawała się z nimi nawet na górskich

szlakach.

- Chyba żartujesz.

- Oczywiście, że żartuję, Hubercie. Musiałaby być bardzo niemądrą istotą. Prawda jest taka, że ubierała się niemal jak góralka. Dzięki temu dawała sobie radę nawet na dłuższych spacerach. Gdyby nie jej delikatne, szlachetne rysy, wyglądałaby jak miejscowa dziewczucha.

- Co mówiła?

- Że gdybyśmy mieli ze sobą teleskop, to z góry zobaczylibyśmy jej dom w Warszawie.

Hubert spojrzał pytająco. Cóż to za egzaltowane brednie?! - I coś jeszcze powiedziała?

- spytał.

- Że Warszawa wciąż czeka na równe chodniki i nowe linie tramwajów konnych.

- A coś poważnego? - Hubert kontynuował przesłuchanie.

- Na przykład opowiedziała mi chwytającą za serce historie piętnastoletniego Ignacego Neufelda, który po przedstawieniu Modrzejewskiej w Warszawie w imieniu kolegów wręczył jej wieniec z napisem: „Helenie Modrzejewskiej uczniowie gimnazjum”. Po czym organy rządzące uznały to za demonstrację polskości i gimnazjalistów usunęły ze szkoły. Neufeld strzelił więc sobie w głowę, a przestraszone obrotem sprawy władze przyjęły resztę uczniów z powrotem.

- Mój Boże! Daj spokój, czyżbyście nie mieli bardziej pogodnych tematów?

- A jakże, mieliśmy. Rozmawialiśmy o rzeczach najzupełniej nieistotnych, jak dwoje ludzi z dwóch różnych krajów, choć mówiących jednym językiem.

- Czyli nie mówiłaś jej, że masz wobec niej poważne plany?

- A mam takowe?

- Dość tego - zirytował się Hubert. - Nie chcesz, to nie gadaj. Ale nie rób ze mnie dziecka.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Kamil i w sposób nadzwyczaj dla Huberta irytujący milczał, nie wdrażając go w swe plany. - O czym piszecie ostatnio w „Kuryerku”? - zaczął w końcu z innej beczki. Wprawdzie gazeta była tylko dodatkiem do ich rodzinnego małego imperium, budowanego na wydobyciu karpackiej ropy, ale jakoś nigdy go nie pociągała istota interesów firmy Nafta Kord & Konicki. Wolał pogadać o życiu w Krakowie. - Co z naszym konnym tramwajem? Gazownia robi pieniądze? Co z telefonami? I jak idzie budowa wodociągów?

- Idzie, idzie, jak wesz po Żydzie.

- Ponoć prezydent się stara?

- Weigel? Powinien ostrzej wziąć się za chałaciarzy. Czekam tylko, kiedy i u nas pojawi się taka sprawa, jak ta pod Rzeszowem.

- To znaczy? Piszemy coś o tym? Ja mam napisać?

- Żyd zamordował katolicką służącą i wyciął z niej dziecko, które z nią splodził.

- To tylko dowodzi, że nie warto pracować u Żyda. A może jest w tej sprawie coś ciekawszego? Może wyciął dziecko, żeby je zjeść?

- Powiałoby egzotyką, co? Chciałbyś. Ale Galicja to nie Afryka. A w ogóle może to nie Żyd, tylko jakaś wiejska baba chciała usunąć bękarta i się nie udało? To byłby zawód. Nuda. Wolę Żyda krwiopijcę niż fabrykantkę aniołków. A propos. Czytałeś? - rzucił na stół książeczkę.

- Rohring. Żyd talmudyczny - przeczytał na głos Kamil. - Może być ciekawe. Ale nie masz czegoś krótszego przed obiadem?

- Poczytaj sobie to, dzieciaku - Hubert z uśmiechem cisnął mu gazetę z biurka.

- To po niemiecku.

- Przecież znasz? Poznaj najnowsze wieści od sąsiadów z południa. A osobliwie „Tajemnicze zniknięcie Estery Solymossy”.

- Węgiereczka?

- Tak.

- To dobrze, że gazeta po niemiecku. Na węgierskim język zawiązały mi się na supeł.

Dobry humor nie opuszczał Korda nawet podczas obiadu w towarzystwie ciotki Hermenegildy Konickiej. Tak nie znosił jej imienia, że nigdy go nie używał. Ale ona niewiele sobie z tego robiła. Też chyba tego imienia nie ceniła. Złośliwi mówili, że nie mógł go znieść nawet jej świętej pamięci mąż (zdaniem jednych został nieszczęśliwie postrzelony na polowaniu, zdaniem drugich sam się zabił na wieść o wiedeńskim krachu giełdowym w roku 1873 - to dopiero byłaby pechowa śmierć, bo rodzinna firma jakoś tę katastrofę rynkową przetrwała!).

Ciotka była osobą chimeryczną, tak jak matka Korda, ale trudniejszą do rozgryzienia. Zdało się liberalną, ale nieznoszącą sprzeciwu. Grzeczną, ale potrafiącą wywierać niemożliwą do odparcia presję. Niby interesowała się tylko swoim knąbrnym kocurem Rupercikiem (kupiła mu nawet ekstrawagancką obrozę), ale nie było tematu, na który nie miałyby zdania. Za stołem przypominała rozgdakaną kokosz, ale w życiu umiała się rozpychać, czyli, jak to mówią, radzić sobie. Bardziej, w jej mniemaniu, niż Kamil. Jego uważała za jeszcze chłopca, który nie poznał prawdziwego życia i buja w obłokach.

- Pytałeś o tę dziewczynę? - zapytała cichaczem Huberta.

- Tak. Chyba się zakochał. Bardzo jest nieśmiały i delikatny - odparł syn z uśmiechem.

- Delikatny... - powtórzyła ciotka.

Kamil nie zwracał na nich uwagi. Ze zmarszczonym czołem czytał „Tajemnicze zniknięcie Estery Solymossy”.

21 marca - 5 kwietnia 1882, Strzyżów i okolice

Stary Ritter konsekwentnie wszystkiego się wypierał. Przede wszystkim utrzymywał, że Mnichówna w feralny dzień swego zniknięcia wcale do niego nie dotarła.

- Toż sama powtarzała, że byłem dla niej jak ojciec. To czy ja bym mógł zrobić jej coś takiego?! - podkreślał Mojżesz.

- Cóż, życie pokazało, że Mnichówna nie zawsze podejmowała właściwe decyzje - burknął pod nosem Ponar. „Czy by mógł, czy by mógł?!”, zachnął się. Za dobrze znał życie i zbyt wiele już widział, żeby działały na niego takie emocjonalne argumenty. Poza tym wszyscy we wsi mówili, że to sam Ritter rozpuszczał plotki, z kim Mnichówna jest w ciąży. Niewątpliwie robił tak, aby odwrócić podejrzania od siebie. Ale czy tak zachowuje się ojciec? I czy takiemu przyszywanemu rodzicowi przeszłoby przez gardło następujące zdanie o kimś, kogo traktował jak córkę: „Nie wiem, gdzie jest. Może wilki ją pożarły?”. Taki to z Rittera „tate” Mnichówny.

Mijał wieczór po kolejnym dniu śledztwa. Ponar ćmił fajkę, leżąc na ławie. Powieki miał zamknięte. Przez moment znieruchomiał tak całkowicie, iż wyglądał niczym trup, tyle że zwłoki raczej nie kopcą fajki. Właśnie w ten sposób Ponar najchętniej się skupiał. Uważał, że w jego fachu przede wszystkim należy myśleć, a dopiero potem krzyczeć i bić. Oczywiście to też się przydawało, ale nie na dzień dobry.

Losy śledztwa były w jego ręku, choć to nie on pociągał za sznurki.

Ritter nie był jedynym podejrzanym. Należało wziąć pod uwagę kogoś jeszcze, i to wcale nie wilka. Chyba że wilka w ludzkiej skórze. Ponar dobrze znał tego gagatka. To Marcelli Stochliński - sąsiad Ritterów, do którego miała zająć Mnichówna w feralny dzień.

Stochliński znany był głównie z tego, że lubił popić, nawet gdy nie było go na to stać. Wyprzedawał po trochu swoje grunty, żeby mieć na wódkę. Kiedy nie miał co sprzedać, pił na krechę i wchodził w niejasne układy z Ritterem. Przy szynkwasio udało im się dobić niejednego targu. Marcelli był o tyle mniej podejrzany od Mojżesza, że o nim „ludzie NIE mówili”. Ale miał we wsi gorszą opinię od Rittera.

Ten medal miał dwie strony. Żyd był podejrzanym najbardziej oczywistym. Ale zawodowa podejrzliwość aparatu policyjnosądowego nakazywała sprawdzić różne możliwości. Nie należało jednak szukać winnych na siłę. Ponar z własnego doświadczenia wiedział, że często najbardziej oczywisty podejrzany okazywał się rzeczywistym winnym. Czasem nie warto wyważać otwartych drzwi.

Takie rozważania snuł prowincjonalny stróż prawa, zamieniając się na chwilę w pana życia i śmierci mieszkańców Lutczy. Nim wypalił fajkę, wiedział już, że na Ritterze się nie skończy.

Żandarmeria zapukała do domu Stochlińskich. W środku żandarmi nie znaleźli niejednoznacznie podejrzanego - śladów krwi czy walki. Zwrócili natomiast uwagę na Stochlińskiego. Był przerażony, jękał się i czerwienił, gadał nedorzecznosci.

Zachowywał się tak podejrzanie, że 22 marca został zabrany do sądu w Strzyżowie na dokładniejsze przesłuchanie.

Dwa dni później Ponar sprawił sobie nową fajkę. Sprawa śmierci Mníchówny była najwyraźniej rozwiązana! I to w sposób łączący podejrzanego najbardziej oczywistego z najbardziej zasadnym.

Mianowicie w drodze z domu do sądu w Strzyżowie Stochliński zeznał przed żandarmami, że zamordował swoją krewną Franciszkę Mních wspólnie z małżonkami Ritterami i ich córkami, w piwnicy Żydów. Ci następnie przenieśli zwłoki do parowu. Ritter chciał się pozbyć Mníchówny, ponieważ była z nim w ciąży, co psuło mu opinię, a razem z nią i interesy. Za swoją pomoc dostał Stochliński od Rittera trochę grosza. Taką to historię opowiedział, a potem powtórzył w sądzie w Strzyżowie, w obecności doktora Bielińskiego.

Sprawa wyglądała więc na rozwiązaną.

Ponar nie zdążył jeszcze na dobre przyzwyczaić się do swej nowej fajki, gdy w rzekomo rozwiązanej sprawie Mníchówny doszło do kolejnego przełomu. Mianowicie 3 kwietnia Stochliński odwołał wszystko, co wcześniej powiedział. Stwierdził, że jest absolutnie niewinny, a swoje poprzednie zeznania złożył pod przymusem, bity przez żandarmów. Przyłożyli mu podobno parę razy między oczy, a potem podtapiali w beczce z wodą, tak że w końcu gotów był zgodzić się na wszystko.

- Pytali od razu: „Kto bił, a kto rznął?”. Zmusili mnie do przyznania się! - oznajmił. Dlaczego zatem przyznał się do winy także w celi, przed współwięźniami? Stochliński miał gotową odpowiedź i na to: - Bom zachorzał na dur, tom i bredził.

Zapoznawszy się rewelacjami Stochlińskiego, sąd nie miał innego wyjścia, jak zlecić ekshumację zwłok Franki, której dokonano 3 kwietnia. Doktor Bieliński odjął pękniętą szczękę dolną. Zabezpieczył też ubranie ofiary, którego stan mógł wyjaśnić, czy ta niby wymuszona przez policję wersja Stochlińskiego pokrywała się czy nie z rzeczywistością.

Dwa dni później Ponar po raz kolejny zapukał do drzwi domostwa Ritterów. W drzwiach stanęła nastoletnia Chaja.

- Pójdiesz z nami - powiedział dziewczynie, wyglądającej jeszcze jak dziecko. Nogi

się pod nią ugięły. Co działo się dalej, Ponar nie patrzył. Miał konkrety, miał zeznania, miał ją aresztować.

W tym samym czasie inny policjant zakołatał do drzwi Neumannów w sąsiedniej wsi Wysokie. Niemal bez słowa minął w progu Szymona Neumanna, a potem upomniał się o jego żonę Bejlę. Była podejrzana, tak jak jej siostra.

Żydzi właśnie szykowali się do Paschy. Kiedy żandarmi zabierali bladą i milczącą córkę Ritterów do aresztu, Neumann zwyczajnie się rozplakał. Mundurowi patrzyli na niego ze zdziwieniem.

8 kwietnia - 20 maja 1882, Kraków

Kamil nie uważał się za specjalistę od listów miłosnych. Czuł też, że Maria oczekuje od niego więcej, niż mdłych komplementów. Chciała, żeby pisał o swoim życiu. Więc relacjonował to, co naprawdę w jego życiu się działo. Bez ogródek, jak chciała.

Jeszcze jedno, droga Marysiu. Na koniec mojego listu - po tym, jak już zapewniłem Cię o czystości moich zamiarów oraz prawdziwości uczuć - zdradzę Ci, czym ostatnio się zajmuję.

Sprawa ta wielce mnie zaprzęta, choć oczywiście w mojej głowie nieodwołalnie królują myśli o Tobie. Nie będę jednak snuł dalszych porównań, sprawa bowiem, o której zamierzam Ci opowiedzieć, zbyt jest mroczna, Ty zaś jesteś światłem mojego życia. Nie uchodzi więc, bym choćby zestawiał pamięć o Tobie z myślami nader ponurymi i tropieniem zbrodni. Bo o zbrodnię właśnie w tej sprawie chodzi. Zapewne wiadomości o niej nie dotarły jeszcze do Warszawy. Opowiem Ci więc w skrócie, w czym rzecz - Mam nadzieję, że nie zemdlejesz. Co więcej, wiem, że jesteś osobą uświadomioną politycznie i społecznie, więc może nawet wyda Ci się to interesujące. Poza tym sama pytasz, co zaprzęta mnie zawodowo, muszę więc Ci szczerze odpowiedzieć.

Zaczęło się od tego, że na początku marca znaleziono pewną biedną kobietę.

Tu Kamil z grubsza wyłożył fakty i ustalenia śledztwa, aż do momentu zatrzymania Stochlińskiego.

A cóż dalej się działo? Otóż czwartego kwietnia posłano zapytanie z sądu Strzyżowskiego do rabinatu wiedeńskiego. Żydzi ze Strzyżowa, Aron Kenner i Jakub Schutz, zeznali bowiem, że jest w zwyczaju ich ziomków wyjmowanie płodu z ciała martwej matki oraz obcinanie włosów zmarłym kobietom. Bestialstwo! Oto do czego prowadzi Talmud, ten zbiór anty chrześcijańskich inwektyw, „mądrości” i przepisów, gromadzonych od wieków przez żydostwo. Znam dzieła księdza profesora Rohringa, wykładowcy uniwersytetów w Muenster i Pradze. W swoim Żydzie talmudycznym piętnuje on niemoralność, a przede wszystkim niebezpieczeństwo, jakie stanowią dla społeczeństwa zgubne wierzenia i zwichrowana moralność Żydostwa. Jest ono gotowe mordować nieŻydów, święcie wierząc w opisane w starych księgach zabobony. Rohring przytacza z Talmudu całą gamę przykładów, w których Żydom nakazane jest podrzynanie gardeł innowiercom, obcinanie głów, wytaczanie krwi etc.

Naszemu społeczeństwu trzeba uświadomić, że sprawa z Lutczy nie jest pojedynczym

zbrodniczym dziełem, odosobnionym w czasie i przestrzeni. Rzecz jest dużo poważniejsza. Być może w kraju naszym mamy do czynienia z prawdziwą plagą tych zbrodni, związanych z niebezpiecznymi żydowskimi przesądami i nienawiścią do chrześcijan.

Otóż podobny przypadek jak w Lutczy miał ostatnio miejsce w innym punkcie Cesarstwa Austro-Węgier, mianowicie w miejscowości TiszaEszlar w komitacie Szabolcs na Węgrzech. Tam też ofiarą padła młoda dziewczyna, niejaka Estera Solymossi.

Tak się złożyło, że informację o tym znalazłem w gazecie, którą dostałem od mojego ciotecznego brata zaraz po powrocie z naszych wakacji w Zakopanem! Czy to nie był znak niebios?

I cóż okazuje się w sprawie Solymossówny?* Estera wyszła z domu i nie wróciła. A tylko wybrała się do sklepu po farbkę**. Kiedy zrozpaczona matka jej szukała, spotkała przy bożnicy sługę synagogałnego Józefa Scharfa z żoną. Usiłował on pocieszyć zapłakaną kobietę. Mówił, że Estera na pewno wróci, i że parę lat temu w pewnej niedalekiej wsi też zaginęło dziecko, zaczęto już nawet oskarżać o to Żydów, a tymczasem ono zabłądziło w lesie. Wróciło po jakimś czasie - zabiedzone, ale całe i zdrowe.

* Kolejne sprawy Solimossy: B. P. Harston, Sensationalizing the Jewish question; J. Thorwald, Stulecie detektywów; E. Wiseman, Puppet.

** Farbka nazywano potocznie niebieski barwnik używany do płukania bielizny dla nadania jej białości - przyp. red.

W sprawie Solymossówny policja jednak nie zamierzała czekać na takie cuda. Dowiedziała się, że coś wie pięcioletni synek Scharfa, Samuel. Opowiedział on komuś, jak to jego ojciec zawołał Esterkę do domu, potem zabrał do synagogi i tam... zaszlachtował. Samuel i jego brat Moryc widzieli nawet, jak krew biednej dziewczyny spływała na talerz. Miała posłużyć Żydom do wyrobu macy, której spożywanie zapewnia im powodzenie i zdrowie. Życie chrześcijańskiego dziecka zamiast ofiarnego zwierzęcia!”

Kord, piszący linijka za linijką jak natchniony, przerwał teraz na chwilę. Po namyśle postanowił nie wspominać o najbrutalniej szych praktykach zarzucanych węgierskim Żydom. Ponoć smarowali oni przyrodzenia swych dzieci krwią z chrześcijańskiego dziewczęcia, aby były bardziej płodne. To jednak postanowił Kord taktownie przemilczeć. Jeszcze Marysię by zemdliło? Nawet jego szczerość i wylewność musiała mieć swoje granice.

W tym samym czasie matka Estery przypomniła sobie, co mówił stary Scharf, i uznała, że dwulicowy Żyd pewnie chciał ją zwieść. Postanowiła, że nie będzie dłużej czekać i 4 maja publicznie oskarżyła Żydów o morderstwo. Jak mi telegraficznie doniesiono, Scharfów wczoraj aresztowano.

Niesamowite, przyznasz? Wybacz, Że nie pisałem Ci o tym wcześniej, w tylu poprzednich listach. Nie chciałem jednak męczyć Cię tak niemiłymi dla niewieścich uszu ponurymi historiami kryminalnymi. Jeszcze wzięłabyś mnie za kogoś, kim nie jestem. Dopiero w świetle ostatnich wydarzeń uznałem za stosowne podzielić się z Tobą moimi odkryciami i przemyśleniami. Muszę zacząć w tej sprawie działać, na początek choćby na niwie prasowej. Już zamieściłem w naszej gazecie komentarze o Ritterach i Scharfach.

Nie wiem, jak z tą kwestią radzicie sobie w Warszawie, ale u nas żydostwo stanowi wielki problem. Być może stworzyliśmy im po prostu zbyt dobre warunki do rozwoju. Okazuje się, że można zgrzeszyć nadmiarem gościnności!

W takiej Lutczy Żydów było sporo. Na tyle, że w swoje święta mogli zbierać się na modlitwy. Mieli karcznię, gospodarstwa i trafikę Rittera. W całym powiecie strzyżowskim tej zarazy jest jeszcze więcej. W samym Strzyżowie na dwa tysiące mieszkańców połowę stanowią Żydzi. Ale to i tak nieźle! W sąsiednim Fryszaku na 1300 mieszkańców jest tylko 400 katolików, a reszta to żydostwo! Po prostu całe miasto sobie gudłaje wykupili!

Wybacz, Że się rozpisałem na takie tematy, ale sprawa lutczańska naprawdę niesłychanie mnie pochłonęła. Wierzę, że może z niej wyjść jakieś dobro dla nas, Polaków. Prawda nas wybawia, a prawdziwe uczucie umacnia. Moje życie - tak długo puste - staje się coraz bardziej kompletne. A jego najważniejszą częścią jesteś Ty.

Kamil Kord” maj 1882, Strzyżów, Kraków

Po zarządzonej ekshumacji Mníchówny lekarze przyjrzeni się dokładnie zuchwie i ustalili, że do jej pęknięcia doszło nie w wyniku cięcia zadanego narzędziem ostrym, ale „ciałem twardym o powierzchni tępej”. Czyli na przykład obuchem siekiery. Na pewno nie stało się to na skutek upadku i uderzenia głową o coś twardego. Czy cios zadano jakimś narzędziem z domu Żydów? Aby to sprawdzić, ze Strzyżowa przesłano lekarzom z sądu krajowego w Krakowie dwie siekiery, dwa noże stołowe i drewniany kołek będące własnością Ritterów.

Na nożach znaleziono tylko rdzę. Na kołku, służącym jako drzewce siekiery, też nie wykryto niczego godnego uwagi. Także na jednej z dwóch siekier nie dostrzeżono żadnych podejrzanych plam. Ale na drugiej już tak. Na górnym rogu ostrza znajdowała się jakaś rdzawa substancja, na której lekarze wykryli „żdźbła słomki i łuski roślinne oraz cztery odcinki włosów”. Wykonali badania pod mikroskopem i spróbowali zidentyfikować krew oraz jej pochodzenie za pomocą ługu potasowego. Jednak ich wyniki były niepewne. De facto ani nie wykryły śladów ludzkiej krwi, ani ich nie wykluczyły.

Zdaniem lekarzy kawałki włosów znalezione na siekierze były nie zwierzęce, a ludzkie. Pochodzące z głowy, bo bezrdzenne i grube. Barwą podobne do warkoczy Mníchówny, choć nie identyczne. Sprawdzili to od ręki, bo także owe warkocze przesłano do Krakowa. Razem z macicą i zuchwą nieboszczki Franki oraz jej koszulą.

Co do warkoczy, krakowscy i rzeszowscy lekarze uznali, że zostały z pewnością odcięte, a nie wyrwane. A to dlatego, że tylko niektóre posiadały cebulkę, a reszta miała końcówki gładkie, poprzeczne do osi włosa.

Po przebadaniu ciała, lekarze sądowi uznali, że przecięcie macicy nastąpiło już po śmierci Mníchówny. Co tę śmierć spowodowało? Już ogłuszający cios mógł zabić Franciszkę. Najpewniej jednak decydujące było poderżnięcie gardła. Że do niego doszło, świadczył w oczach lekarzy wygląd brzegu skóry, krtani i przełyku ofiary.

Macicą zajęli się doktorzy z Rzeszowa. Nie znaleźli ran po kąsaniu, dziobaniu i grzebaniu, charakterystycznych dla zwierząt. Nie było zagłębień po zębach lub dziobach. Zresztą ofiara leżała na brzuchu, a w tej pozycji dostęp do macicy był dla zwierząt utrudniony. Lekarze potwierdzili za to, że przez podbrzusze Mníchówny przeszły przynajmniej trzy cięcia, które uszkodziły macicę, pęcherz, pochwę i jelita. Jedno z nich, idące przez całą długość macicy, było wystarczające, by posłużyło do wyciągnięcia płodu.

Z takimi to kolejnymi wiadomościami zapoznał się Ponar. Choć lekarze nie potwierdzili w pełni policyjnej wersji wydarzeń, był spokojny. Nie zaniepokoiło go też, że zaginął kawałek tkanki skórnej wycięty przez Bielińskiego. To był szczegół. Zresztą wyglądało na to, że dalszy bieg sprawy nie będzie już zależał od Ponara. On swoje zrobił.

A na raporcie, który teraz czytał, spoczął wkrótce potem także wzrok Kamila Korda. Po tym, jak dziennikarz bogacz za to zapłacił pewnej kompetentnej osobie, która miała dostęp do podobnych dokumentów. Wraz z Hubertem nazywali tę osobę po prostu „Urzędasem”. Był to nawet sympatyczny typ, świadom, że dobre kontakty z naftowym i prasowym potentatem mogą bardzo mu się przydać w dalszej karierze. Tak, każdy urzędnik cesarskokrólewskiej monarchii Habsburgów mógł być tego więcej niż pewien.

1 czerwca 1882, Lutcza

- Mówią, że Mojżesz robił coś w piwnicy z ziemią - zagadał wreszcie chłopiec do Korda. Od półtorej godziny dzieciak włóczył się za przybyszem po uliczkach Lutczy i bacznie mu się przyglądał.

Kamil przyjechał do miasteczka wczesnym popołudniem. Wcześniej dotarł pociągiem do Rzeszowa, a tam przesiadł się na konia. Lubił to. Matka powiadała, że ma postawę rasowego kawalerzysty. Oczywiście wolałby wygodnie dotrzeć na miejsce pociągiem, ale ten po prostu w pobliże Lutczy nie docierał. Wprawdzie w niedalekim Brzozowie już mówiono o kolei żelaznej, a z czasem postawiono nawet budynek dworca, ale tory nigdy tam nie dotarły. Ot, taka galicyjska prząsna rzeczywistość.

Po przybyciu do Lutczy, Kord potwierdził u miejscowych wszystko, co wcześniej słyszał i czytał o Ritterze. Najpierw jednak musiał wysłuchać wielu innych, choć nie tak interesujących dlań informacji. A to, że miasteczko założono za panowania Władysława Jagiełły. A to, że kościółek, będący dumą miejscowych, jest niewiele młodszy i stuknęło mu już czterysta lat. Zaszedł nawet do środka świątyni i niczego fascynującego nie wypatrył, ale zauważył jakiegoś niemiejscowego starszego pana. Ten notował coś na kartce, póki nie zobaczył Korda. Wtedy zeszytniał, jakby piorun w niego strzelił. „Pewnie jakiś pismak myśli, że ktoś kradnie mu temat. A przecież cała prasa już huczy o tej sprawie!”, wzruszył ramionami Kord.

Potem od miejscowych dowiedział się, że na pobliskim cmentarzu możni państwo budują cudną kaplicę. A cmentarz jest za mały i trzeba zrobić większy. I że ksiądz Drzewiecki zamierza pobudować nowy kościół i wyremontować plebanię. Wymienić modrzewiowe deski, bo już mają swoje lata. I że bogacz żydowski (chyba nazwiskiem Wałach, na które żaden porządny chrześcijanin przecież by nie przystał), choć z proboszczem w zgodzie żyje i nawet dał drewno na remont plebanii, to chce usunąć z kupionej ziemi świętą kapliczkę.

Kord dowiedział się też, że przy stawach rybnych straszy. I że w ogóle naród w okolicy hardy i podczas rabacji chłopskiej w czterdziestym szóstym przywiązał jednego wielkiego pana za nogi do sań i ciągał w zapusty po drodze. To też oczywiście nie miało najmniejszego związku z aferą Ritterów...

- Co tam mówisz, żydku? - spytał natrętnego malca, może dziesięcioletniego, o wyraźnych semickich rysach.

- Mówią, że Mojżesz robił coś w piwnicy z ziemią - powtórzyło dziecko.

- Jaki Mojżesz? Ten z Biblii?

- Nie, no Ritter przecie - roześmiał się chłopiec. - Toć łązicie i o niego wypytujecie.

- Dobrze. Ale jeśli już, to masz mi mówić „panie Kord” - Kamil popatrzył na malca z góry i zaczął obracać w dłoni swoją pamiątkową laskę z maszkaronem. - „Mojżesz robił coś w piwnicy z ziemią”. I co?

- I za żadne skarby nie chce powiedzieć co.

- Pewnie myślisz sobie, że zakopał tam jakieś skarby?

- Nie. Ale wiem, co naprawdę robił.

- Co takiego?

- Nie wiem, czy mogę powiedzieć, panie Kord.

Kord mruknął gniewnie. Oto całe kręactwo „narodu wybranego”! Toż to zabawa w kotka i myszkę! - Pewnie jakbyś dostał jakiś pieniążek, to by ci pomogło? - zakpił.

Mały jednak nie odpowiedział.

- No więc? Powiesz czy nie? - niecierpliwił się Kord.

- Myślę, że mogę powiedzieć, bo i tak pan Kord nie uwierzy - odparł chłopiec po chwili namysłu.

- To dalej. Słucham - Kamil zaczął wiercić laską dziurę w piasku. Bo i ta dziwaczna rozmowa przypominała mu wiercenie dziury w brzuchu.

- Musi pan Kord wiedzieć, że mój ojciec jest człowiekiem bardzo uczonym... - rozpoczął dzieciak.

- Stary Ritter to twój ojciec? - Kord uniósł brew ze zdziwienia, bo słyszał, że Mojżesz i Gitla mają już dorosłe dzieci.

- A skądże! Mój ojciec całe dnię zgłębia uczone pisma, a nie robi interesy - zachnął się chłopiec.

„Pewnie rabin albo ktoś taki. Talmudysta!” pomyślał Kord, a tymczasem malec kontynuował: - Mój czcigodny ojciec czyta o tym, jak i kiedy powstał otaczający nas świat i na czym polega tajemnica boskiego stworzenia. Zna też mnóstwo pouczających historii z życia naszych wielkich mędrców. Wiele z nich mi opowiedział. Jedna mówi o człowieku, który z ziemi we własnej piwnicy zrobił coś bardzo tajemniczego.

- Czyli co takiego? - Kamila zirytowało już to ciągle odwlekane przejście do sedna sprawy. Prawdziwy filozof z tego smarkacza...

- Golema.

- Golema?! - Kamil przez moment starał sobie przypomnieć, kiedy zetknął się z tym słowem. Zdaje się, że usłyszał je pierwszy raz w Pradze. Chodziło o jakąś żydowską legendę.

Mówiła ona o sztucznym człowieku, który się zbuntował przeciwko swemu twórcy. Potem to słowo wróciło, gdy ktoś w jego obecności dyskutował o przerażającej i swego czasu sławnej książce Frankenstein, czyli nowy Prometeusz, która straszyla jeszcze jego matkę.

- Ritter umie robić pieniądz. Jakby miał takiego darmowego parobka, to by zarabiał jeszcze więcej - kontynuował chłopiec.

Kord wybuchł śmiechem, słysząc podobne niedorzeczności.

- Z tego, co słyszałem w Pradze, parobek taki może być dosyć niebezpieczny - Kamil przykucnął i z uśmiechem popatrzył chłopcu w oczy. Naprawdę go rozbawił, choć wszystko mówił z tak śmiertelną powagą.

- W Pradze? Nie, ja słyszałem tylko o takiej historii w Chełmie - pokręcił głową mały mądrała.

- No, no, to i na geografii się znasz! A opowiesz mi tę historię, byle niezbyt długo? - Kord zaczął się dobrze bawić.

- A jakże! Jeden mądry rabin Elias postanowił zrobić golema, żeby pomagał gminie w pracy i strzegł przed złymi ludźmi, kiedy chcieli bić Żydów, a chcieli często. Ulepił więc z gliny takiego nibyczłowieka i włożył w niego specjalne zaklęcie ożywiające. Bo glina jest przecież martwa jak kamień, co nie? Więc ten golem najpierw sprawował się dobrze, ale potem zaczął grozić samym Żydom. Dlatego Elias musiał go unicestwić - wysylibizował chłopiec trudne słowo.

Kamil był pewny, że identyczną historię, tyle że chyba z innym imieniem rabina, słyszał w Pradze. Cóż, może tak naprawdę legenda pochodziła z Chełma?* A może to chłopiec coś pomylił?

* Więcej w artykule „Golem z polskiej gliny”, „Focus Historia” 2/2009.

- Ritter pewnie chciał zrobić interes na tym golemie. Może nawet chciał robić więcej glinianych parobków i sprzedawać? A nikomu nic nie mówił, żeby ktoś go nie ubiegł - podsumował chłopiec, który najwyraźniej święcie wierzył, że da się produkować golemy na skalę przemysłową. Niczym dzbanki, dostępne w różnych kolorach.

Kord z trudem powstrzymał chichot. Po czym powiedział: - Zauważ jednak, chłopcze, że jedna rzecz się tu nie zgadza. W twojej opowieści twórcą golema jest wielki mędrzec. I tak być musi. Zaś Ritter to tylko brudny, zawszony handlarz i lichwiarz z jakiejś zapomnianej przez Boga wioski!

Na te słowa chłopca jakby raził piorun. Z oczu pociekły mu łzy, po czym obrócił się na pięcie i bez słowa odbiegł.

- Hej, a twoja zapłata! - krzyknął za nim Kord, obracając w palcach monetę, którą

wyjął z kieszonki kamizelki. - Hej... - zawołał raz jeszcze, ale uświadomił sobie, że nawet nie poznał imienia chłopca.

Trudno.

Za to w ciągu kolejnych paru godzin dowiedział się jeszcze innych rzeczy. Po pierwsze, że Ritter, choć wyznania mojżeszowego, nie wydawał się przesadnie religijny, jak na przykład chasydzi. Tyle że świętował szabas i przestrzegał koszerności potraw. Co nie znaczy, że nie zależało mu na dobrej opinii wśród bardziej religijnych ziomków. Po drugie, Ritter utrzymywał rozległe kontakty z chrześcijańskimi sąsiadami. Nie zamykał się w gronie swych pobratymców, bez problemów można było się z nim dogadać po polsku. Do jego sklepu na okrągło przychodzili chłopcy po tabakę i drobne zakupy. Można było na niego liczyć. Trzymał w piwnicy ziemniaki Franciszki „Balasionki” Tarnawskiej z sąsiedztwa. Dobrze dogadywał się z proboszczem. Wyswatał małżeństwo Teleszów. Pośredniczył w sprzedaży zboża do miasta. Etc. Raczej na niego nie narzekano, ale... Ritter miał 15 mórg ziemi i na nich sobie spokojnie gospodarzył, dopóki nie pokłócił się o miedzę z niejakim Mandelą. Skończyło się to w sądzie, gdzie Ritter ostatecznie przegrał, ale po wszystkim Mandela... stracił wzrok!

I tak Kord dowiedział się, że mieszkańcy Lutczy trochę obawiali się Rittera. Niemal oskarżali go o czary. „Może coś było na rzeczy w tych szatańskich, magicznych praktykach?”, pomyślał Kamil.

Kiedy zasnął w pokoju wynajętym od katolickich gospodarzy o nazwisku Korab, przyśnił mu się własny ojciec na cmentarzu. Lepił w pośpiechu postać z ziemi z rozkopanego grobu, opatrzonego nazwiskiem „Franciszka Mnich”...

Kamil zdołał się rozbudzić, nim akcja koszmaru rozwinęła się na dobre. Miał bardzo realistyczne sny. Ponoć odziedziczył to po ojcu. Chociaż tyle. Ale nie zawsze było to przyjemne. Szczególnie gdy wcześniej nasłuchał się zbyt wielu bajd. Czy nie mogłaby dla odmiany przyśnić mu się Maria?

Nie chcąc spać, wziął się za lekturę. Miał ze sobą książkę Juliana Ursyna Niemcewicza, zatytułowaną Rok 3333 czyli sen niesłychany. Co zabawniejsze fragmenty Kamil czytał sobie dwukrotnie. Na przykład: „Zdało mi się naprzód, że byłem we Włochach, wiosce o pół mili od Warszawy. Jakie było podziwienie moje, gdy zbliżając się do stolicy, postać miasta tego inną się wcale od dzisiejszej w oczach moich stawała. Im bardziej zbliżałem się, tem bardziej odmiennosc ta uderzała mię i zadziwiała. Na próżno wolskich rogatki szukałem; na miejscu ich znalazłem nieforemną bramę, a raczej potężne wrota z okopconego wiekiem kamienia. Na szczycie ich była herbowa tarcza przez dwóch lewiatanów

trzymana. Długo starałem się rozeznaczyć, co by się w polu jej mieściło, aż nareszcie odkryłem, że to były cycele (poświęcone sznureczki, które żydzi w kraju łapserdaków swoich noszą), dość kunsztownie wyryte.

Na gzymsie dwa wiersze w hebrajskim języku, a pod nimi te słowa łacińskimi literami: MOSZKOPOLIS”.

Przezabawne. Powinien to wysłać Marysi. Dalej było jeszcze śmieszniej. Niemcewicz opisywał takie oto cuda: „Przed domami siedziały żydówki, a przed nimi macki z obarżankami, kukiełkami i solą. Nigdzie nie było bruku, lecz natomiast błoto niezmierne. Około domów mnóstwo kaczek, gęsi, kur, indyków babrzących się w tym błocie. Wszędy snuły się émy brudnych żydów, naprzód i w tył, na lewo i na prawo”.

W dalszej części ustalił narrator, jakim cudem tak się „zżydziło to miasto”. A mianowicie: „Nie orężem oni podbili Polaków, lecz sztuką, podstępami, przekupstwem. Nie wiem dokładnie, jak to było, lecz gdy raz otrzymali prawo wchodzenia do wszystkich urzędów, nabywania własności ziemskich, nic niezmordowanej przebiegłości ich i wykrętom tamy położyć nie mogło. Tak że z wiekami zgnetli Polaków chrześcijan, sami opanowali wszystko. A gdy nikt nie chciał brudno zaszarganego Królestwa, wybrali sobie króla i starożytną Polskę Palestyną nazwali”.

Powiedział to narratorowi „dorożkarz z Zamoyskich”, co wywołało u Kamila głośny śmiech. Ale potem było we śnie Niemcewicza mniej wesoło: „Nikommu z chrześcijan nie wolno mieć ni ziemskiej, ni miejskiej własności, chyba że żydem zostanie. Jakoż niejeden przyciśniony biedą, znużony i upodlony uciskiem, zapomniawszy, co winien Bogu i sobie, został żydem, zapuścił pejsaki i tak się dobrze kiwa nad talmudem”.

Następnie bohater opowiadki poznał dwór króla Moszko XII („Był to pan, mogący mieć około lat czterdziestu, niezmiernie czerwony, tłusty i piegowaty, pejsaki miał rudokasztanowate i brodę tejże samej maści. Łapserdak i opończa były z czarnego aksamitu z potrzebami diamentowemi jak najpiękniejszej wody. Jarmułkę otaczał szereg pereł różowych, z których każda po 50 karatów mieć mogła; u szyi freza obyczajem żydowskim, z tej na złotym łańcuchu zwieszał się order na kształt Złotego Runa, lecz przyjaciel mój powiedział mi, że to był order Icka Wielkiego”). Kamil pomyślał, że brakowało królowi Moszko XII jeszcze Szczerbca z żydowskim zaklęciem, o którym pisał w pamiętniku ojciec Korda. Najwyraźniej Niemcewicz o tym nie wiedział, bo na pewno nie omieszkałby wspomnieć. Jego bohater dowiedział się za to od pejsatych, jak wytracili Polaków: „Przekupstwem, podejściem i wytrwałością. Najprzód przekładaliśmy, że to nic nie szkodzi, gdy nam nadadzą prawo nabywania własności ziemskich i miejskich. Skorośmy to otrzymali, pomnożyły się

sposoby nasze otrzymania i więcej. Pchaliśmy się do nabycia wszystkich praw obywatelstwa i piastowania wszystkich urzędów; kosztowało nas to niemało, lecz czego złoto i wytrwałość nie zmogą?”.

To było ostatnie zdanie, jakie Kamil zapamiętał. Zasnął. Rano wstał ani mądrzejszy, ani głupszy niż dzień wcześniej. Za to na pewno bardziej przekonany o winie pejsatego z Lutczy.

lato 1882, Kraków

Kiedy Kamil wrócił z prowincji, liczył, że czekać już na niego będzie list od Marii. Nic z tego. Z melancholii zajrzał więc do jednego z poprzednich, jeszcze z lutego. Czytając go po raz wtóry, czynił nowe, ciekawe obserwacje.

...Nakazano nam smucić się tak długo, jak nam przykażą. Z pierwszą maskaradą, otwierającą karnawał, władze czekały do 22 stycznia. Szkoda, że nie do Wielkiego Postu. Ja rozumiem, że wciąż trwała żałoba po śmierci cara. Wiem, Kamilu, że nigdy nie rozmawialiśmy na tematy zahaczające o politykę, ale cóż - zaryzykuję. Powiem Ci tak: wybuch bomby, która 13 marca zeszłego roku zakończyła w Peterburku życie cara, miał też oznaczać, że w najbliższym czasie bombowych zabaw nie będzie w Warszawie, w „Nadwiślańskim Kraju”.

Kamil zastanawiał się, czy nie nazbyt frywolna ta uwaga? Godna zjadliwego publicysty, ale nie dziewczęcia. Czy aby nie narobi sobie kłopotów, rozgłaszając takie uwagi? Przecież ona i jej rodzina mogą napytać sobie czymś takim kłopotów! Nie mieszkali w Austro-Węgrzech (gdzie, jak święcie wierzył, było lepiej) tylko w Rosji! Czytał dalej.

...Nie, żebym sympatyzowała z Hryniewieckim - zamachowcem. Uważam jednak, że we wszystkim trzeba znać umiar. Toż nawet Wielki Post trwa 40 dni, a czcimy nim mękę kogoś znaczniejszego, niż ziemski władca. To tak między nami mówiąc. Mój papa nie lubi, kiedy sięgam po takie porównania i mówi zawsze: „Posuwasz się za daleko, dziecko”.

Kamil pomyślał, że nie bez racji tak powiada! Wolna myśl była cenna, ale rzadko słyszał, żeby pojawiała się w ustach kobiet młodszych od niego.

...Ale ja naprawdę nie jestem dzieckiem. Tak jak nie wszyscy Polacy są rewolucjonistami, a nie wszyscy rewolucjoniści - jak sądzę - zdolni do najgorszych okrucieństw. Niczym ci Zulusi. Tak, czytałam w prasie o tym, co wyrabiają z Brytyjczykami.

Kord wręcz złapał się za głowę. Naprawdę jego sympatia nie znała umiaru. Chłoneła wszystko dookoła. Nie bała się o niczym czytać ani wyrażać poglądów. Po chwili zreflektował się, że musiał wcześniej już to zauważyć, tylko nie do końca sobie to uświadamiał. Nie przypadkiem przecież dzielił się z nią potem brutalnymi szczegółami ze spraw, których przebieg śledził.

...Papa oczywiście aż zbladł, kiedy to zobaczył. Krzyknął, że „posuwam się za daleko” i niemal wyrwał mi gazetę z dłoni. Mam nadzieję, że nie bierzesz mnie za udawanego

światowca czy snobkę. Jak każdy człowiek, staram się tylko robić użytek ze swojego rozumu. Ale przecież nie nim jednym się kieruję. Na początku roku przeżyłam prawdziwie zachwycające chwile, kiedy do Warszawy przyjechała z dawna wyczekiwana Sara Bernhard* ze swoją trupą teatralną (no i zapewne z trumną, w której czasem ponoć sypia, niczym trup). Na nikogo tak nie czekałam, prócz Modrzejewskiej! Obejrzałam Damę Kameliową. Cudo! Oczywiście wielu snobów aż do przesady ją chwaliło, co w mądrych ludziach wywołuje reakcję akurat odwrotną. Niezrównany Prus napisał o niej w swojej „Kronice tygodniowej”: „Bernhardt jest, jak twierdzą jej przyjaciele, nie wiem już którym z rzędu cudem świata. Jest nie tylko genialną aktorką, ale jeszcze maluje, rzeźbi, ubiera się fenomenalnie, jeździ balonem, namiętnie pisuje komedyjki i jest na tyle ostrożną, że sama w nich nie gra. Prócz tego jest ona piękna jak hiszpański anioł, chuda jak rosół w taniej kuchni - i czuje niepokonany wstręt do miłości, czegom jednak nie sprawdzał”.

* Realia i wydarzenia warszawskie w oparciu o: K. Beylin, Dni powszednie Warszawy w latach 1880-1900; H. Duninowa, Warszawskie nowinki, 1815-1900.

Zainteresowanie - a więc i groźby ulicznych rozruchów oraz burd, które zawsze mogły się skończyć jakimiś awanturami o politycznym podtekście - było tak wielkie, że w styczniu ulicami Warszawy jeździła cała masa żandarmów na koniach. Na dodatek w pogotowiu czekało jeszcze więcej wojska. A pod teatrem „Rozmaitości” ustawiono nawet sikawki do polewania zbyt nachalnego tłumu, gdyby zagrażał artystyce. Można było pomyśleć, że szykuje się nie wydarzenie kulturalne, a jakieś nowe powstanie.

Ale to nie koniec atrakcji, które lały miód na moje serce, zmęczone ciągnącą się od miesięcy „wielką żałobą”, o której wcześniej wspominałam. Kilka dni po ostatnim spektaklu SB, w Warszawie pojawiła się z programem sama Modrzejewska! Mogłam dla porównania zobaczyć i ją w Damie Kameliowej. Stwierdziłam jednakowoż, że okazałabym się wtedy zbyt małym człowieczkiem, na siłę próbując porównywać i robić przytyki wobec osób o talencie znacznie przewyższającym moje własne.

Kamil promieniał. Skromność Marysi, tak rzucająca się w oczy, była niepotrzebna. Cały list dowodzi jej niezwyklej wiedzy i talentów, a tu nagle chce robić z siebie szarą myszkę bez poglądów. Nie czuje strachu przed wyrażaniem swoich opinii na politykę carskich władz, co mogłoby źle się dla niej skończyć, a wzbrania się krytykować artystki teatralne, co groziłoby jej co najwyżej kłótnią w dobrym towarzystwie. Czytał dalej, równie pochłonięty, jak za pierwszym razem.

Wybrałam się więc na Norę niejakiego Ibsena. Jak mi się wydaje, ze wszystkich sztuk akurat ta cieszyła się stosunkowo najmniejszym wzięciem. A to ze względu na nieznanego

autora. Ale naprawdę mi się podobała. Może kiedyś Ci o niej opowiem. Naprawdę, to nowa sztuka na nowe czasy.

Jednego tylko żałuję. Że nie było mi danym znaleźć się w salonie państwa G. (zresztą znajomych papy!), u których 13 stycznia pojawiły się obie boginie: Sara i Helena. Niestety, nie dane mi było. Ale dowiedziałam się potem o szczegółach.

Wyobraź sobie tylko tę chwilę (ale bez zbędnych małostkowych porównań, jak wspominałam). Z jednej strony niska, kruczowłosa, krótko ostrzyżona Sara, a z drugiej wysoka Helena, z długimi włosami spiętymi w węzły. Rozjarzony węgiel kontra pełen majestatu kryształ. Najzabawniej jednak było, gdy Sara zapytana została przez jednego z gości, jak jej się podoba polska mowa. Uśmiechnęła się i odparła: „Bardzo. Jakby ktoś gryzł zębami szkło”.

A może kryształ właśnie?

Maria Kuchara

Kamil siedział nad listem z rozmarzoną miną. Prawdziwym kryształem była jego Maria.

To, czego nie przyniósł ranek, podarowało Kamilowi popołudnie. Przyszedł wreszcie wyczekiwany list od Marii! Równie czarujący jak zwykle, sądząc po początku. Potem jego luba przeszła do spraw poważniejszych, które ją nurtowały. Najwyraźniej brakowało jej towarzystwa. Nielekceważącego przemyśleń młodej kobiety, po której teoretycznie można było spodziewać się raczej figli, niż głębszej refleksji. Więc tak samo, jak on wcześniej wyjaśnił, ile czasu spędzał nad swoim śledztwem, tak teraz Maria wyłożyła, co ją zaprzętało w ostatnim czasie. Zaczęło się, jakby w rzeczy samej tylko o figlach myślała. Ale to były jedynie pozory.

...Moim zdaniem ta nowa „wielka żałoba” owszem, powinna trwać w Warszawie, ale nie po carze, a po tym, co zaszło w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Przypominam sobie, że to była wyjątkowo słoneczna niedziela. Kto by pomyślał, że w taki piękny dzień może stać się coś tak nieludzko okropnego? Na pewno nie myślały tego niekończące się korowody odświętnie ubranych małżonków i ich dzieci, ciągnące do kościołów. W tym do kościoła św. Krzyża. Może nawet przyszło ich za dużo przez tę wspaniałą pogodę. Ścisk zrobił się ponoć niesamowity. Kiedy zaś podczas mszy ludzie w skupieniu się modlili, jakiś mężczyzna wrzasnął nagle: „Pali się!”.

Co było dalej, nie podejmuję się opisać, mimo że zapoznałam się z wieloma relacjami. Pewnie sam już czytałeś o tych kilkudziesięciu zdeptanych i uduszonych ludziach. Dramat nie do wyobrażenia. I to w kościele, w najbardziej radosne święta w roku.

Już samo to wydarzenie było tragiczne. Ale co zaszło później, pozostawia już człowieka oniemiałym. Jakieś indywidua zaczęły krzyczeć, że to Żydzi celowo zasiali panikę w kościele. Natychmiast znaleźli się też chętni, którzy poszli wziąć zbiorowy odwet na pobratymcach rzekomych winowajców. Połała się krew. Zniszczono i obrabowano dziesiątki sklepów. Ucierpiały tysiące niewinnych rodzin, których przodkowie byli sąsiadami Żydówki Maryi i Jej Syna prawie dwa tysiące lat temu. Takie to były święta Bożego Narodzenia.

Kamil jęknął. Z bólem serca skonstatował, że jednak jego Marysia będzie musiała jeszcze wiele się dowiedzieć i nauczyć. Wtedy nie szafowałaby tak łatwo argumentami największego kalibru.

...Zresztą, co tu tłumaczyć. Najgorsze, że policja i wojsko Z początku nie robiły nic, aby przeszkodzić awanturnikom. Słyszałam nawet, że żandarm krzyknął do mężczyzny, który jak sparaliżowany przyglądał się trwającemu bezprawiu: „Czego się gapisz? Idź bić Żydów albo się stąd wynoś!”.

Dopiero po dwóch dniach władze przywróciły porządek. Potem zaczęło się szukanie winnych. I nie chodziło tylko o pospolitych opryszków, którymi zajęła się policja. Rzecz dotyczy też zwichrowanych umysłów, które spuściły z łańcucha psy nienawiści. Oczywiście nasze największe pióra zwróciły uwagę, że zajścia warszawskie były ni mniej, ni więcej tylko pokłosiem podobnych, które miały miejsce kilka miesięcy wcześniej dalej na wschodzie. Najpierw w głębi Rosji, a potem w mniejszych miastach, już u nas. Tam też władze robiły niewiele, albo zgoła nic. W końcu w grupie zamachowców, którzy czaili się na cara, była i Żydówka. A ilu jest Żydów liberałów? Ilu woła za głośno o równość? Niech teraz mają za swoje!

Czy nie czujesz, że identyczny scenariusz szykuje ktoś i dla twojego cesarstwa?

Maria Kuchara

List Marii kończył się właśnie tym przesadnie wielkim znakiem zapytania. Godnym rozprawy historycznej albo filozoficznego eseju. Dla Kamila to była już gruba przesada. Miał nadzieję, że Maria nie wygłasza takich banialuków publicznie! Na tym jednak nie poprzestał. Postanowił szybko odnieść się do argumentów swojej ukochanej warszawianki. Natychmiast sięgnął po pióro i papier listowy.

Niesprawiedliwe cierpienie, nad którym tak się, Mario, litujesz, oczywiście warte jest naszej uwagi. Nie zapominaj jednak, do ilu napięć i niepokojów prowadzi polityka żydostwa wśród Polaków - zarówno u Ciebie w Rosji, u mnie w AustroWęgrzech, jak i w Niemczech. Toteż zbierają teraz plon z tego, co posiali.

Zwróć uwagę, że na przykład w Galicji - gdzie problem jest najbardziej widoczny - co

dziewiąty mieszkaniec jest Żydem. Będzie ich z osiemset tysięcy. Większość to handlarze. Nie dość, że nie chcą zasymilować się z chrześcijańskim społeczeństwem, to jeszcze ściśle współpracują, starając się wyrugować z handlu nieżydowską konkurencję. Aktywnie współdziałają też z nimi Żydzi przechrzczeni, pełniący ni mniej, ni więcej, tylko rolę ich szpiegów! Myślę, że znasz te praktyki także z Twojej rodzinnej Warszawy.

Dalej Kamil podążył już w stronę politycznego manifestu. Pal lichu konwenanse, przecież Maria nimi pogardzała!

Warto tu przytoczyć, co o sprawie żydowskiej mówi niezrównany pan Teofil Merunowicz*, od zeszłego roku poseł na galicyjski Sejm Krajowy. Twierdzi on, że dzięki ciągłym inwestycjom Żydzi doszli już do takiej potęgi i bogactwa się w takim tempie, iż w ciągu trzynastu lat mogliby przejąć wszystkie dawne majątki szlacheckie. Mając Talmud za swoją mądrość, gotowi są wygubić całą ludzkość, byle zdobyć to, co najbardziej kochają: pieniądze. Teraz są tego bliżsi niż kiedykolwiek, bo nie tylko już nie zabrania się im kupowania ziemi ani mieszkania w miastach, lecz wręcz obłaskawia przywilejami. W ten właśnie sposób nadmierny liberalizm (który, jak przyznaję, dość bezkrytycznie do tej pory hołubiłem) przyczynia się do upadku naszej cywilizacji. Upadku, za którym stoi „naród wybrany”, a w rzeczywistości „naród wyzyskiwaczy”. Bo czy nie jest to nasz Armagedon? Majątki ziemskie upadają, pociągając na dno swych właścicieli, a chłopci piją na umór i wyprzedają ziemię. Handel znalazł się w brudnych żydowskich rękach. A judejscy finansiersi coraz częściej dyktują politykom, jakie podejmować decyzje.

* O sytuacji w Galicji: M. Cieśla, J. Żyndul, „Sprawa Ritterów. Aktualizacja legendy mordu rytualnego w Galicji końca XIX wieku”, w: Kwestia żydowska w XIX wieku. Spory o tożsamość Polaków; A. Żbikowski „Rozwój ideologii antysemitki w Galicji w II połowie XIX w.”, w: Teofila Merunowicza atak na żydowskie kanały, Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 3¹/1993; „Rola” 1882.

Pejsaci mnożą się jak króliki, ale związek między kobietą a mężczyzną (który dla mnie ma znaczenie podstawowe) jest dla nich jedynie środkiem do wzrostu ich pogłowia! Żyją dostatnio i wolni od niebezpieczeństw. Wszak powołać żydłaka do wojska to prawdziwy cud. Albo nagle wyparuje, znikając z dokumentów, albo ujmie się za nim kahał, czyli rada żydowskiej gminy. A nawet jeśli uda się już go powołać, to co z niego za wojak?! Nie na darmo Żydzi stracili swą ojczyznę.

A propos kahałów - te powinny być rozwiązane, bo w nich siedzi samo zło. Dysponują własnymi środkami finansowymi, które zbierają od członków swej gminy, manipulują dokumentami i wdrażają w czyn talmudyczne nieprawości. Czytałem u ks.

Rohringa, a Merunowicz w całości się pod tym podpisuje, że to właśnie rabini są najgorsi. To ci żydowscy mędrzy i mędrkowie zajmują się zawodowo obmyślaniami kolejnych kroków w niekończącej się wojnie judejskich pasożytów z innymi, szlachetnymi narodami.

Kamil przerwał na moment. Zastanawiał się, czy nie za głęboko sięgnął do myśli swoich mentorów. Ale przecież były to teraz i jego poglądy. Do listu dołączył nawet kopię zabytkowej ryciny, pokazującej, jak Żydzi szykują kąpiel swemu mistrzowi, zbierając krew z przekłutych dzieci. Nie było to zbyt piękne dzieło, ale historyczne. Kamil uznał je za istotny argument w dyskusji, jaką wydawał się toczyć z Marią.

List natychmiast wysłał. I czekał.

Maria długo nie odpisywała na jego rzeczowe argumenty. Tak długo, że w tym czasie odbył ważną podróż. A po powrocie - stwierdziwszy, że Maria wciąż milczy - wygotował do niej kolejne pismo. Kolejny listmanifest, jak miało się okazać.

Zasiadł do niego z energią, zgoła podekscytowany. Czuł, że w jego życiu dzieje się coś ważnego. Musiał się tym podzielić. A z kim, jeśli nie z nią, tak otwartą na wszelką refleksję?

... Z braku odpowiedzi wnoszę, że udało mi się przekonać Cię różnymi argumentami, że sprawę żydowską traktować trzeba bez zbędnych sentymentów. Wracam właśnie z zagranicy, z Drezna, na zupełnie niezwykle wydarzenie, które nazwano „pierwszym międzynarodowym kongresem antyżydowskim”. A może nawet lepiej i mądrzej byłoby powiedzieć „antysemickim”. To nowe słowo od kilku lat robi karierę.

Śmiało mogę stwierdzić, że kongres nasz odbył się pod swoistym patronatem Estery Solymossy. Tak, tej właśnie biednej Węgierki, którą spotkał tak pożałowania godny los! Nigdy więcej! Od dziś hasła „nie kupuj u Żyda” i „trzymaj ze swoimi” powinny być początkiem naszej walki z dominacją tych pasożytów. A sądy surowo powinny karać bestie, które podczas praktyk niby religijnych pozbawiają ludzi życia. Toż gorsi są niż Zulusi!

Mam nadzieję, że procesy Ritterów i Scharfów sprawią, iż my, chrześcijanie, oprzytomniejemy. Za Scharfów z TiszaEszlar wzięła się policja pod okiem posła Onodyego, podobnie walczącego jak Merunowicz u nas. Stary sługa z synagogi zaprzeczał, ale jego dzieci - pięcioletek Samuel i czternastolatek Moryc - same go zdradziły. Najpierw zaczął mówić ten młodszy, a wreszcie i starszy wyznał prawdę. Dodał też nowe szczegóły: „Znałem Esterę już dawniej. Tego dnia niosła paczuszkę z farbką w starej żółtej chustce. Mój ojciec zawołał dziewczynę do naszego domu. Potem mieszkający pod naszym dachem żebrak Wollner zabrał ją do bożnicy. Tam położył ją na podłodze i rozebrał do koszuli. Oprócz ojca i Wollnera byli tam wśród kilku innych osób także rzeźnicy Buchsbaum, Braum, no i Schwarz.

Dwóch pierwszych trzymało Esterę, a Schwarz poderzwał jej nożem gardło. Płynącą krew zebrali do naczynia. Ja patrzyłem przez dziurkę od klucza i wszystko to widziałem. Mój brat Samuel sam nic nie widział, to ja mu rzecz całą opowiedziałem”.

I nareszcie rozpoczęły się aresztowania zbrodniarzy. Chyba z piętnastu ich zamknęli. Tymczasem 18 czerwca z Cisy wyłowiono zwłoki kobiety z chustką, w której zawinięta była jasnoniebieska farbka! Nie miała jednak poderzniętego gardła. Więc nie mogła to być Estera. Matka też jej nie poznała.

Ale Żydzi upierali się, jak to oni, że naprawdę wyłowiono Esterę. Czyli Że opowieść o rytualnym mordzie jest wymysłem, opartym na chłopięcych fantazjach. Całe szczęście, od tego jest nauka! Przybyli lekarze i stwierdzili kilka niezaprzeczalnych faktów. Z budowy wyłowiona kobieta jest starsza od poszukiwanej. Na dodatek miała już kontakty z mężczyznami. Poza tym topielica była martwa od najwyżej dziesięciu dni, a nie tygodni. Znaczące, że skórę miała delikatną, a stopy zadbane. Czyli nie chodziła boso, jak Estera, i nie znała trudu pracy fizycznej.

Tak to żydowski spisek został przejrany! Spisek, bo w toku dalszego śledztwa trafiono do ludzi, którzy wynajęci przez Żydów znaleźli zwłoki, przebrali je i ucharakteryzowali na Esterę! Rzecz może by się i udała, gdyby nie fakt, że żyjemy w wieku XIX. Nasza nauka i wiedza są w stanie rozszyfrować podobne machinacje. Żyjemy w epoce rozumu. Nie damy już się zwodzić.

Pewien prawnik tak mówi o Żydach: ”Talmudy zabiły w nich nawet resztki godności ludzkiej. Każda godzina ich pobytu na tej ziemi, każdy krok zaznaczone są zniszczeniem naszym”. I takie słowa skierował do tych „pasożytów” i „mefistofelesów”: „Na was nie pomogą żadne środki ustawodawcze. Na was trzeba by żelaznej ręki dyktatora patrioty!”.

A parę dni temu p. Merunowicz, przy okazji przedstawiania wniosku w sprawie uregulowania niejasnych stosunków prawnych Żydów, wspomniał właśnie o zbrodniach talmudycznych. Tak oto mówił: „Otóż właśnie w tym roku uwaga publiczna całej Europy jest zwrócona na wypadek w TiszaEszlar. Jest to wypadek straszny, krwawy, jest to niezaprzeczalnie morderstwo. Nie chcę przesądzać o tym, jaki jest charakter tego morderstwa (zbyttnia życzliwość z jego strony!) i jakie były jego powody. Niebawem odbędzie się rozprawa sądowa, która niezawodnie rzecz tę wyjaśni”.

Zadziwiająco, jak obie sprawy zbrodni talmudycznych się napędzają i jaka zachodzi między nimi koincydencja. Merunowicz w Sejmie Krajowym we Lwowie wspomniał: „Podobny wypadek mamy jednak i my w naszym kraju, który prawdopodobnie może jeszcze w tym miesiącu będzie przedmiotem publicznej rozprawy sądowej w Rzeszowie. Jest to

niewątpliwie ciekawą zagadką psychologiczną, jakiego rodzaju motywy były tak silne, iż skłoniły tę rodzinę żydowską do podobnego czynu? Sąd stryżowski odniósł się w tej sprawie do rabinatu wiedeńskiego, który oświadczyć miał, że rzeczywiście w tych okolicznościach, w jakich to się stało, można przypuszczać, że pobudki do tego czynu były religijne. Że stało się to dla zadośćuczynienia pewnym przepisom talmudu”.

Oczywiście na te ostatnie słowa w kręgach żydowskich posłów podniósł się wielki zgiełk. Ale ich wrzaski nie zmieniają faktów. Trzeba działać, choćby jak Ernst Henrici, którego poznałem w Dreźnie. Nie w wieku pastora Stoeckera czy księdza Rohringa, a zaledwie kilka lat ode mnie starszy, założył on partię narodowo-socjalną, walczącą z żydowskim wyzyskiem i zakłamaniem. W tej sprawie złożył też petycję u kanclerza Bismarcka. Wie, że ludzka cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Jeśli Żydzi się nie zmienią, masowo zaczną płonąć synagogi. Gdzieniegdzie już płoną. Niech to da im do myślenia.

Jest więc nadzieja, że ten staczający się świat można zmienić. Może za pięć lat, może za piętnaście, a na pewno za pięćdziesiąt my też tego doczekamy. Problem żydowski zostanie ostatecznie rozwiązany.

Część II

Proces

I

2 grudnia 1882, Kraków

Mistrz Matejko znów był na ustach wszystkich Polaków, czy chciał tej popularności, czy nie. Jego „Hołd pruski” wystawiony został na międzynarodowej wystawie w Rzymie. Już przed otwarciem przed gmachem wystawy ustawiały się kolejki. A młodzi polscy artyści, kształcący się w Rzymie, przesłali Matejce pergamin z życzeniami: „Czcigodny Mistrzu! Odczuwając w dziele nie tylko artystę, lecz i Polaka gorąco swój kraj i historię kochającego, żywimy wielką cześć dla Twych wzniosłych i szlachetnych czynów, a nie mogąc osobiście uścisnąć Twej szlachetnej dłoni, przesyłamy Ci z dala, my młodzi artyści, wyrazy najgłębszej czci i uwielbienia”.

Inny charakter miały rozmowy o Matejce w Krakowie. Nie dyskutowano o „Hołdzie pruskim”, a o rozprawie, która miała odbyć się 2 grudnia. Artysta pozwał o obrazę czci niejakiego Leona Eibenschuetza. Żyda*. Jak do tego doszło?

* D. Konstantynów, „«Mistrz nasz Matejko» i antysemita”, „Kwartalnik Historii Żydów” 2007, nr 2; „Czas” 1882.

Zaczął się od przemówienia, jakie Matejko wygłosił 16 października, inaugurując nowy rok kształcenia w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, której dyrektorem był. Pouczył uczniów, że polski artysta ma dwie ojczyzny: kraj i sztukę, a potem stwierdził: „Sztuka jest obecnie dla nas pewnego rodzaju orężem w ręku. Oddzielać sztukę od miłości ojczyzny nie wolno! Kto tak nie czyni, ten tylko może połowicznie służyć krajowi, bo sztuka nie tylko jest służbą dla kraju, ale jest obowiązkiem, ofiarą, w ostatnich zwłaszcza czasach”.

Następnie zwrócił się ze szczególnym przesłaniem do uczniów pochodzenia żydowskiego: „A wy, uczniowie hebrajczycy, którzy do naszej Szkoły Sztuk Pięknych przybywacie, pamiętajcie, że sztuka nie jest handlową spekulacyjną jakąś robotą, lecz pracą w wyższych celach ducha ludzkiego, w miłości Boga z miłością kraju złączoną. Jeśli wy chcecie tylko w artystycznym naukowym zakładzie nauczyć się sztuk pięknych dla spekulacji, a nie czuć ani wdzięczności dla kraju, ani żadnych dla niego obowiązków, jeśli wy, hebrajczycy, żyjąc w naszym kraju od wieków, nie poczuwacie się do szlachetniejszych dla kraju naszego uczynków ani też chcecie być Polakami, to wynoście się z kraju, idźcie od nas tam, gdzie nie ma żadnej ojczyzny, ni wyższych uczuć miłości kraju, ni wyższych cnót ludzkich w miłości ziemi poczętych”.

Wystąpienie Matejki, przedrukowane w prasie, wzburzyło żydowską inteligencję w Krakowie. Jej przedstawiciele mówili, że duma Polaków staje w jednym rzędzie z

antysemitami, którzy najchętniej przegoniliby Żydów na wieś i zaprzęgli do pług. Krakowska gmina żydowska oficjalnie zareagowała na wystąpienie artysty 29 października, publikując w „Czasie” protest. Zarzucili w nim Matejce nierówne traktowanie uczniów żydowskich i prowokowanie waśni narodowościowych. Szczególnie zirytowało sygnatariuszy listu oskarżenie Żydów o brak uczuć patriotycznych w stosunku do Polski. Napisali więc o Matejce: „Zapomniał, że Izraelici od kilku wieków na tej ziemi naszej mieszkając nie są już Hebrajczykami, obcymi, lecz są synami tego kraju. W którym przodkowie ich żyli i umarli.

Zagrażać synom tej ziemi wytrąceniem ze szkoły publicznej, z której korzystać mają pełne prawo, rugować ich stąd, wskazywać im kraje, gdzie nie ma ojczyzny, nikt nie ma prawa”.

Jednym z sygnatariuszy protestu był adwokat Leon Eibenschuetz, którego bardzo ta sprawa poruszyła. Do tego stopnia, że w kantorze swoich krewnych pokłócił się na całego z niejakim Marianem Gorzkowskim. Ten sekretarz i przyjaciel Matejki znany był z antysemitycznych przekonań. Obrażony słowami Eibenschuetza o artyście, Gorzkowski zapowiedział pozew. Atmosfera gęstniała.

Podgrzał ją w listopadzie warszawski przedsiębiorca Dawid Rozenblum, właściciel i stały wystawca „Bitwy pod Grunwaldem”. W liście opublikowanym w prasie zarzucił Matejce nietolerancję. „Hańba tym, którzy cię popchnęli do słów niegodnych, dając tym wspólnym wrogom pozór do poniżenia cię w oczach naszych i świata. Ich to dzieło, nadużyli twej dobrej wiary. Spiesz wyrzec się ich, aby wielkości artysty nie przyćmiła miernota człowieka”, stwierdził. Wiadomo, kogo mógł mieć na myśli.

Druga strona nie pozostała dłużna. Zarzuciła Rozenblumowi, że nie kupił obrazu z potrzeby ducha, ale dla zbiccia na nim interesu. Przecież obwoził „Bitwę pod Grunwaldem” po kraju, wynajmował, wystawiał za granicą. Handlował polskim patriotyzmem. Zbijał na nim kokosy.

W takiej atmosferze rozpoczynał się proces z pozwu Matejki (Gorzkowskiego) przeciw Eibenschuetzowi. Kolejny, jaki zamierzał śledzić z racji dziennikarskiego obowiązku i politycznych zainteresowań Kamil Kord. Wybrał się na niego razem z Hubertem, który wyjątkowo zdołał wygospodarować trochę czasu. W końcu zimą nie musiał pilnować swoich zaśnieżonych pól naftowych.

W drodze do sądu rozprawiali o żydowskich intrygach, kiedy nagle wpadł na Kamila... Anioł. Kordowi załopotały przed oczami papierowe skrzydła i aureola na drucie. Za nim pojawili się Święty Mikołaj i Diabeł. Wszyscy byli podchmieleni.

Anioł nie dość, że sam nie przeprosił za zderzenie, to jeszcze zrugął Kamila od

ostatnich. Zwykle świątecznymi przebierańcami byli bezrobotni zimą murarze, a ci mieli bogaty słownik furmańskiej łaciny. Zmieszany z błotem Kamil był tak zaskoczony, że z pokorą przyjął obelgi. Już chciał zareagować Hubert, ale ciekaw był, jak młodszy brat sobie poradzi. Okazało się, że nijak.

- Na Boga, dałeś na siebie nakrzyczeć jakiemuś oberwańcowi - szarpnął Kamila za łokieć. - Wystraszyłeś się? Bądź mężczyzną!

- To tylko pijak... - wzruszył ramionami Kord.

- Właśnie. Powinieneś dać mu do wiwatu! Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się jak panienka.

- Może powinienem nauczyć się boksu angielskiego? Albo zacznę nosić rewolwer? Mógłbym podziurawić kilku Mikołajów. To byłby widok! - zażartował Kamil, którego nawet bawiła irytacja Huberta.

Ten jednak był tak wściekły, że wieczorem naskarżył ciotce, jakim niezgłą i tchórzem jest Kamil. Teraz skwitował tylko kwaśno: - Cóż, niektórzy rodzą się już po prostu zajmą podszyci, nawet w najlepszych rodzinach. Swoją drogą, trzeba by wprowadzić jakiś zakaz dla tych przebierańców na ulicach. Jaki przykład dają takie moczymordy dzieciom? Trzeba o tym napisać w gazecie - utyskiwał zirytowany.

Już w gorszych nastrojach dotarli do sądu. Tam Kamil, zamiast dyskutować z Hubertem, słuchał rozmów ludzi zgromadzonych na sali. Ktoś z nich podkreślał, że wyznania nie utożsamia z narodowością, dlatego też mianem Polaka określa każdego, kto rozumie i wypełnia obowiązki obywatela polskiej ziemi. Ktoś cytował z gazet jakiegoś mądrałę: „Nie na targu, nie na giełdzie przemawiał Matejko, ale w przybytku sztuki, który przewrotnych spekulantów nie ściąga i złych instynktów do nadużyć nie uzbraja. Czymże ci przyszli artyści mojżeszowego wyznania mogą zasłużyć na to, ażeby ich w zadatku przyszłej hańby policzkować dziś groźbą wygnania z kraju? A jeżeli którykolwiek z nich zetrze sobie później z czoła pomazanie sztuki, to czyż oni tylko są jej przeniewiercami? Opluci, wzgardzeni, często pobici i zrabowani przychodzą do szkoły, ażeby w niej ukształcić się, upodobnić się do swych współobywateli, może nawet złożyć krajowi cenne owoce swych prac - i w tym dążeniu zastępuje im drogę mistrz - z batem w rękę? Nie, to nieludzko, to nieszlachetnie, to nie przystoi półbogom, to właściwe tylko dla lekkomyślnych sylenów”.

Inne kwestie był krótsze. Siedzący obok Kamila człowiek o nerwowych ruchach rozповідаł naokoło: - Ponoć Matejko mówi, że Żydzi to plemię szkodliwe, najszkodliwsze na świecie i ziemię naszą chronić musimy od Żydów, a lud od karczm żydowskich. A arogancją Rozenbluma jest mistrz wręcz porażony.

- Taka afera teraz, kiedy postanowił ofiarować Wawelowi swój „Hołd pruski”! - rzucił kto inny.

Jakiś egzaltowany jegomość wietrzył w aferze z przemówieniem Matejki jakieś grube nieporozumienie: - Dziwne słowa! Tak cenił malarstwo Maurycego Gottlieba, Żyda przecież. Chłopak nie żyje już, liczyliby teraz jakieś 25-26 wiosen. Mistrz Matejko nazwał go malarzem wielkich nadziei, taki miał talent. Najpierw studiował w Wiedniu, ale kiedy zobaczył „Rejtana”, zachwycony wrócił nad Wisłę. Chciał uczyć się u Matejki w Szkole Sztuk Pięknych. Ale niedługo był w Krakowie, bo zmierzły go antyżydowskie wybryki na uczelni. I wtedy sam Matejko się za nim wstawił, jak rodzony ojciec. Ale skrzywdzony do głębi młodzieniec odjechał znad Wisły. Wrócił do Wiednia. Długo już nie pożył.

Kamil ze zdziwieniem zauważył, jak szerokie spektrum poglądów prezentują zgromadzeni na sali. Można się było spodziewać żywych reakcji publiczności podczas procesu. „Zaiste, będzie o czym pisać w gazecie”, pomyślał.

Gdy proces się rozpoczął, od razu wynikła różnica w zeznaniach między Gorzkowskim a Eibenschuetzem. Przyjaciel Matejki tak zapamiętał słowa wypowiedziane przez pozwanego: „Co ten wasz łajdak Matejko myśli sobie wygadywać do Żydów, my go nauczymy, my mu pokażemy, my mu damy, my go pod Siemiradzkiego podkopujemy”.

Według Eibenschuetza jego słowa były inne: „Zobaczysz pan, że potomność wyżej postawi Siemiradzkiego nad Matejkę, bo tamten nikogo nie obraził”. Podkreślił też, jak zirytowała go riposta Gorzkowskiego: „Przecież Matejko nie mówił do Żydów tego rodzaju co pan, lecz do innych chałaciarzy”.

Gorzkowski z kolei podkreślał, jak Matejki bronią jego szkolni podopieczni, także wyznania mojżeszowego: - Gdy wieść się rozeszła, że ktoś ubliżył panu Matejce, podszedł do mnie jeden z uczniów, Żydów, pytając, kto ubliżył Dyrektorowi. Gdy mu zajście opowiedziałem, nie wymieniając z nazwiska pana Eibenschuetza, rzekł do mnie: „Powiedz mi pan, kto śmie ubliżać naszemu Dyrektorowi, to mu mordę nabiję!”.

Tłumaczył też przemówienie Matejki pewnym przykrym zajściem, jakie miało miejsce w szkole: - Jeden z uczniów starozakonnych przy konkursie, którego warunkiem jest wykonanie roboty w szkole pod okiem profesora, zabierał swą pracę tajemnie do domu, gdzie mu prawdopodobnie ktoś pomagał. Gdy się to doniosło, wstrzymano owemu uczniowi przyznaną już nagrodę pieniężną, na żądanie innych kolegów konkurujących sumiennie.

Oburzał się też Gorzkowski na prezydenta miasta Ferdynanda Weigla. Rzekomo zagroził on, że w odwecie za mowę Matejki żydowscy radni nie dopuszczą do nadania jednej z ulic jego imienia.

- To kłamstwo! - krzyknął ktoś z publiczności. Na sali zawrzało.

Potem nastroje jeszcze bardziej się spolaryzowały, gdy oskarżający Eibenschuetza dr Mochnacki stwierdził, że trwa nagonka na Matejkę, „napaść obelżywa ze strony całego żydostwa”. - Nie mogę tej sprawy dochodzić przeciw całemu żydostwu sądownie, więc tutaj dochodzę jej przeciw jednemu doktorowi Eibenschuetzowi - stwierdził.

Na to Eibenschuetz wtrącił głośno: - Czyli mam być kozłem ofiarnym.

- Proszę mi nie przerywać - osadził go Mochnacki i kontynuował. Mówił, że w Galicji „na 800 000 Żydów jest ledwie 50 000 pracujących, a reszta żyje ze spekulacji i pracy cudzej”. I że są też „tacy Żydzi, którzy uczynili ze sztuki najobrzydliwszą spekulację, jak owa Sarah Bernhard”. Czy powinny więc dziwić napomnienia Matejki w stosunku do młodych artystów?

Udowadniał dalej oskarżyciel, odwołując się do historii, że zarzuty z mowy Matejki wobec Żydów są słuszne. Litanię dowodzącą żydowskiej szkodliwości przerwał przewodniczący sądu. Wtedy Mochnacki jął opowiadać, kim dla Polaków jest Matejko. Nazwał go geniuszem, który maluje Polakom sen o lepszej doli i budzi narodowe uczucia. Który maluje tylko z myślą o Polsce, a nie o pieniądzach. - I tego oto męża nazwał doktor Eibenschuetz łajdakiem! - zgromił pozwanego i powiódł wzrokiem po sali. Ta różnie zareagowała.

- Prawda!

- Żydożerca!

- To jakiś skandal - huknął brodacz za plecami Kamila, aż ten podskoczył.

- W końcu ktoś publicznie powiedział prawdę - stwierdził zaś Hubert.

Zakończył Mochnacki jeszcze mocniej: - Nie znam ustawy karnej na obrażony majestat. Nie mogę jedną obręczą ścisnąć wszystkich obrażających swym podpisem na proteście Matejkę. Więc choć w szczyptych granicach paragrafu 496 chcę w osobie pana Eibenschuetza formalnie ukarać całą tę napaść na mistrza naszego.

Eibenschuetz nie pozostał mu dłużny: - W taki sposób nikt jeszcze w Polsce nie przemawiał, nikt nie szerzył jeszcze takich poglądów antysemickich. Jestem tak przejęty, że spokojnie mówić nie mogę. Nie ja tu jestem teraz oskarżony, ale to jest sprawa doktora Mochnackiego kontra Żydom w ogóle, której ja jestem kozłem ofiarnym. Lecz traktuję przedmiot jako mój własny, bo nie jestem upoważniony zastępować Żydów wszystkich.

Kamil myślał, że poczuje się na tej rozprawie jak ryba w wodzie. Niestety, teraz czuł tylko ból głowy.

Wreszcie sąd podjął decyzję. Uznał Eibenschuetza winnym i za obelżywe wyrażenie

się o Matejce w miejscu publicznym skazał go na grzywnę 150 zł reńskich na rzecz ubogich i 10 dni aresztu.

Podniosła się wrzawa.

- Będzie apelacja. Na pewno - zahuczał nad głową Kamila ten sam jegomość, który mówił o skandalu. Co tam apelacja. Rozległy się wiwaty na cześć Matejki i Gorzkowskiego.

Kiedy Kord wstał, zobaczył, że przypatruje mu się jakiś człowiek, na zmianę blednąc i czerwieniejąc. „Skąd ja go znam? Czy nie z kościoła w Lutczy?”, przemknęło Kordowi przez myśl. Wydawało się, że starszy pan chce podejść albo Kamila przywołać, ale nie udało mu się. Korda porwał wiwatujący na cześć Matejki tłum, a mężczyzna zniknął za korowodem ludzi ciągnących z gratulacjami do Gorzkowskiego i Mochnackiego. Byli wśród nich studenci, którzy już rozmyślali, jak w imieniu narodu podziękować prawnikowi tak dzielnie wypowiadającemu się w obronie narodowego „króladucha”.

Eibenschuetza Kamil nie zobaczył.

10 grudnia 1882, Kraków, Rzeszów

Proces Matejki w Krakowie był tylko przedsmakiem tego, co czekało Korda parę dni później w Rzeszowie - sprawy Ritterów!

Do Rzeszowa został proces przeniesiony ze Strzyżowa ze względu na zainteresowanie, jakie budził, rangę i poziom skomplikowania. Dla Kamila był to zimą mniejszy problem, niż dla ludzi z prowincji. On mógł tam dojechać koleją. Oni, nawet świadkowie, musieli przedzierać się przez śnieg saniami.

Kamil mógł dojechać koleją, ale nie dojechał. Okazało się, że pilną informację miał dla niego „Urzędas”. Wiedział, że gazeta Kordów & Konickich interesuje się sprawą Ritterów. Wynałazł więc dla nich pewien interesujący dokument, który mógł sporo namieszać w tym procesie. Nawiązywał do orzeczenia lekarskiego, mówiącego o celu wycięcia płodu, i wskazywał na możliwy dodatkowy kierunek śledztwa. Kord był wręcz zaszokowany. „To może być bomba. Muszę o tym porozmawiać z tym oficerem ze Strzyżowa, Ponarem”, pomyślał Kamil. Już wcześniej dowiedział się o nim dość zaskakujących rzeczy, także za sprawą „Urzędasa”. „Ponar nie będzie miał wyjścia. Musi mi pomóc”, uznał Kamil.

Póki co, przedłużające się spotkanie z „Urzędasem” sprawiło, że Kord spóźnił się na ostatni pociąg do Rzeszowa. A tymczasem już od kilku tygodni trwały mrozy i śnieżyce. Kord nie miał innego wyjścia jak wynająć sanie, a raczej zamknięty powóz na płozach. Nie był to zbyt szczelny i wygodny pojazd, ale nie mógł wybrzydzać. Musiał nawet zaakceptować fakt, że dzielił ją nie z pasażerem, a z jakimiś bagażami, wiezionymi chyba do jakiegoś probostwa czy klasztoru. Były tam ciężkie kufry, lżejsze pudła, a nawet jakiś futerał, najwyraźniej od skrzypiec. „Jakby w tym bałaganie pogrzebać, można by pewnie znaleźć całą orkiestrę”, westchnął Kamil, patrząc na piętrzącą się naprzeciw jego siedzenia stertę bagaży.

Zamyślony, okryty futrami, nawet nie zauważył, że na zewnątrz jeszcze okrutniej popsuka się pogoda. Mróz się srożył. Przez szczeliny w obudowie zaczął coraz gwałtowniejszy wdzierać się wicher. Śnieg zalepił okna.

Nagle pojazd stanął. Po chwili drzwi się otworzyły i pojawił się w nich woźnica. Śnieg mieszał się na jego brodzie z siwizną. Ale pozory myliły. Nie był starcem, krzepy mu nie brakowało, a dłonie miał jak bochny chleba. Otrzeptał się, wcisnął swe zwaliste cielsko do wnętrza i zatrzasnął drzwi.

- Co się dzieje? - spytał zaniepokojony Kamil.

- Ano postój! Oj, nie wiem, panie, czy dalej damy radę. Droga coraz węższa, a śniegu

coraz więcej.

- A mnie się coś wydaje, że chcecie podbić cenę.

- Ejże, niech wielmożny pan nie robi ze mnie krętacza - obruszył się woźnica. - Tacy to mieszkają w Krakowie, nic szanownemu panu nie ujmując. Przyjeżdża, panie, familia z prowincji, idzie w południe pod kościół Mariacki, a tam wychodzi do nich miejscowy cwaniak i mówi, że za parę groszy załatwi, żeby z kościelnej wieży zagrali dla nich słynny hejnał. Prostaczkowie się zgadzają, szuja zbiera od nich pieniążki, a potem znika w kościele. Niby z hejnalistą gada, a tak naprawdę parę minut bąki zbija. Doskonale wie, że w południe hejnał zagrają tak czy owak. Po trzech zdrowaśkach wraca i mówi, że wszystko załatwił. Hejnał grają, prowincjusze zadowoleni, a on bogatszy za nic.

Kamil zaśmiał się, woźnica też pohukiwał tubalnie, a widząc, że ubawił pasażera, postanowił uraczyć go jeszcze jedną opowiastką. Wcześniej pociągnął jednak z manierki łyk jakiegoś napoju. „Żeby się ogrzać, za pozwoleniem wielmożnego pana”. Nos Kamila nieomylnie zidentyfikował gorzałkę.

- Jest w Krakowie taki karzeł, Maniś ma na imię. Czasem przebiera się w dziecięce szatki i wygląda wtedy jak mały chłopczyk. Zaczepia eleganckie damy i prosi o pieniążek albo żeby słodyczkami go nakarmić. Raz jednak był chyba napity, bo zaczął biadolić jakimś starszym paniom, że chce siusiu, a mama zniknęła, więc nie wie, co robić. Matrony w końcu zgadzają się zabrać go pod drzewko na bok, pomagają rozpiąć spodenki, a tam bynajmniej nie mały wyskakuje...

Kamil aż się zakrztusił. O ile pierwsza historyjka szczerze go ubawiła, druga była już tak ordynarna, że dech mu zaparło. Upił się ten woźnica, czy co?

- Dobra historia, nie uważasz pan? Koleżkowie tego Maniusia, co stali nieopodal, to wszystko widzieli. I aż ich brzuchy bolały od śmiechu, gdy patrzyli, jak te stare wrony się wypłoszyły - woźnica z satysfakcją znów pociągnął łyk z manierki.

- Jak dłużej tu postoiemy, to całkiem nas zasypie - zmienił temat Kamil, patrząc na białą już szybę.

- Co prawda, to prawda. Starczy tego popasu, jużem się rozgrzał. Miło było z wielmożnym panem kurturarnie se pogawędzić - przyznał woźnica kordialnie. Uniósł się, skinął głową i wytoczył na zewnątrz. Na schodku lekko mu się odbiło, ale nie w stronę pasażera, więc trudno było odmówić mu elegancji.

I tak znów podjęli podróż. Czwórka koni z uporem przedzierała się przez świeży, lepki śnieg. Rzeszów był coraz bliżej. Już zmierzchało, gdy nagle pojazdem zarzuciło i stanął, gwałtownie przechylony. Nie wyglądało to dobrze. Zaniepokojony Kamil wyszedł na

zewnątrz. Woźnica chodził dookoła sań, coraz głośniej pomstując.

- Co się dzieje? - spytał Kamil.

- Jak widać. Wjechalim w taką zaspę, że nie idzie się ruszyć.

- Może spróbujemy popchać? - rzucił głupio Kord.

- A co to da, panie - woźnica machnął ręką. - Tu całej chmary parobków by trzeba.

- To co robić? Daleko do Rzeszowa?

- Niii... Wierzchem to normalnie z pół godziny. Teraz to godzinę w jedną stronę będzie.

Kamil rozejrzał się. Śnieg padał coraz gęstszy i wiatr się wzmaczał. To już prawie była zamieć. - To może wyprzęgnijmy konie i jedźmy - zaproponował.

- Panie, mam całe to dobro w środku zostawić? Proboszcz całkiem mnie wyklnie.

- Na cóż mu tyle dobra? Woźnica znów tylko machnął ręką.

- To może ja wyprzęgnę konia i pojedę. Bagażu prawie nie mam - zastanawiał się głośno Kamil.

- To musiałby wielmożny pan za konia mi zapłacić. Ale przeca w taką pogodę drogi pan nie znajdzie. Strach by cię puszczać, bo zginiesz pan niechybnie.

- To jakie mamy wyjście?! - Kamil musiał mówić coraz głośniej, bo zagłuszał go hulający wiatr.

- Wiem! - woźnica z zadowoleniem klepnął się po udzie. - Ja wyprzęgnę konia i pojedę po pomoc, zaś wielmożny pan bezpiecznie poczeka w środku. A i to całe dobro będzie miało opiekę.

- Niech i tak będzie. Dwietrzy godziny jakoś tu pod futrami wytrzymam.

- Jakby co, to niech wielmożny pan pogra se na tych skrzypkach, to się rozgrzeje - woźnica znów zabłysnął wykwinnym humorem.

- Dobrze, ale już jedźcie - ponaglił go Kamil.

W parę chwil woźnica zamienił się w jeźdźca, a Kamil zatrzaskał się w pudle sań. Schował książkę do kieszeni i naciągnął na siebie więcej futer i pledów. Widział w powietrzu parę swego oddechu.

Już niemal zasypiał, gdy nagle orzeźwiło go rzenie koni. Gwałtowne i przeraźliwe. Szarpały się. „Czyżby przyszła pomoc? Niemożliwe, to za szybko”, pomyślał. Wtedy usłyszał wycie. To wilki!!!

Zima nie trwała jeszcze długo, ale była mroźna. Wilki mogły być już wygłodniałe. „W takich okolicznościach rzucą się i na człowieka”, pomyślał Kamil.

Pojazdem szarpnęło, potem usłyszał tętent. Na zewnątrz panował mrok, a przez

szybkę i tak nic nie widział, ale był pewien, że to konie zerwały się i rozbiegły. Znów usłyszał wycie, teraz bliższe. „Pewnie pójda za końmi”, pocieszał się, ale jego niepokój rósł. Wycie narastało, by zamienić się we wściekły warkot. Wataha dopadła pojazdu. Coś huknęło w drzwi.

Kamil zdrętwiał, nie z zimna jednak, lecz strachu!

Coś z hukiem uderzyło w szybę. Śnieg rozprysł się, a w jego miejsce pojawił się pysk szczerzący kły. Kamil rzucił się do drzwiczek, aby je zablokować. Tymczasem w szybę uderzyło kolejne cielsko. Szkło pokryła pajęczyna pęknięć. Kamil przeciągnął pod drzwiczki bagaże, blokując wejście. „Boże, dlaczego nie zabrałem w drogę żadnej broni?”, pomyślał. W pośpiechu zapomniał nawet swojej laski po ojcu.

Pozostało mu tylko się modlić.

Wilcze łapy uderzały w pudło sań z różnych stron. Zwierzęta czuły wewnątrz żywe, ciepłe, ludzkie mięso. Jakies pazury zaszurały po dachu. Przemieszane warkoty, uderzenia i drapanie zlewały się w piekielną kakofonię, symfonię grozy.

Kamil rozejrzał się rozpaczliwie po wnętrzu pułapki, w której się znalazł. Czy gdzieś wśród tych bagaży może znajdować się broń? Uniósł pokrywę jakiegoś pudła, ale wewnątrz znajdowały się tylko stroje. Skrzynie zamknięte były na kłódki. To nie miało sensu.

Szybka całkiem pękła, a kły lub pazury wbiły się w skrzynię, która blokowała drzwi. Kamil usłyszał jak drewno pęka. Czy to liche ścianki obudowy nie wytrzymały już naporu wygłodniałej watahy? Pomoc wciąż nie nadchodziła. Tylko ten tchnący grozą warkot! Gdyby chociaż go zagłuszyć!

Miotając się w zrujnowanym wnętrzu, Kamil chwycił futerał na skrzypce. Zawsze to jakaś poręczna broń. Może po pierwszym ciosie w wilczy łeb się nie rozleci? No ale jak długo wytrzyma? Zajrzał do środka - skrzypce i smyczek, jeszcze mniej przydatne. I znów ten mrozący krew w żyłach warkot! Gdyby chociaż go zagłuszyć!

Chwycił skrzypce i przeciągnął gwałtownie smyczkiem po strunach. I jeszcze raz, i jeszcze. Zaczął rzępolić byle jak, byle głośno.

Nagle napór wilków jakby zelżał. Warkot przycichł. Chyba usłyszał nawet skomlenie. Przestał pastwić się nad instrumentem. Czyżby odchodziły? Nie, znów coś walnęło w drzwi, znów jedna z bestii zawarczała. Więc Kamil wrócił do swej kociej muzyki. Rzępolił tak straszliwie, że wilki znów odstąpiły. Najwyraźniej nie były przyzwyczajone do takich dźwięków. Jakby się ich zlekły! Może uszy je rozboleły?

Kamil zauważył, że za każdym razem, kiedy unosił smyczek, ponawiały szturm, gdy zaczynał rzępolić, napór bestii słabł. „Byle struny wytrzymały”, pomyślał. Właśnie jedna

pęła. Dłonie miał już skostniałe, ruchy coraz bardziej nieostrożne. Ale grał i grał, i grał zapamiętane.

Nagle drzwi się rozwarły. Kilka pudeł wypadło na zewnątrz. Kamil chwycił skrzypce oburącz, by zdzielić nimi kosmaty łeb, który pojawił się w wejściu, kiedy ten odezwał się naraz: - Przestańcie już, panie! Uszy puchną!

Znał ten głos. To był jego najukochańszy, najmilszy na świecie woźnica. Kamil odrzucił instrument i opadł z ulgą na futra.

- Sprowadziłem pomoc. Aleście, panie, tak uraczyli wilki swym graniem, że same se poszły - powiedział woźnica, z trudem kryjąc uśmiech. - Jedźcie tera z tymi tam, bo na śmierć się zaziębiecie - prawie wypchnął Kamila z karocy.

Na zewnątrz stało kilku mężczyzn. Gapili się na niego, wyraźnie rozbawieni. Lecz Kamilowi do śmiechu nie było.

3

11-15 grudnia 1882, Rzeszów

Rozpoczął się proces Ritterów. Kamil miał nadzieję, że tym razem nie będzie na sali awantur przyprawiających go o ból głowy. Tym bardziej, że po wczorajszej eskapadzie wciąż walczył ze zmęczeniem i niewyspaniem.

Od początku procesu starał się robić notatki o oskarżonych, by z każdym dniem je uzupełniać:

„Mojżesz Ritter - lat 51. Małomiasteczkowy arendarz i szynkarz. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany, ale z wielodniowym zarostem na twarzy i biednie ubrany. Człek bez wielkich przymiotów ducha, ale sprytnie, ostrożnie i z namysłem udzielający odpowiedzi. Wszystkiemu zaprzecza.

Marceli Stochliński - lat 42. Chłop, ojciec pięciorga dzieci. Przed czterema laty miał 14 morgów gruntu, a teraz jedną morgę z chałupą. Może dlatego, że fizjonomia jego nosi ślady nałogowego pijaństwa? Wysoki, wzrok ma surowy, a twarz pociągłą i wyblakłą. Wygląda na zrezygnowanego. Mówi prędko, z płaczem obstaje przy swoim, wszelkiej winie zaprzecza.

Gitla Ritter - lat 45. Typowa wiejska szynkarka o pospolitej twarzy. Wszystkiemu zaprzecza.

Bejla z Ritterów - lat 19. Żona Szymona Neumanna. Dziewczyna o pięknych rysach twarzy i bystrym spojrzeniu. Winie swojej stanowczo zaprzecza.

Chaja Ritter - lat 16. Wygląda na zagubioną i nieśmiałą. Twarz ma bez wyrazu, jakby o niczym nie chciała słyszeć. Jakby wszystko miała za zły sen”.

Napisał też o pozostałych uczestnikach sądowego dramatu: „Sprawą mordu na Mnichównie zajmie się czternastu przysięgłych. To cały społeczny przekrój: rolnicy, mieszczanin, szewc, właściciel majątku ziemskiego... Sędzią jest pan Mossor, oskarżycielem Pogorzelski, adwokatami zaś Fechtdegen dla Ritterów oraz Koppel dla Stochlińskiego, broniący go z urzędu”.

Oskarżenie przedstawiło Rittera jako człowieka znanego z niemoralności, lubieżnego, gwałtownego i mściwego, narzucającego się kobietom. Mówiło o znalezionych nożach i siekierach, o badaniu podejrzanej piwnicy oraz o tym, że Franciszka Mnich blisko była związana z Ritterami, a tragicznego dnia poszła do nich i nie wróciła. Przekonywał też oskarżyciel, że Żydzi praktykują wyjmowanie płodów z martwych kobiet i chowanie ich - o ile nie przeżyły - w oddzielnym miejscu. Wyjęcia tego może jednak dokonać tylko kobieta,

więc religia nakazywała, aby w zbrodni uczestniczyła jakaś niewiasta. A po co to wszystko? Aby córka Rittera mogła spokojnie wyjść za mąż, bo grzech cudzołóstwa jej ojca odciskałby piętno hańby i na niej. W zbrodni pomagał im za pieniądze Stochliński, którego żona była krewną Mníchówny.

Feralnego dnia Franciszka przyszła do Ritterów po ziemniaki i mleko. Wtedy została zwabiona do piwnicy po rzeczony kartofle. Co było dalej, tak opisał oskarżyciel: „Zebrali się wszyscy w piwnicy. W lewej jej połowie, prawie zupełnie próżnej, gdyż tylko trochę ziemniaków w niej wówczas było.

Wtedy Gitla Ritter podniosła świeczkę już upaloną, leżącą w kącie piwnicy obok siekiery, naprzód przygotowanej. Marcelli Stochliński zaświeceł zapalkę, Gitla Ritter podała świeczkę Chaji, ta zaświeceła ją od zapalki trzymanej przez Stochlińskiego. Następnie Marcelli Stochliński wziął siekiere z ziemi, a gdy Franciszka Mních zadziwiona tym całym procederem odwróciła się twarzą do niego, uderzył ją obuchem dwa razy. Raz w głowę, a drugi raz w twarz. Franciszka Mních wydała jęk. Zaraz przyskoczyły do niej Gitla z Bajlą. Zarzuciły jej ubranie na głowę, a potem przewróciły z pomocą Chaji i Mojżesza na wznak. Gdy Franciszka Mních leżała już na ziemi, wtedy Gitla z córkami trzymały ją za ręce, Stochliński za nogi, a Ritter poderznął jej gardło nożem z czarną oprawą”.

Ponar, który też był na sali, lecz w charakterze widza, nie świadka, słuchał tego i nieznacznie się uśmiechał. Niezależnie od stwierdzonych faktów, irytował go sposób, w jaki opisywało je oskarżenie. Ten trzymał zapalkę, ten tamtemu podał świeczkę, tamten ją od zapalki zapalił - jakby to była jakaś upiorna zabawa w berka. „Zabawa”, z której rzekomo wycofał się Stochliński. „Gdy pociągnięcie nożem przez gardło sprawiło łoskot, czyli jak się Stochliński wyraża - chraśnięcie, wtedy przejął go strach tak wielki, że uciekł z piwnicy. Nie był więc przy zdzieraniu skóry z głowy, przecięciu brzucha i nie wie, gdzie Żydzi płód ukryli, względnie, co z nim zrobili”, opisywał oskarżyciel.

Ponar pokiwał głową. Taaaak... Podczas śledztwa Stochliński (w wersji, z której potem się wycofał) podkreślał, że widział tylko, jak Ritterowie wynosili z domu zwłoki Mníchówny. Potem zainkasować miał 50 zł, za które kupił buty i drewno, wniósł zaległe opłaty, a resztę przepił. Swoją chwilową zamożnością zadziwił zresztą sąsiadów, bo wiadano, że żył w ubóstwie.

Podczas samego procesu Stochliński odpowiadał na kolejne pytania zdawkowo lub milczał. Twierdził uporczywie, że żadnej zbrodni nie popełnił. Zaś pieniądze, które przy nim znaleziono, zostały mu ze sprzedaży gruntu, a nie z zapłaty od Rittera za udział w skrytobójstwie. Swoje poprzednie zeznania unieważnił, jako złożone pod przymusem. Jak to

wyglądało, opowiedział szczegółowo: „W pierwszy dzień aresztowania przywieźli mnie żandarmi Fuhr z Majem do gminnego aresztu w Strzyżowie, wieczór zaś wzięli mnie do kasami. Wtedy tam w drugiej izbie skuli mi nogi i tak stałem. Kiedy wieczór i spokój zapanował, przyszli żandarmi, napiwszy się herbaty skuli mi w tył ręce, położyli mnie głową na podłodze i nogą, kolanami w krzyże naciśli. Rzekli: «Jak nie będziesz mówił, to będziemy cię bili». Wtedy żandarm wziął porządny kij, podobny do bijaka, i bito mnie”.

Ponar nie wiedział, czy cieszyć się, czy martwić, że jego samego nie powołano na świadka. Uważał, że wiedział o tej sprawie więcej od innych. Ale cóż, chyba na zbyt późnym etapie został do niej włączony. Sądowi nie zależało na błyskotliwych komentarzach i teoriach oficera śledczego, tylko na suchym opisie miejsca zbrodni, dowodów i podejrzanych. Już powołał do tego kilkudziesięciu świadków. „Przynajmniej mam spokój”, powiedział sobie. Ale nie do końca. W rzeszowskim sądzie wypatrzył go Kamil Kord.

Taka okazja przyciśnięcia policjanta ze Strzyżowa mogła mu się już nie trafić. Po pierwszym dniu przewodu sądowego poszedł za nim przez miasto. Jak się okazało - do gospody.

- Wódki - rzucił Kord do karczmarki i dosiadł się do stołu, przy którym samotnie siedział Ponar. Policjant tylko łypnął na przybysza podkrążonymi oczami.

- Temu panu też - powiedział Kamil, gdy obsługa przyniosła butelkę i szklanę.

- Panek chyba zabłądził - mruknął Ponar.

- Skądże. Po prostu wiem, gdzie szukać żandarma.

- Tu nie posterunek.

- Ja nie posterunku szukam, tylko żandarma - powtórzył uparcie Kamil.

- Młody człowieku - Ponar w końcu obdarzył go dłuższym spojrzeniem. - Tu nie teatr, a ty nie Modrzejewska. Kogo udajesz z tym zamawianiem wódki? Nie twój wiek, nie twoja klasa - sarknął.

Kamil bez słowa nalał policjantowi i sobie.

- Takim jak ty bardziej chyba absynt pasuje, prawda? Ale nie tutaj. Prawda, panie Modrzejewski, czy jak tam się nazywasz? - zaatakował Ponar. - Zostaw gorzałkę tym, którzy wiedzą, po co jest taka mocna.

Kamil już chciał mu powiedzieć, że zdarzało mu się pić czysty, nierozcieńczony i niepalony absynt, który mocą śmiało dorównywał tutejszej gorzałce. Ugryzł się jednak w język. Mądrzyć się nie było sensu.

- Najchętniej napiłbym się koszernej - rzucił.

Ponar zerknął na niego, po raz pierwszy naprawdę zaskoczony. - Nie wyglądasz pan

na koszernego.

- Nie jestem. Ale słyszałem, że gdzieś pod Strzyżowem dobrą robią. Ciekaw jestem.

- Rozumiem już! Pan żurnalista. Pan żurnalista rozsmakował się w temacie - uśmiechnął się krzywo Ponar. - Z początku nie poznałem. Kiedyś ubieraliście się jak zwykli ludzie. Ale chyba obrośliście w piórka.

Tego, że nie jest zwykłym dziennikarzem, Kamil też nie miał zamiaru wyjaśniać. Ale postanowił się odgryźć. Niestety. - Obrośliśmy? W Krakowie dwanaście lat temu wyglądaliśmy inaczej? - bardziej szepnął, niż powiedział.

Żandarm stężał. Wydawało się, że zaraz skoczy młodzikowi do gardła, ale po chwili nieoczekiwanie się rozluźnił. Spokojnie ujął stojącą przed nim szklankę wódki i rozlał po stole. - Toś, panku, robił, gdy ja już byłem żandarmem w Krakowie.

- To dlaczego pańska szklanka zrobiła się taka pusta? - zapytał Kamil, najwyraźniej dumny z użytej aluzji, choć niezbyt chyba jasnej. Ponar długo nie odpowiadał, aż Kord pomyślał, że nieco z nią przesadził.

- Zdaje się, że to już wiesz - powiedział wreszcie żandarm. - Nadal jednak nic nie rozumiem. Przychodzisz pan do dziury, w której możesz się tylko wybrudzić, żeby szantażem wyciągnąć ze mnie jakieś informacje?

Kamil sięgnął po butelkę, żeby znów mu nalać, ale Ponar gniewnie machnął ręką. - Nie jestem pijakiem. I nie znoszę pijaństwa, więc też tego nie chlaj, jak chcesz po ludzku rozmawiać.

- Wedle życzenia. A nazywam się Kamil Kord - grzecznie odstawił flaszkę i, nim Ponar znów się odezwał, wyjaśnił: - Nie myślałem o szantażu. Raczej chciałem wywołać wspomnienie poczucia winy.

- To ci się, mości Kamilu, udało. A żeś człek mało doświadczony, więc udzielię ci pewnej lekcji. Nie gmeraj w cudzej głowie i sercu, jeśli nie stawiasz na szali swoich własnych.

- Może i nie wiem, o czym mówię. W końcu to nie ja poświęciłem prawdę, żeby ratować skórę - odparł Kamil, mając już dosyć tego protekcyjnego tonu. - Mogłeś pan pomóc rozwiązać sprawę nieszczęśliwej istoty, uwięzionej za klasztorными murami*, ale bałeś się ujawnić prawdę o swojej przeszłości.

* O realiach krakowskich oraz sprawie B. Ubryk: prasa krakowska; J. S. Harbut, Maty Rzym.

- Bzdura! - niemal krzyknął Ponar, ale zmitygował się, gdy ludzie dookoła zaczęli im się przyglądać. Było gwarno, lecz nie hałaśliwie. - Nie wiem, kto naopowiadał ci takich

łgarstw.

- Spokojnie, to wszak przeszłość. A ja chcę porozmawiać tylko o Lutczy - zaczął się wycofywać Kamil. Może faktycznie jego strategia była nieprzemysłana? Chyba nie znał się na ludziach.

- To nie trzeba było gadać o Ubryk. Posłuchaj, jak wtedy z tym klasztorem było. Nikt nie będzie robił ze mnie barana - teraz Ponar sam sobie nalał i pociągnął długi łyk gorzałki.

Według jego relacji w 1869 roku do sądu w Krakowie wpłynęło doniesienie, że w klasztorze Karmelitanek na Wesołej w nieludzkich warunkach więzi się od lat pewną zakonnicę. Kiedy władze to sprawdziły, wszystko się potwierdziło. Niejaka Barbara Ubryk przetrzymywana była w urągających człowieczeństwu warunkach przez ponad dwadzieścia lat. Siostry tłumaczyły, że była niepoczytalna, zachowywała się nieobyczajnie, a zgodnie z prawem kościelnym po złożonym ślubowaniu z klasztoru wypuścić jej już nie mogły. Kiedy sprawa przeciekła do prasy, rozpętało się piekło. Na ulicach protestowali mieszkańcy Krakowa, w tym ponoć tak znane osobistości, jak Modrzejewska i Matejko. Pod klasztorem doszło do zamieszek. Ostatecznie w 1870 roku sąd orzekł, że władze zakonne są bez winy, ale też przeniósł Ubryk do zakładu dla obłąkanych. W trakcie śledztwa okazało się jednak, że o samej Barbarze niewiele wiadomo. Podejrzewano, że piękna w młodości dziewczyna (bo o jej urodzie wszyscy pamiętali) chciała w roku 1848 uciec z klasztoru za ukochanym, ale siostry ją powstrzymały, a potem zamknęły grzesznicę w celi. Potwierdzała to opowieść niejakiego Strażyńskiego. Zeznał on w roku 1869, że dwadzieścia jeden lat wcześniej miał do czynienia z Ubryk. Jako młody student na fali Wiosny Ludów wstąpił do krakowskiej Gwardii Narodowej. Patrolował ze swymi towarzyszami przedmieścia Wesołej, gdy natknęli się na karocę, w której siedziało dwóch mężczyzn i kobieta. Gwardziści zaczęli ich wypytywać, co robią w miejscu tak nietypowym o tak późnej porze i chcieli zabrać ich na posterunek. Wtedy dama wyrwała się i znikła za bramą pobliskiego klasztoru. A panowie z karocy zachowywali się tak niewinnie, że gwardziści dali im spokój i ich puścili. Po upływie prawie ćwierci wieku Strażyński miał rozpoznać w pięćdziesięciodwuletniej Ubryk damę z karocy z kwietnia 1848 roku. Nikt jednak nie potraktował jego rewelacji poważnie, bo i nikt więcej ich nie potwierdził.

To wszystko Kord już wiedział od dawna. Ale Ponar potwierdził również to, o czym Kamil słyszał tylko z plotek. Otóż Strażyńskiemu towarzyszył w 1848 roku młody krewny. Ponar właśnie. Dlaczego jednak po latach nie potwierdził zeznań swego towarzysza? Nie uchronił go przed śmiesznością, nie wyjaśnił tajemniczego epizodu z życia Ubryk i nie pomógł ukarać karmelitanek, które postanowiły bezprawnie uwięzić kobietę za próbę

ucieczki? Czyżby Ponar, wtedy już żandarm w Krakowie, kogoś się przestraszył?

- To prawda, w 1869 roku pojawił się u mnie dystyngowany jegomość, który powiedział, że w moim interesie będzie tych faktów sobie nie przypominać. Omal nie obitemu gęby. Ale słowa nie pisałem z innej przyczyny. Po prostu ja wcale nie rozpoznałem w Ubryk damy z karocy sprzed dwudziestu jeden lat! - oznajmił z naciskiem Ponar.

- Ale przecież musiało być coś na rzeczy, skoro wywierano na pana naciski? - nalegał Kord.

- Środowisko związane z karmelitankami bało się skandalu. W końcu niezależnie od tego, jaka była prawda, i tak wisiał w powietrzu. Dlatego ów jegomość mnie naszedł. By chronić zagrożoną cześć zakonnicek.

- Może jest pan łatwowierny, ale ja nie. Mam uwierzyć, że wrócił pan do rodzinnego Strzyżowa przypadkowo, a nie zniechęcony stosunkami panującymi w Krakowie?

- Wróciłem, bo zmęczyło mnie duże miasto. Ale wciąż od czasu do czasu je odwiedzam. Co do łatwowości, to nie dam jej sobie zarzucić. Ja po prostu łatwo się nie uprzędam - odparł Ponar. - Nawet do pana - dodał znacząco.

- Czyli możemy porozmawiać o Lutczy? Dyskrecjonalnie? - Kord spojrzał mu w oczy.

- Co chcesz wiedzieć?

- Biliście Stochlińskiego?

- Wierzę, że mówi prawdę, jeśli o to pytasz - mruknął Ponar.

- We wszystko? W mord rytualny też?

- Ritter jest dosyć podejrzany, jeśli o to ci chodzi.

- A co powie pan na to? - Kamil podał mu karteczkę ze streszczeniem dokumentu, do którego dotarł „Urzędas”. Było to doniesienie anonimowego informatora policyjnego (skruszonego bandyty albo - co bardziej prawdopodobne - drobnego przestępcy, na którego działalność funkcjonariusze przyzymkali oko w zamian za cenne informacje o życiu miejscowego półświatka). Człowiek ów donosił dość plugawym językiem, że pieniądze ze sprzedaży kobiet do domów uciech za granicą są coraz większe, ale pojawiły się także nowe, „egzotyczne” zamówienia. Na wycięte kobiece narządy rodne oraz płody, spędzone lub obumarłe w sposób naturalny. Mówiło się, że zapotrzebowanie na nie składały rzekomo osoby prywatne i instytucje zajmujące się badaniami nad ludzkim ciałem.

Ponar pokręcił głową. - Ciekawe, ale ja bym na to nie stawiał.

- Bo?

- Bo mówimy o Lutczy, a nie o Krakowie, Pradze czy Wiedniu. To praktycznie wieś, gdzie nie ma na to zbycia ani nawet wiedzy na ten temat. Za to na prowincji wciąż żywe są

bandyckie zabobony. A według nich ciało takiego noworodka ma bardzo przydatne własności magiczne. Z palców dłoni złodzieje wykonywali kiedyś specjalne świece. Po rozpaleniu sprawiały, że domownicy zapadali w sen, a rabusie mieli wtedy ułatwione zadanie. Zjedzenie serca wyciętego z płodu miało zaś zapewniać bandycie dar latania. Przydatne były także kości i pergamin z dziecięcej skóry.

- Ale nawet na prowincji ludzie mogli coś słyszeć o takich dziwnych zamówieniach. W końcu ludzie podróżują, mają kontakty - przerwał Kord.

- Chcesz zatem usłyszeć, że Stochliński i Ritter zrobili to, żeby sprzedać zakonserwowany płód? A jak nie oni, to jakiś powsinoga, mordujący ludzi dla wnętrzości?

- Czemu nie?

- Wątpię. I w bandytów robiących magiczne preparaty też wątpię, jeśli chcesz wiedzieć. Moim zdaniem płód usunięto z innych przyczyn.

Kord milczał.

- Ja się nigdy nie uprzedzam. Ludzie mówili: Ritter, ja przycisnąłem Stochlińskiego. I od razu sprawa stała się klarowniejsza - Ponar pstryknął palcami.

- Może przycisnął go pan zbyt mocno?

- Muszę już iść - Ponar wstał i rzucił na stół jakieś monety.

- Nie trzeba... - zaczął Kord.

- Swoje rachunki spłacam sam. A ty, panie dziennikarzu, bacz, żebyś nie zabrnął za daleko. Jeśli w twojej teorii o handlu płodami jest ziarno prawdy, to możesz mieć do czynienia z kimś dużo groźniejszym, niż stary Żyd i wiejski pijanica - Ponar uniósł szklankę z jej płynną zawartością ku światłu.

- Widziałem kiedyś kobietę, której bandyta z zemsty wlał w gardło tyle witriolu. Nie chciałbyś tego przeżyć.

Kord odprowadził wzrokiem niedźwiedzio watą sylwetkę żandarma znikającą na schodach prowadzących do pokoi gościnnych. Potem poczuł się w lokalu na tyle nieprzyjemnie, że sam też czym prędzej go opuścił.

Przez kilka pierwszych dni procesu oskarżeni Ritterowie bezskutecznie starali się odsunąć od siebie podejrzania. „Ja do żadnej winy się nie poczuwam, gdyż Franciszkę Mnich znałem, ale jej nie zamordowałem”, podkreślał Mojżesz. „O stosunkach Franciszki nigdy nie słyszałam”, twierdziła Gitla. „Tak, nocowała czasem na górze. Nie, nie wiem, czy ojciec miał z nią stosunki”, zeznawała Bejla. „Tak, Franciszka Mnich służyła u moich rodziców i zarabiała. Tak, nocowała często na górze. Nie, nie wiem nic o jej śmierci. Nie, nie wiem nic o niej i ojcu”, powtarzała jak automat Chaja.

Wrócił też oczywiście wątek wymuszonych zeznań Stochlińskiego. Okazało się, że kolegom z celi Marceli specjalnie się na takie traktowanie nie skarżył. Skłamał też, mówiąc, że bredził wówczas w malignie. Więzienny lekarz zeznał, że Stochliński miał wprawdzie tyfus, ale nie bredził, pamięć miał dobrą, a umysł sprawny. Nie może więc się teraz zasłaniać niepamięcią i niewiedzą o tym, co gadał w celi. A chrzestny Stochlińskiego, były wójt Tomasz Świnicki, powiedział nawet, że Marceli przyznał się przed nim do winy niedługo przed aresztowaniem.

Żona Marcelego Salomea nie zeznała niczego szczególnego - poza tym, że Franka chodziła często „do Mosków”, a kiedy zaginęła i szukali jej żandarmi, to stary Ritter próbował pociągnąć Salomee za język.

Zofia Stochlińska-Bilowa, krewna Marcelego, skorzystała z przysługującego jej prawa i uchyliła się od zeznań. Tak samo Marianna Stochlińska, jego macocha, co było zresztą do przewidzenia. Bardziej rozmowna była sąsiadka Marianna Bil: „Franciszka chodziła bardzo często do Moska. Nie wiem, czy miała z kim stosunki; ale pewnie nie miała z nikim, bo była brzydką i wcale nie była ponętną. Mówili nawet ludzie, lecz którzy, to nie wiem, że ona miała stosunki z synem moim, ale to nieprawda”. Rzeczony syn Franciszek Bil zeznał, że wie o plotkach: „Razu pewnego nawet mówiła Tekla Greta do mej żony, że ja ją utopiłem i potem Żydom ją wydałem, lecz ja się do niczego nie poczuwam”.

O tych plotkach mówiły też sądowi Agata Mandel i Rozalia Janusz. Sama rodzina Mnichówny nabrała wody w usta. Mówili tylko, że chcieli odciągnąć Franciszkę od Żydów, ale ta się nie dała.

Pierwsze dni przesłuchań ujawniłoby jeszcze dwie kwestie, które mogły mieć istotną wartość. Po pierwsze, Franciszka Tarnawska „Balasionka” zeznała, że piwnica Ritterów czasem tak była zapchana ziemniakami, że ledwie dwie osoby mogły koło nich przejść. Ale bliżej świąt Bożego Narodzenia było już luźniej. Czy na tyle, by zmieściła się tam szajka morderców Mnichówny? Oto pytanie.

Po drugie, pismo z wiedeńskiego rabinatu od biegłych w Talmudzie było dość niejednoznaczne. Wynikało z niego, że Żydzi wyjmują czasem płody ze zmarłych matek, o ile kobiety są w zaawansowanej ciąży. Robią to w nadziei, że dzieci przeżyją. Nie wyjmuje się jednak płodu gwałtownie i nie kaleczy zwłok. Jest to zwyczaj zapomniany i niestosowany przez chasydów. Ritter jednak chasydem nie był, więc akurat ta uwaga znaczenia nie miała.

Na tym skończyły się przesłuchania w owym tygodniu. Ale jeszcze inne ważne - dla Kamila Korda - słowa padły w piątek wieczorem. W hoteliku, w którym zatrzymał się w Rzeszowie na czas procesu.

Kamil jadł skromną, jarską kolację, gdy podszedł doń starszy pan.

- Widzieliśmy się już wcześniej - skłonił się lekko, czym trochę zmieszał Kamila. W końcu Kord mógłby być jego synem. - Na procesie Matejki i...

- Czy nie w kościele w Lutczy? - Kamil powstał czym prędzej i uściśnął wyciągniętą dłoń gościa.

- Owszem. Prowadziłem tam pewne arcyciekawe badania. Pan pozwoli, jestem Ernest Ochorowicz, z wykształcenia historyk sztuki, z zawodu wszystko, tylko nie to - przedstawił się przybysz.

- Witam pana. Kamil Kord. Dziennikarz - odparł lakonicznie indagowany.

- Oj, chyba nie tylko. Myślę, że kontynuuje pan też naftowe dzieło ojca - Ochorowicz szeroko się uśmiechnął, siadając naprzeciw Korda.

- Nie do końca - zmieszał się Kamil, a potem szybko zapytał, jakby jakiś trybik zaskoczył mu w głowie: - Czyżby słyszał pan kiedyś o moim ojcu?

- Proszę pana! Ja go słyszałem na co dzień. Byłem oddanym druhem Bonapartego. To znaczy pana ojca. Nie znosił, gdy tak go nazywałem - Ochorowicz błysnął nierównymi już zębami.

- Ach, to pan! - ucieszył się Kamil.

- Zna mnie pan? - zdziwił się Ochorowicz.

Kamil potakująco kiwnął głową i wpatrzył się w gościa jak w obraz. Kto by pomyślał! To mogła być niepowtarzalna okazja, żeby porozmawiać z człowiekiem, który znał w młodości jego ojca lepiej niż ktokolwiek.

- Kiedy mieszkaliśmy razem w Paryżu, był w pańskim wieku - powiedział Ochorowicz, jakby odgadł myśli młodego rozmówcy. - Ja zresztą też - westchnął.

- Przeżyliście niejedną przygodę.

- Tak. Szkoda, że nikt ich nie opisał.

- A właśnie że opisał. Mój ojciec.

- No to pięknie. Szkoda, że nie mogę tego przeczytać. Od razu poczułbym się młodziej.

- Nawet przy historii z PereLachaise?

- Nawet.

- To moja ulubiona.

- Wie pan, młody człowieku, czuję, że znaleźlibyśmy wspólny język - Ochorowicz uśmiechnął się do Kamila. - Szkoda, że nie mieliśmy okazji - popatrzył mu w oczy. - Boże, jakież pan do niego podobny.

Nagle zapanowała przygnębiająca atmosfera.

- Takim widziałem go po raz ostatni - Ernest smutno pokiwał głową.

- A właściwie dlaczego? Przecież byliście najlepszymi przyjaciółmi?

- Tak nam się w życiu ułożyło - mruknął po chwili milczenia Ochorowicz. Nie było to mruknięcie na odczepnego, a raczej przepełnione jakimś dziwnym bólem, melancholią. Kordowi naprawdę zrobiło się żal starego człowieka. Trochę jak ojca.

- Myślę, że mógłbym panu pożyczyć pamiętnik taty - powiedział, sam nie wiedząc czemu.

Dłoń starego zacisnęła się na jego łokciu. - Dobrze pan to przemyślał? A może on wcale by nie chciał, żebym to przeczytał?

- Dlaczego? Przecież byliście najlepszymi przyjaciółmi - powtórzył Kamil.

- Ale każdy człowiek w głębi jest potworem - odparł tamten poważnie, lecz po chwili zaśmiał się, jakby miał to być dowcip. - Oczywiście nie takim, jak ten oficer, którego pomagałem złapać na cmentarzu. Zna pan przecież tę historię, jak rozumiem. To był chory potwór. Nazwano go „nekrofilem”. Ciekawe słowo. Gdybym nie widział, co się zdarzyło, gotów byłbym myśleć, że chodzi o człowieka, który lubi odwiedzać cmentarze i rozmyślać.

- Każdy z nas jest potworem? To dlaczego wszyscy się nie pozabijamy?

- Ach, trzymają nas w ryzach religia, konwenanse i osobiste lęki. Czasem potwory się dobierają i dobrze im ze sobą. Ale dla innych są straszne.

Jak na pierwszą rozmowę, Ernest miał skłonność do wielu kontrowersyjnych stwierdzeń. Ciekawe, czego można by się od niego dowiedzieć przy bliższej znajomości? Ale to podobało się Kamilowi, choć nie traktował wszystkiego, co tamten mówił, poważnie.

- Jeśli jeszcze pana nie wystraszyłem, to może mógłbym pana do siebie zaprosić? - zaproponował Ochorowicz.

- Będę zaszczycony. A kiedy?

- Mam dużo czasu. Mogę choćby jutro wieczorem. Pan zapewne też wraca rano do Krakowa, więc?...

- Nie wiem, czy nie byłoby to z mojej strony najście. Pańska rodzina...

- Nie mam żadnej rodziny. A zatem?

„Stary dziwak”, pomyślał Kamil. „Ale coś w nim jest”.

- Dobrze - odparł, a Ochorowicz wręczył mu wizytówkę.

Kiedy się żegnali, Kord wyjął z kieszeni małą, grubą książeczkę i wręczył rozmówcy. Ten spojrział na niego zaskoczony.

- To właśnie pamiętnik ojca.

- Nosi pan go ze sobą? Musiał pan bardzo kochać swojego ojca.

- Nigdy się z nim nie rozstaję - odparł Kamil i nie wiedzieć czemu zabrzmiało to dwuznacznie.

16 grudnia 1882, Kraków

- Kamilu, nie zrozum mnie źle, ale odnoszę wrażenie, że sam już nie wiesz, czego się trzymać - burknął Hubert, po czym zaciągnął się cygarem. - Najpierw chcesz pisać o żydostwie i jego zbrodniach, potem zaczynasz interesować się handlarzami płodów, o ile takowi w ogóle istnieją.

- No przecież nasz tajemniczy znajomy z prokuratury sam sugerował, że to możliwe. I Ponar też skomentował to dwuznacznie. Taki pokątny handel może istnieć, a towar muszą skądś brać - tłumaczył Kamil. Wrócił do Krakowa przed dwiema godzinami, a podróż z Rzeszowa trwała wystarczająco długo, by miał czas przemyśleć swoje podejrzenia.

- Nie ma co do tego pewności. Może ktoś to wymyślił, przeniósł na nasz grunt jakąś historię z obcych krajów.

- Jeśli na czymś zarabiają za granicą, to wkrótce rozpowszechni się to i u nas, z pewnością.

- Być może, ale musisz wiedzieć, że dla galicyjskiego bandyty dużo bardziej intratny jest handel kobietami, niż ludzkimi szczątkami. Przecież taki organ trzeba wyciąć, przechować, a zysk stosunkowo niewielki. Co innego wysyłka tych nieszczęśnic do domów uciech...

- Chłopcy, na miły Bóg. Ja też tu jestem! - nagle odezwała się ciotka. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią przepaszająco.

Przez lata przyzwyczaili się, że to ona sprawuje de facto funkcję głowy rodu. Wiedzieli, że jest twarda w interesach. Często, chyba nazbyt często, traktowali ją niemal jak mężczyznę, więc zapominali, by o pewnych tematach przy niej nie wspominać. A przynajmniej pomijając drastyczne, nazwijmy to nieeleganckie, szczegóły i rzeczy, które mogłyby zbytnio wyprowadzić ją z równowagi. Na przykład o przygodzie z wilkami Kamil nie wspominał przy niej w ogóle.

- Nadal nie rozumiem... - zaczął Hubert, ale spojrzął na ciotkę i poprawił się: - Nadal nie rozumiemy, dlaczego w ogóle łączysz te dwie makabryczne sprawy.

- Może i macie rację. A może w ogóle powinienem zająć się czymś przyjemnym. Na przykład pojechać do Warszawy?

- Może - ciotka uśmiechnęła się lekko. - Jak widzisz, nie jesteś stworzony do śledztw. Zostaw to innym.

Ten akurat komentarz nie przypadł Kamilowi do gustu. Zastanowił się, co ciotka

chciała nim osiągnąć. Taka jest subtelna, więc po co ta szorstkość? Przecież musiała wiedzieć, że zależy mu na pisaniu, i to o tematach ważnych. Ale najwyraźniej wolałaby, żeby zajmował się interesami, a w przerwach romansami - broń Boże poważnymi. A może istotnie powinien to potraktować lekko, pójść do zamtuza, upić się, zapomnieć o Marii... A jutro zacząć od nowa. To znaczy znów pójść do burdelu, upić się i zapomnieć. „Ale to takie żalodne”, powiedział sobie.

- Chyba dosyć dawno nie miałaś z Warszawy listu. Pewnie się niepokoisz - westchnęła ciotka. - Pamiętaj, że życie pełne jest rozczarowań.

Kamil łypnął na nią złowrogo. Czuł, że za chwilę zaleje go krew. Już miał na końcu języka: „Pewnie, nawet w lupanarze grozi mężczyźnie rozczarowanie, jeśli kobiety są brzydkie albo roznoszą choroby”. Zrobiło mu się jednak tak wstyd, że aż poczerwieniał.

I w tym momencie ciotka go zaskoczyła: - Nie wiem, czy to najlepszy moment, ale... właśnie dziś rano dostałaś korespondencję z Warszawy - oznajmiła. Zdjęła z kolan zaspanego jak zwykle Rupercika i wręczyła Kordowi list od oczywistej nadawczyni. - Jak powiadam, nie wiem, czy to najlepszy moment. Jesteś jakiś roztrzęsiony.

- Nic mi nie jest - odparł Kamil. - Pozwólcie, że teraz was zostawię - rzekł i wyszedł z salonu. Kilkoma susami pokonał schody i wpadł do swojej sypialni. Chyba trochę zakreśliło mu się w głowie. Rzucił się na łóżko, list zaciskając w dłoniach niczym skarb.

I nagle ogarnęło go jakieś chłopiące poczucie winy i wstydu. Taki był już na swoją warszawiankę zły, tyle mu się w głowie kotłowało. Stał się nieznośny dla innych, majaczyło mu się picie i gryzетки... Wymieniał sobie w głowie te grzeszki, jakby był w konfesjonale, a nie w łóżku. Po dziecinnemu postanowił zadać sobie ostrą pokutę. Poczeką z przeczytaniem wytęsknionego listu do jutra. To będzie jego kara. Tak będzie ćwiczył swój charakter: niecierpliwy, dufny i wybuchowy.

Zadowolony był, że pracuje w ten sposób nad sobą. Przecież taki ciągły wysiłek jest kluczem do sukcesu (także oczekiwanego literackiego, sam talent nie wystarczy!). I w tym nastroju samozadowolenia zaczął się szykować do wizyty u Ochorowicza. Był już najwyższy czas.

Kiedy zszedł do salonu, żeby pożegnać się z Konickimi przed swym wyjściem, tryskał dobrym humorem. To rzucało się wprost w oczy. Ciotka przyglądała mu się bacznie. Hubert, jak to on, chyba postanowił zepsuć mu humor.

- Pewnie myślamy jesteś w Warszawie, ale powinienes na coś się zdecydować - stwierdził Hubert. - Chodzi mi o temat twojego pisania. Myślę, że problem żydowski jest zdecydowanie ważniejszy od jakiegoś tam nielegalnego handlu. Bandyci byli tu i będą

zawsze. Żydów można zaś i trzeba się pozbyć. A przynajmniej ograniczyć ich zgubną działalność w narodzie, póki nie jest za późno.

- Czyli uważasz, że ważniejsze jest robienie propagandy, niż skazanie winnych konkretnych zbrodni? - spytał Kamil ze zdziwioną miną.

- Nie robienie hałasu, a wskazanie winnych. Bo przecież to nie sam Ritter i jego rodzina są winowajcami.

- Tak, mamy jeszcze katolika pijanicę Stochlińskiego - mruknął pod nosem Kamil, ale tego nikt nie dosłyszał.

Tymczasem Hubert kontynuował: - Sam wiesz. Winny jest Talmud i talmudyści. Rabini. Kahały, które produkują antypolski jad. Izraelici finansiści, którzy utrzymują tych darmozjadów. Izraelici przedsiębiorcy, którzy chcą zagarnąć nasze sklepy i kamienice. W ogóle każdy Żyd, który zatruwa świat dookoła talmudyczną „mądrością”.

- Wielu już o tym pisze...

- A ty musisz pisać o czymś nowym, nieznanym? - wtrąciła się ciotka. - Może warto mówić jednym głosem. Wtedy coś osiągniemy.

- Myślę, że Kamil uważa swój talent za zbyt cenny, by tylko dołączać się do chóru już wykonującego znany powszechnie utwór. On chce komponować - uśmiechnął się Hubert i zaczął przebierać palcami, jakby grał na fortepianie. - Jednak prawdziwe mistrzostwo...

- Daruj sobie, Hubercie - zirytował się Kamil. - Jak mogę mieć talent, skoro właściwie nic ważnego nie udało mi się jeszcze napisać? Tych parę tekstów, to ma być jakieś osiągnięcie? Żyłem chyba w jakiejś ułudzie.

- Więc co zamierzasz? - spytała ciotka.

- Pójdę za sercem i rozumem - odparł Kamil. - W końcu odkryję prawdę. O sobie, swojej pracy, o wszystkim.

Dotarł do domu Ochorowicza punktualnie, choć fiaker kluczył po uliczkach, nie mogąc znaleźć adresu. Kord obawiał się już, że na wizytówce jest błąd. Ale ostatecznie wszystko dobrze się skończyło.

Kamil wysiadł z dorożki i wszedł w bramę kamienicy, ziejącą niczym paszcza potwora. Ruszył w górę krętymi schodami z poręczą przypominającą szkielet jakiegoś monstrum. Dziwnie to wszystko współgrało z tym starym człowiekiem, który nawet w ludziach widział tylko potwory. Ochorowicz zajmował mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy, nieco zaniedbanym. Powitał Kamila wylewnie w drzwiach i szerokim gestem zaprosił do wnętrza, które w równym stopniu przypominało mieszkanie, co antykwariat. Rzuciła się w oczy olbrzymia liczba książek, ale wcale nie zakurzonych. Ktoś o nie dbał.

Może nawet czytał.

- Wie pan, nie mogłem się oprzeć pokusie i jeszcze wczoraj wieczorem przekartkowałem pamiętnik. Nie do wiary, czego tam nie ma. Ba, są nawet rysunki. Na przykład te szkice Szczerbca. Niesamowicie cenne! - ekscytował się gospodarz.

- Naprawdę?

- Napoleon, pański ojciec, zajął się we Florencji u Demidowa odcyfrowywaniem zaklęcia z magicznego miecza.

- Magicznego?

- Skoro jest na nim zaklęcie, to jest magiczny, prawda?

- No niby tak.

- Podejrzewam, że właśnie to tak zainteresowało Demidowa. Jeśli podzielał zainteresowania swojej matki, to może nawet przeprowadzał z nim jakieś eksperymenty? Może używał do jakichś rytuałów?

- O czym pan mówi?

- Bogaci ludzie mają swoje koniki. Tak czy owak, zdaje się, że sprzedał komuś miecz. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę historię Polski, trudno pokładać nadzieję w cudownej mocy Szczerbca - zaśmiał się Ernest. - Może to mało patriotyczne, ale prawdziwe.

Kamil z wahaniem pokiwał głową.

- Ja natomiast skupiłem się na samej tajemnicy napisów - kontynuował Ochorowicz.

- To znaczy?

- Dlaczego są po hebrajsku i dlaczego na główni umieszczono takie tajemnicze symbole?

- To znaczy?

- Niech pan spojrzy na ten rysunek. Widzi pan tę chmurkę z krzyżem? To nie chmura tylko róża. A ten znak to różokrzyż. Obok widać alfę, omegę i tak zwany tetragramatton, czyli imię Boga.

Stary najwyraźniej zapalił się do tematu, w przeciwieństwie do Korda, którego taka tematyka niezbyt interesowała. Lecz Ochorowicz ciągnął z zapalem: - Są to symbole alchemiczne i kabalistyczne. Niektórzy kojarzą je z templariuszami! Wyobraża pan sobie? Ten miecz musiał pokonać długą drogę, być może był nawet w Ziemi Świętej. No i oczywiście nie mógłby być tą bronią, którą według legendy wyszczerbił Chrobry o bramę w Kijowie. Zwłaszcza że uważam tę teorię za absurdalną. Moim zdaniem miecz wykonano pod okiem jakiegoś żydowskiego mędrca. Krótko mówiąc...

- Żydzi nie od dziś panują nad Polską - wtrącił Kamil. Ernest na chwilę stracił wątek. -

Można i tak to określić - rzekł w końcu. A potem dodał jakimś dziwnie ostrożnym tonem: - Krakowski antysemityzm to taki we fraku i w jedwabnych rękawiczkach, jak ktoś napisał. Miasto wydaje się na tym tle stosunkowo spokojnym zakątkiem w c.k. monarchii. Ale choć rzadko widzimy tu ostatnio przemoc wobec Żydów, jest w nich jakiś strach. Rosja leży o miedzę. I pod Wawelem może ktoś rozpętać jakąś awanturę.

Kamil patrzył na gospodarza i znów nie do końca rozumiał. Słuchał tego, co mówił Ochorowicz, bo szukał w tym człowieku jakiegoś cienia i wspomnienia swego ojca. Jednak nie do końca pojmował, co od niego słyszy. Milczał wszak.

- Co pan powie na kieliszek zielonej wróżki? - spytał Ernest, przerywając milczenie.

- Czemu nie? - odparł Kord, lekko zdziwiony, że stary gustuje w absyncie.

- Może jestem stary, ale nie zostaję w tyle.

- Ponoć po absyncie każdy staje się poetą. Nawet potwory piszą wiersze.

- Zwłaszcza potwory, młody człowieku.

Ernest rozstawił kieliszki na okrągłym, obracanym stoliczku, podał łyżeczki i cukier. Zapalił świecę.

Wzięli po łyku niezwykłego napoju. Potem stary wskazał na pamiątnik Napoleona Korda. - Nawet pan nie wie, jaką uczynił mi przyjemność - uśmiechnął się.

- Tyle tu ksiąg. Naprawdę ta mała robi na panu takie wrażenie? - zażartował Kamil.

- O tej nawet nie wiedziałem, że istnieje.

- Czyli nie korespondował pan z moim ojcem? Nie wiedział pan, że spisał wspomnienia?

- Korespondowaliśmy, ale rzadko. Takie życie - odrzekł Ernest i szybko zmienił temat. - Długo zostanie pan w kraju, w Krakowie?

- Mam zamiar śledzić w Rzeszowie proces Ritterów. Tak więc jestem związany głównie jego terminem.

- Skąd to zainteresowanie?

- Uważam, że może stanowić przełom. Wraz ze sprawą w TiszaEszlar.

Ernest pokiwał z uznaniem głową. - Ma pan jakąś teorię?

- To mordy rytualne. Talmudyczne. Ksiądz profesor Rohring, o którym zapewne pan słyszał, ma świętą rację*.

- Taaak... Już kilkaset lat temu pisano, że Żydzi leczą krwią chrześcijan rany po obrzezaniu, świerzb i „męską menstruację”, cokolwiek miałyby to znaczyć. Że kradną hostie z kościołów i przeprowadzają na nich bluźniercze eksperymenty. Dlatego każdy Żyd jest u nas podejrzany. Tak samo jak chrześcijański misjonarz w Chinach. Tam wierzą, że księża i

mniszki porywają dzieci, a z ich oczu i serc szykują magiczne mikstury. Ciekawe, prawda? Co kraj to obyczaj, można by powiedzieć - mruknął stary. - Mogę pana na chwilę tu poprosić? - przywołał Kamila do półki z książkami. Kord odstawił kieliszek i podszedł do rozmówcy.

- Niech pan spojrzy tutaj - Ochorowicz rozłożył jakąś grubą, starą księgę. - Może mniej więcej zacytuję: „Oskarżony... kazał wieszać dzieci za szyję linami lub powrozami, w swoim pokoju na żerdzi lub haku... siadał na nich i udawał, że pieści... potem je zabijał... czasem odcinając głowy albo ćwiartując i łamiąc kark pałką... miał specjalny miecz do zabijania nazwany rozpruwaczem”.

- Okropne. Dlaczego pan mi to czyta? - wzdrygnął się Kamil. - Czy to Szczerbiec, o którym tyle pan mówił, służył jako ten rozpruwacz?

- Nie, skądże! To zeznanie z procesu niesławnego Gillesa de Rais, swego czasu sojusznika wielbionej we Francji Joanny d'Arc. A przy tym zwyrodnialec, mordercy i satanisty. On też miał swój rytuał.

- Był Żydem? Rycerz?!

- Nie. Był francuskim „bohaterem” z na wskroś chrześcijańskiego szlacheckiego rodu. Pytanie brzmi: czy na podstawie takich przykładów można potępiać całą rasę?

* Historia zarzutów o mord rytualny: F. de Ffonette, Historia antysemityzmu; B. P. Harston, Sensationalizing the Jewish question; J. Tokarska-Bakir, Legendy o krwi.

- Chyba rozumiem, do czego pan zmierza - sarknął Kamil. - Ale to jednostkowy przypadek, jak sam pan wspomniał.

- A nekrofil z PereLachaise? Sam pan o nim czytał. I też był francuskim wojskowym. Sierżant Bertrand*, jeśli się nie mylę. Czy to znaczy, że mamy wszystkich mundurowych Francuzów na wszelki wypadek zamknąć w więzieniach, a przynajmniej skazać na wieczną pogardę?

* M. Janion, Wampir. Biografia symboliczna; E. Petoia, Wampiry i wilkołaki.

„Liberał z pana”, chciał odpowiedzieć Kamil, ale ugryzł się w język. Do niedawna sam powiedziałby to o sobie. - Myślę, że analogia jest zbyt odległa - odparł. Teraz uświadomił sobie, że „mundurowym Francuzem” był też imiennik jego ojca. Złośliwość czy przypadek? Kamil wrócił do stolika i zaczął nerwowo bawić się obrotowym blatem.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli pana zirytowałem - Ernest odstawił księgę na półkę. - Po prostu staram się ustrzec syna przyjaciela przed wielkim błędem.

- Tak, pan przecież uważa, że wszyscy jesteśmy potworami. To po co sądy? Niech Ritter dalej sobie wytacza chrześcijańską krew, tak jak jego ziomkowie robią od wieków. Przecież to fakt historyczny.

- Do tej pory historię zawsze pisał ktoś na czyjeś zamówienie. Jednak chyba nigdy na zamówienie Żydów. Są za to idealnym kozłem ofiarnym, już od czasów Nerona. Tylko że wtedy mało kto odróżniał chrześcijanina od żyda. Z czasem to się zmieniło. Chrześcijanie nie dawali już sobą karmić lwów. No ale bestie nie mogły zostać głodne - westchnął Ernest i kontynuował: - Wie pan, jeździłem ostatnio po prowincji. W końcu nie będę cały czas łąził do Czartoryskich oglądać „Damę z łasiczką” Leonarda. I to wtedy, na wsi, zobaczył mnie pan po raz pierwszy. Tak się składa, że podczas tych wojaży trafiłem do pewnego uroczego kościółka. Dwieście lat temu sami chłopci ufundowali w nim piękne malowidła. Jedno z nich przedstawia świętą Weronikę z chustą, którą przyłożyła do twarzy zakrwawionego Jezusa i utrwaliła jego rysy twarzy. Wie pan, że nawet ta piękna legenda doczekała się swojego antyżydowskiego ciągu dalszego? Otóż wizerunek Chrystusa z chusty Weroniki miał wyleczyć z choroby pewnego rzymskiego cesarza. Uzdrawiony władca poprzysiął wówczas zemstę na narodzie „morderców Jezusa”. Dlatego zniszczył Jerozolimę, wymordował i rozpędził Żydów...

- A teraz zbieramy tego efekty - wtrącił Kord. - Wróćmy jednak do sedna sprawy, do mordów rytualnych. Pana zdaniem to tylko plotki, tak? Ale rozpisywano się o nich już w wiekach ciemnych. Więc chyba musi być w tym ziarno prawdy?

- I jest. Moja biblioteka ma na to odpowiedź - uśmiechnął się Ochorowicz i przemaszerował przez pokój po kolejną księgę. - Niech pan sobie wyobrazi, że studiowałem tę sprawę. Pomińmy doniesienia z czasów starożytnych, bo to istne cymbalstwo. Pierwsze oskarżenia o mord rytualny, taki jak go dziś rozumiemy, pojawiły się w połowie dwunastego wieku. A mam tu tłumaczenie zapisków pewnego żydowskiego kronikarza z Nadrenii z roku 1096, a więc nieco wcześniejszego. Opisuje on, jak to podczas pierwszej krucjaty, która trzy lata później zdobyła szturmem Jerozolimę, tłuszcza wędrująca z rycerzami zaatakowała po drodze Żydów. Tych, których napotkała w niemieckich miastach nad Renem, na przykład w Moguncji i Wormacji. Napastnicy krzyczeli, że to Żydzi ukrzyżowali Jezusa. Mordowali ich lub zmuszali do wyrzeczenia się starej wiary. Nie chcąc ochrzcić swych dzieci, Żydzi je zabijali*. Matki podrzynały gardła oseskom. Rodzice wzywali Boga, aby pomścił niewinną krew, a potem sami ginęli. Ten los stał się udziałem tysięcy Żydów. Być może to wśród krzyżowców zrodził się wówczas pomysł, że skoro Żydzi potrafią z powodu wiary zabić dzieci własne, to tym bardziej chrześcijańskie. Oczywiście dla jakichś swoich magicznych praktyk. Tak by to wyglądało w dużym skrócie.

* I. J. Yuval, Two nations in your womb.

- To interesujące. Notabene dowodzi, że Żydzi nie są takimi łagodnymi barankami.

Ale czy nie demonizuje pan trochę tych krzyżowców? W końcu prócz tłuszczy byli tam i prawdziwi rycerze - zaproponował Kamil.

- I oni też mordowali. Skoro potrafili piec muzułmanów na rożnie i zjadać, to dlaczego mieliby się litować nad Żydami, zabijającymi swoje dzieci?

- No dobrze. Mniejsza już o tych krzyżowców. Z pewnością w wiekach średnich obyczaje były dosyć okrutne z dzisiejszego punktu widzenia. Ale co do mordów rytualnych, to przecież nawet sami Żydzi - to znaczy skłócenie z resztą sekciarze od Jakuba Franka (tu Kamil pochwalił się wiedzą o rozłamach wśród dzieci Abrahama) - zarzucali im dokonywanie mordów rytualnych. Zresztą podczas procesów Żydzi sami się do nich przyznawali, nieprawdaż?

- Niech pan nie będzie dzieckiem. Przypalany żelazem i łamany kołem pewnie też do wszystkiego bym się przyznał. A co do frankistów, ich przywódcy chodziło nie o fakty, a o politykę, pieniądze i władzę.. - tu stary tylko machnął ręką.

- Z tego, co pan mówi, można by wnosić, że Żydzi to istni święci. Bardziej niż jakiegokolwiek inne nacje. No i nigdy nie potrafią się bronić. Szkoda, że nie mają takiego drygu do wojaczki, jak na przykład do handlu - mruknął Kamil.

- Co nie przeszkadzało wielu z nich zginąć w naszym wojsku, prawda? Nie będę pana zamęczał wymienianiem nazwisk i faktów. Sam pan je zna. Jest pan inteligentnym młodym człowiekiem i z pewnością czuje, że samo takie generalizowanie jest krzywdzące. Co do tego, jakoby Żydzi byli bardziej święci od innych nacji, to niczego takiego nie mówiłem! Pracowałem kiedyś w sądzie. Wiele potworności widziałem. Niewątpliwie i wśród Żydów są potwory. Może niektórzy zajmowali się magią. Może rozgłaszali, że Jezus to bękart rzymskiego żołnierza*. Może nawet powstawały sekty, które chłostały posągi Matki Boskiej i pluły na krzyż. Ale, na Boga, nie można czynić podejrzanego z każdego żydowskiego sklepikarza tylko ze względu na jego wyznanie i jakichś sekciarzy sprzed wieków, których istnienia nawet nie jesteśmy pewni! Kamil milczał.

- Nie liczę, że pana przekonałem - powiedział po chwili Ernest.

- I słusznie.

- Ale zrobiłem, co mogłem. Mam nadzieję, że sąd będzie obiektywny... - zawiesił głos i zerknął na kieliszki z absyntem. - Zaraz, zaraz. Chyba bawił się pan moim obrotowym stoliczkiem.

„Celowo zmienia temat”, pomyślał Kamil.

- I jak teraz rozpoznamy, który kieliszek jest czyj? - starszy pan pogładził elegancko przystrzyżoną bródkę.

- Może zgadniemy?

- Mam lepszy pomysł - odparł Ernest i zbliżył kieliszki do światła lampy. - Zauważyłem, że mam dużo większe dłonie niż pan. Więc i ślady po palcach powinny na pana kieliszku być mniejsze - zerknął na szkło. - Proszę, ten powinien być pański.

I dopiero tym udało mu się wprawić Kamila w zdumienie.

* Taką tezę stawia autor „Traktatu o Jeszui” (Toledot Jeszu), do wieku XX wchodzącego w skład Talmudu, potem formalnie zeń wyłączonego - przyp. red.

17 grudnia 1882, Kraków

Rano Hubert z niepokojem zauważył zmianę na twarzy Korda. - Coś ci dolega? - zapytał.

Kamil zaprzeczył. Wczoraj wypił trochę za dużo, wrócił w środku nocy, dziś obudził się w południe z mętlikiem w głowie. A teraz na dodatek Hubert wiercił mu dziurę w brzuchu. Kamil chciał w końcu spokojnie przeczytać list od Marii, ale do tego potrzebował świeżego umysłu. Wziął kąpiel, zjadł obiad, napił się herbaty. I nic.

- Jest coś, o czym nie wiemy? Może Warszawa nie jest już aktualna? Przepraszamy... - Hubert uporczywie drążył temat, a ciotka uważnie się przysłuchiwała.

- Słucham?! Oczywiście, że jest! Zawsze będzie! - odparł Kamil z poważnym wyrazem twarzy. Potem, nawet nie spoglądając na Konickich, obrócił się i wyszedł z domu. Musiał się przewietrzyć.

- Cóż... - zaczął Hubert, ale zamiast dokończyć machnął tylko ręką i siadł za biurkiem. Sięgnął po gazetę i zagłębił w lekturze, jakby chciał jak najszybciej zapomnieć o całym zajściu. Owszem, przed chwilą mieli małą scysję, ale przecież za parę godzin znów spotkają się w rodzinnym gronie na kolacji. Niech tylko Kamil chwilę ochłonie na mrozie, a może i oczyści umysł szklaneczką dobrego wina.

Ciotka milcząco podeszła do okna, trzymając w dłoni świecznik. Choć było ledwie popołudnie, na zewnątrz już zmierzchało. Wiadomo, grudzień. Ulice były słabo oświetlone, prószył śnieg. - Biedny chłopak - westchnęła nad świecznikiem, odprowadzając siostrzeńca wzrokiem, gdy schodził z jej pola widzenia.

Ledwie Kamil zniknął z oczu ciotce, gdy skoncentrował się na nim ktoś inny. Zwalista sylwetka, sunąca ciemnymi zakamarkami. Kamil nic nie zauważył. Rozmyślał właśnie, że jest w pułapce: rodzinnej i zawodowej. Od dawna chciał się usamodzielnic, ale tutaj skazany był na protekcję ciotki i Huberta. Za granicą dla siebie miejsca nie widział. Zwłaszcza u boku matki, której jedyną ambicją było niczym już nigdy się nie zmartwić po tym, jak wiele lat temu straciła męża. Może powinien chociaż wyprowadzić się od Konickich?

Spojrzał na biedny ludzki pochód na nędznej ulicy, w którą skręcił. „W porównaniu z nimi, ja mam wszystko. I jeszcze narzekam. Zwykła ironia losu”, dumiał.

Wtedy gwałtowne szarpnięcie rzuciło go na ziemię. Wylądował w jakiejś bramie, w śniegu zmieszonym z nieczystościami. Gdy podniósł wzrok, zobaczył naprzeciw siebie masywną postać. Bezczelny bandyta! Napadł go w biały dzień w porządnym, kulturalnym

mieście! No, może już się ściemniło, ale wciąż było białe od śniegu. Nie pora była jednak na lingwistyczne deliberacje...

- A, ty łotrze! - Kamil zerwał się z ziemi i zamierzył na napastnika laską. Tym razem już jej nie zapomniał. Tamten jednak ani drgnął. Gdy Kord próbował zadać mu cios, chwycił laskę swoją potężną prawicą i bez trudu unieruchomił. Kamil oczyma wyobraźni widział już, jak druga ręka bandziora zadaje mu powalający cios. W mgnieniu oka nacisnął więc głowicę laski i wyszarpnął ze środka długie ostrze, niczym szpadę z pochwy. Nieco zaskoczony napastnik wykonał szybki ruch lewą ręką - nie wiadomo, czy żeby się osłonić, czy żeby zadać cios. Kamil nie tracił czasu na domysły i ciął napastnika w lewe przedramię. Ostrze wbiło się w ciało i znieruchomiło, jakby utkwilo w kości. Tylko dlaczego opryszek nie wył z bólu? Dlaczego nie było widać nawet śladu krwi?!

Napastnik bez emocji szarpnął ręką i szpada pękła! Prawie połowa klingi wylądowała w śniegu, reszta została w dłoni Korda. Kamil nie ryzykował już kolejnego ciosu, zresztą czym miał go zadać? Wziął nogi za pas. A że napastnik blokował sobą wyjście z bramy na ulicę, Kamilowi nie pozostało nic innego, jak wbiec na podwórze, nad którym piętrzyły się ściany starej kamienicy. W tej zamkniętej z czterech stron studni musiał znaleźć schronienie lub pomoc.

W oknach nie było jednak ani jednego światła. Ani jednej zadbanej okiennicy. Ani jednej szyby, o ile w ogóle można było je zobaczyć w zapadającym mroku. To było jakieś wymarłe miejsce. Tu chyba i wrzask nic by nie dał! Nawet nie oglądając się za siebie, spanikowany Kamil dopadł pierwszych lepszych drzwi. Nic z tego, zamknięte! Kiedy usłyszał skrzypnięcie śniegu pod stopami napastnika, Kord naparł z całej siły na drzwi! Puściły! Już miał wpaść z impetem do pomieszczenia za nimi, gdy coś z wnętrza runęło na niego! Ręce! Dziesiątki rąk! Kamil odepchnął jakieś ciało, od którego... odpadła nagle głowa! Kord stracił równowagę. Ciała, nagie ciała zasypały go. Oderwane głowy, oderwane ręce, bezkształtna masa.

Manekiny!

Kiedy Kord rozpaczliwie próbował się wygrzebać spod sterty sztucznych, drewnianych postaci, spostrzegł prawdziwe zagrożenie. Zbliżającego się zbira. Ale, o dziwo, bandyta wcale się nie spieszył. Spokojnie podniósł ze śniegu cylinder Kamila, zrobił parę kroków i cisnął nakrycie głowy w kierunku swojej ofiary. Wylądowało na głowie któregoś z manekinów.

Kord nie próbował się zastanawiać, dlaczego oprych zwleka z atakiem. Wygrzebał się spod upiornego stosu i wyciągnął przed siebie żałośnie skróconą, wygiętą szpadę. To żadna broń. „Nie ma innego wyjścia, trzeba chyba krzyczeć po pomoc! Nawet jeśli w tej kamienicy

mieszkają tylko szczury, może usłyszy ktoś w sąsiedztwie”, pomyślał.

- Załóż pan czapkę, bo się przeziębisz - odezwał się w tym momencie napastnik. A potem Kamil usłyszał: - I zostaw, panku, Chaję, tę swoją Żydówkę, w spokoju. Bo inaczej ona też się poważnie przeziębi.

Po czym olbrzym po prostu odwrócił się i zniknął za bramą, w mroku przecinanym coraz większymi i gęstszymi płatkami śniegu.

- To czysty skandal. Żeby coś takiego działo się niemal w biały dzień! Koniecznie trzeba to zgłosić odpowiednim organom - Hubert nie posiadał się z oburzenia, gdy zobaczył Kamila w domu roztrzęsionego, poturbowanego i z paroma solidnymi siniakami. - Kto to mógł być?!

Na to pytanie Kamil nic nie odrzekł. Nie powiedział, co usłyszał od opryszka na odchodne. Nie powiedział, bo sam do końca tego nie pojmował. „Załóż pan czapkę, bo się przeziębisz. I zostaw, panku, Chaję, tę swoją Żydówkę, w spokoju. Bo inaczej ona też się poważnie przeziębi”. Dlaczego, u diaska, zbir wymienił imię jednej z córek Ritterów? Czyżby bandyta groził mu, aby porzucił swoje dziennikarskie śledztwo, mające ujawnić prawdziwe przyczyny mordu? Ale coś tu było nie tak. Zbir groził mu, że jeśli nie zostawi córki Rittera, to coś nieprzyjemnego może się przytrafić jemu i jej. Dlaczego właśnie jej? I dlaczego obcy mówił, że to Żydówka Korda? A może to tylko kwestia leksykalna? Może nie trzeba rozumieć tych zdań, wypowiedzianych przez prymitywa, dosłownie? Przekaz był przecież jasny: „Trzymaj się z dala od Żydów, bo ściągniesz na siebie i na nich kłopoty”! Ale przecież Kamil nie bronił Ritterów. Owszem, miał też inne podejrzenia, ale...

Była jeszcze druga, zagadkowa i przerażająca sprawa. Kamil wciąż przypominał sobie, jak ciął napastnika w rękę. Przez ciało mężczyzny nie przeszedł nawet dreszcz bólu. Ostrze wbiło mu się w przedramię, a on nawet nie drgnął. Co to za człowiek? Kamil widział przecież, że go trafił, a nie zobaczył nawet kropli krwi. Napastnik nie tylko nie odczuł cierpienia, lecz od razu złamał szpadę Korda, niemal od niechcienia.

Kamil, skonfundowany, poturbowany i podrażniony w swej męskiej dumie (na nic zdały się lekcje fechtunku w starciu z prymitywnym draniem!), przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Ciotka miłosiernie milczała. Chyba wyczuwała, że litowanie się nad jego losem tylko pogorszy sprawę.

- Wezwę powóz i pojedziemy na posterunek - oznajmił Hubert. Do Kamila ledwo to dotarło. Zmęczony, w ciepłym fotelu, po kilku kieliszkach wina, zaczynał już drzemać. - Słyszysz? Wezwę powóz i jedziemy na posterunek! - powtórzył Hubert głośniejszym głosem, powodując ocknięcie się krewniaka.

- W żadnym wypadku - odpowiedział Kamil. - Wolę się położyć. Jutro z rana czeka mnie podróż powozem do Rzeszowa. W środę ogłoszą tam wyrok w sprawie Ritterów. Mam już dosyć przygód na dzisiaj - odparł tonem znamionującym, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Ciotka pokiwała głową, jakby zgadzała się z nim.

„Swoją drogą, to ciekawe, że do ataku doszło tak krótko przed wyrokiem”, pomyślał Kamil. Czyżby mógł na niego jakoś wpłynąć? Nie, to musiała być ślepa uliczka. Rozboleła go od tego wszystkiego głowa. Chyba odziedziczył po matce stany migrenowe. Czuł, że naprawdę powinien się już położyć.

„List przeczytam w podróży”, znów odłożył swoją przyjemność, choć tym razem z innych powodów. Zasnął z błogą myślą o Marii, uśmiechnięty jak dziecko.

Tak było, póki nie zapadł w głęboki sen, w którym pojawiła się znajoma zwałista postać. Zbliżała się do niego złowrogim, wolnym krokiem. Kamil leżał nie w łóżku, ale znowu w stosie manekinów. Nagle pojawiło się obok żydowskie dziecko z Lutezy. Zaczynało coś opowiadać. Historię, którą Kamil już słyszał. Tak, przypominał sobie. Słowa nabierały sensu. To ta baśń o golemie!

Golem z Krakowa był coraz bliżej. A Kamil wciąż nie mógł się ruszyć. Nagle do napastnika podeszła jakaś postać w chałacie. To stary Ritter. Włożył stworowi w usta jakiś papierowy zwitek. Wtedy golem zaczął się kurczyć i topnieć. Przesuwały się po jego ciele jakieś dziwne fale. Bulgocząca materia wybrzuszała jego korpus to tu, to tam. To była transformacja. Stopniowe przepoczwarczenie. W końcu ciało przestało się ruszać, gdy zostało ostatecznie uformowane. Ritter kabalista osiągnął swój efekt. Jaki? Kamil zobaczył naprzeciw siebie własne lustrzane odbicie. Sobowtóra. Golem Kamil uśmiechał się pięknie. „Do Warszawy”, mamrotało żydowskie dziecko do ucha Korda. „Dlaczego do Warszawy?!”, zatrzęsł się Kamil.

-... do Rzeszowa! - usłyszał, gdy poderwał się spocony na łóżku. - Jaśnie pan chciał jechać o świcie do Rzeszowa - powtórzył służący. Kord skoczył na równe nogi. Tak niezgrabnie, że niemal strącił stojący przy łóżku lichtarz z wypalonymi świeczkami. Zaklął pod nosem, po czym wydał służącemu dziesiątki szczegółowych poleceń i zaczął szykować się do drogi.

Dopiero po kilkudziesięciu minutach, już w pociągu, zorientował się, że wśród zapakowanych rzeczy zabrakło tej dla niego najistotniejszej. Listu od Marii.

18-21 grudnia 1882, Rzeszów

W dniach 18 i 19 grudnia podczas procesu niewiele się zdarzyło, poza dwiema godnymi odnotowania kwestiami. Ksiądz Jan Drzewiecki zeznał, że był na rekolekcjach, gdy znaleziono Franciszkę. Później zaś od zatrzymanego Stochlińskiego duchowny usłyszał przyznanie się do współuczestnictwa w mordzie zaplanowanym przez Ritterów.

Z kolei doktor Bieliński powiedział o okolicznościach mordu, że „uszkodzenia na głowie są ciężkie, lecz nie śmiertelne”. Mniejsze niż spodziewane były dlatego, że „sprawca nie miał dość miejsca na zamach”. Dlatego uważał, iż „przyczyną śmierci było zarżnięcie”.

Na plecach i nogach Mnichówny znalazł doktor ślady po zębach zwierząt, ale to stało się już po śmierci ofiary. Zapytany, czy mord mógł się odbyć w miejscu odnalezienia zwłok, a nie w piwnicy, odparł: „Nie wykluczam, że Franciszka Mnich mogła być zabita tam, gdzie ją znaleziono, ale miejsce otwarte przemawia przeciw temu”. Na zakończenie, zapytany o stan zdrowia rzekomo pobitego Stochlińskiego, odpowiedział, że stwierdził na jego ciele ślady po czyrakach, a nie po biciu.

Niewiele to było dla Kamila, zważywszy, jak pędził do Rzeszowa. Dumął sobie, czy nie lepiej byłoby wrócić do Krakowa, żeby w końcu przeczytać list od Marii. Ale takie wyjazdy i powroty to była mordęga. Trudno, przeliczył się, lecz trzeba być konsekwentnym.

Miał czas jeszcze raz przyjrzeć się podejrzanym. Coś szczególnego, strasznego uderzyło go w zgarbionych postaciach Chaji i Bejli. Jeszcze niedawno było przed nimi całe życie. Rozkwitały. Teraz ktoś mógł te paki ściąć. Okrutnie, nawet jeśli sprawiedliwie, za popełnioną zbrodnię.

Co on, Kamil, miał z tym wspólnego? „Chajo, co takiego cię ze mną łączy?”, wzdrygał się na myśl o ataku w ciemnej bramie.

Wreszcie, 20 grudnia, protokolant odczytał sędziom przysięgłym pytania, na które mieli odpowiedzieć. Pierwsze, główne: „Czy Mojżesz Ritter winien jest, że ku końcu 1881 roku w Lutczy, w sposób zdradzieckopodstępny, Franciszce Mnich, w zamiarze pozbawienia jej życia, gardło narzędziem ostrym poderżnął, wskutek czego jej śmierć nastąpiła?”.

Drugie pytanie główne: „Czy Marceli Stochliński winien jest, że do dokonania czynu pytaniem pierwszym objętego bezpośrednio czynnie przyłożeniem ręki się przyczynił i podczas dokonania takowego współdziałał?”.

Trzecie pytanie główne: „Czy Gitla Ritterowa winna jest, że do dokonania czynu pytaniem pierwszym objętego bezpośrednio czynnie przyłożeniem ręki się przyczyniła i

podczas dokonania takowego współdziałała?”.

Czwarte pytanie główne: „Czy Bejla Neumann winną jest, że do dokonania czynu pytaniem pierwszym objętego bezpośrednio czynnie przyłożeniem ręki się przyczyniła i podczas dokonania takowego współdziałała?”.

Piąte pytanie główne: „Czy Chaja Ritter winną jest, że do dokonania czynu pytaniem pierwszym objętego bezpośrednio czynnie przyłożeniem ręki się przyczyniła i podczas dokonania takowego współdziałała?”.

I szóste pytanie wypadkowe, na wypadek zaprzeczenia w piątym: „Czy Chaja Ritter winną jest, że podczas dokonania czynu pytaniem pierwszym objętego zapaloną świeczką przyświecała i w ten sposób do dokonania tego czynu pomocną była?”.

Kamil nie mógł już tego słuchać. Był przekonany, że zna kogoś, kogo coś łączy z „dokonaniem czynu pytaniem pierwszym objętego”! Ten człowiek ścigał go na ulicach Krakowa, a potem nawet we śnie!

Takie myśli przemykały mu przez głowę, gdy tymczasem rozgorzał spór o parę słów dotyczących daty mordu. Były kłopoty z jej precyzyjnym ustaleniem. Wreszcie zwrot „ku końcu 1881 roku” w pytaniu pierwszym zastąpiony został słowami „przed adwentem lub w czasie adwentu 1881”.

Potem odezwał się prokurator: „Panowie przysięgli! Trudne, lecz zarazem i wdzięczne czeka was zadanie. Trudne, bo macie spełnić wymiar sprawiedliwości, macie zapytać swoje sumienie, czy stojący przed wami obwinieni dopuścili się zarzuconego im czynu i czy ich ma spotkać zasłużona kara i ten wyrok przez usta wasze ogłosić. Wdzięczne, bo macie spełnić swój zaszczytny obowiązek, dać wyraz obrażonemu prawu, uczynić zadość społeczeństwu i niewinnej ofierze potwornej zbrodni, które się od was sprawiedliwości domagają.

Sprawa obecna o wiele przechodzi miarę spraw, które się w tej sali już odbywały, a rozgłos, jakiego ona nabrała w całym naszym kraju - ba, nawet za granicą - interes, jaki ona powszechnie wzbudziła, czynią waszą odpowiedzialność cięższą, ale obiecuje zarazem zaspokojenie i wewnętrzne zadowolenie tym większe. Wiedźcie o tym, Panowie, że na nas patrzy całe społeczeństwo, że waszego wyroku czeka tysiące ludzi, że wyrok wasz potępiający obwinionych zgodny z poczuciem sprawiedliwości znajdzie ogólny poklask i uznanie. Nie na darmo sprawa ta nabrała takiego rozgłosu, że o niej po dziennikach piszą i w sejmie naszym wspominano. Instynkt ludzi nie zawodzi, a tutaj instynktownie przeczuło, że ta z początku tak tajemnicza zbrodnia jest czymś niezwykłym, czymś przerażającym, że mieści w sobie coś, co wzdrygać się każe naturze ludzkiej na samą myśl już nie cierpień niewinnej ofiary, ale złości jej katów i oprawców, pozbawionych wszelkiego uczucia i serca.

Tak - kaci i oprawcy odebrali życie Franciszce Mních. Kaci, bo ją pozbawili życia. Oprawcy, bo nie dość im było odebrać jej życie, i to w sposób tak okrutny, ale znęcali się nad biedną ofiarą w tak ohydny sposób, że przykładów trzeba by szukać chyba w czasach ciemnoty, gdzie ludzi nie przejęło jeszcze światło religii, kiedy zwierzęce instynkty tłumili wszelką duchową istotę człowieka.

Co mówię - nawet między zwierzętami nie znajdzie się przykładów podobnego postępowania ze swoimi ofiarami, jak tutaj istoty zwane «ludźmi» z Franciszką Mních postąpiły.

I nie była tutaj pobudką do popełnienia zbrodni ani namiętność, ani chęć zemsty, jak to się zwykle przy podobnych zbrodniach zdarza. Była tylko chęć uchylenia się od drobnych przykrości i nieprzyjemności. Chęć uniknięcia nieznacznej straty majątkowej. Te to mizerne cele popchnęły tych kanibali do zdradzenia naiwnej ufności, wyzbycia się wszelkiego ludzkiego uczucia, do zamordowania kobiety w okrutny sposób, by ciało jej potem rzucić na pastwę dzikich zwierząt.

O moi Panowie! Taka zbrodnia woła o pomstę do nieba, a o sprawiedliwość na ziemi! Takie potwory, jakimi są sprawcy zamachu na życie Franciszki Mních, nie zasługują na żadną litość. To rak, który należy wyciąć i wypalić, by całe społeczeństwo uratować.

Ale czy rzeczywiście popełniono morderstwo na osobie Franciszki Mních i czy obwinieni dopuścili się tej zbrodni? Przypatrzmy się bliżej temu, co nam rozprawa przedstawia, a wątpić o tym nie można ani na chwilę”.

Po czym prokurator przypomniał znane już przysięgłym argumenty przemawiające za tym, aby odpowiedzieli twierdząco na pytania przeczytane przez protokolanta. Tak, Mojżesz Ritter winien jest, że w końcu 1881 roku w Lutczy poderżnął gardło Franciszce Mních. Tak, Marcelli Stochliński winien jest. Gitla Ritterowa winną jest. Bejla Neumann winną jest. I Chaja Ritter także.

Aż dwie godziny przypominał prokurator argumenty za tym przemawiające. Kiedy wreszcie skończył, głos zabrał obrońca Stochlińskiego, dr Koppel. Obecny na sali nieznanym Kordowi reporter tak zapisał je w streszczeniu:

„Ciche, konserwatywne nasze miasto odkąd przestało błyszczeć, słynąc ze złota rzeszowskiego, poszło w zapomnienie w historii Galicji. I tak zaczęto już powątpiewać o jego przeszłości. Lecz niesłusznie. Opatrzność przeznaczyła dla Rzeszowa jeszcze miejsce w historii. A między innymi dowodami na tę troskliwość koło naszego grodu zajmuje z pewnością rozprawa, która do kresu swego dochodzi, niepoślednie miejsce.

Czy słusznie sprawę tę podniesiono do takiego znaczenia, czy słusznie do jej wyniku

tak wielką wagę przywiązywano, nie ja kompetentny do rozprawy o tym. Lecz mniejsza o to.

Czy słusznie, czy niesłusznie, nie zmienia to w niczym faktu, że tak jest. Że publiczność się żywo tą sprawą zajmuje. A chociaż nie ulega wątpliwości, że bardzo wielu jest takich, którzy się obiektywnie na sprawę tę zapatrują i chociaż z wdzięcznością uznać muszę, że za staraniem zacnych reprezentantów dziennikarstwa - niezmordowanie naszej pracy towarzyszących - dzienniki krajowe sprawę czysto przedmiotowo, bezpartejalnie traktują, to jednak faktem jest, że bardzo wielu jest takich, którzy bezwzględnie sympatyzują z oskarżeniem, a wielu, choć mniej takich, którzy sympatie swoje obrońcom udzielają.

Przyznacie, panowie, że wobec tego faktu stanowisko obrońcy jest bardzo przykre, a jeżeli się zważy, że w tej sprawie mnie się dostał w udziale Marceli Stochliński, odgrywający rolę ohydneho Judasza, który miał biedną ofiarę za błahe pięćdziesiąt złotych zdradzić i który się kilkakrotnie przyznał do czynu, to pojmiecie panowie, że położenie moje jest tym przykrzejsze i wobec tego pozwolicie mi, że w krótkich słowach nakreślę stanowisko obrońcy i cel obrony. W ten sposób dostarczę wam materiału do zrozumienia tejże.

Obrona nie może mieć naturalnie i nie ma celu, aby uwolnić winnego od zasłużonej kary, lecz aby obronić niewinnego przed karą niezasłużoną.

Mógłby się z was ktoś zapytać, panowie, co tu bronić, skoro się przyznał tyle razy. Na to wam odpowiem, że - po przyznaniu się - odwołał to.

Bo kto jest winnym? Za winnego naturalnie wobec prawa uważanym być może tylko ten, kto przez właściwy sąd został za winnego uznany. Przez sąd zaś może tylko ten za winnego być uznany, z którym odbył się proceder ustawą nakazany. Ustawa dodaje obwinionemu obrońcę. Kto przed sądem przysięgłych nie był bronionym, nie może być winnym, nie może być zbrodniarzem. Bez obrońcy więc nie ma winnego. Zadaniem koniecznym tedy obrońcy jest nie «sądzić», lecz wyszukać - bez względu na własne przekonanie - wszystko to, co winę robi wątpliwą. Wyliczyć wszystko, co mówi przeciw oskarżeniu. Przedstawić wszystkie możliwości. Nie jest wprawdzie rzeczą obrony udowodnić, że tak być mogło, ale jest rzeczą oskarżenia zbić te możliwości i wątpliwości.

Z tej wychodząc zasady, nie będę się silił udowodnić prawdziwość twierdzeń Stochlińskiego, że nic nie wie, co przedtem gadał, albo że dzisiaj czuje jeszcze ból uderzeń żandarma. Wszak żandarm Maj sam przyznał, że po przyprowadzeniu Stochlińskiego do swych koszar kazał mu ręce i nogi skuć. Wprawdzie nie mówił, czy łańcuszki przerznąły ciało Stochlińskiego, czy nie, lecz wiemy to wszyscy, że żandarmi nie folgują więźniom, że starają się i w ten sposób dokuczyć.

Samo więc skucie Stochlińskiego mogło na niego wpłynąć, że tenże nawet do

nieprawdziwych rzeczy mógł się przyznać. Nawet żandarm przyznał, że został do przedsięwzięcia tych dochodzeń wezwany przez swego przełożonego, który mu w razie wykrycia zbrodni obiecać musiał jakąś nagrodę. A Stochliński sam się wyraził, że potakiwał tylko na pytania zadawane przez żandarmów. Jeżeli więc żandarm zapytał go: «Kto rznął? kto trzymał? kto bił?», to naturalnie, że skuty Stochliński głową musiał mu potwierdzać te pytania. Cóż więc takie przyznania znaczą? Przejdźmy do dalszych jego przyznań. Wszak u podwójciego Stochliński był pod dozorem żandarmerii, pod bokiem której również tam się przyznawał. W sądzie był moralnie zmęczony, głodny. W szpitalu przebył słałość straszną: tyfus. Nie da się stanowczo stwierdzić, czy zeznań swoich nie poczynił w gorączce.

Dalej prawie wszyscy świadkowie zeznali, że czyn zamordowania Mnich spełniony został dnia 27 listopada. Stochliński przecież udowodnił, że dnia tego był na jarmarku. Teraz prokuratura zmienia i oskarża, że czyn spełnionym został w «adwencie». Tę okoliczność przecież należało stwierdzić dokładnie”.

Na koniec adwokat polecił Stochlińskiego przysięgłym, mówiąc, że „lepiej jest dziesięciu winnych uwolnić, niż jednego niewinnego zasądzić”.

Przemówienia obrońcy Ritterów, starającego się obrócić całą sprawę w szukanie kozła ofiarnego wśród Żydów, Kamil słuchał już jednym uchem. Myślał o Mníchównie. „Bała się wstydu, bała się rodzić. Wiedziała, że nawet jeśli zostawi dziecko w jakimś zakładzie dla podrzutków, tak jak wiele innych zostawia w kołowrocie przy krakowskim szpitalu św. Łazarza, to nie ma już powrotu do dawnego życia. Może omamiła ją jakaś aborcjonistka, fabrykantka aniołków? Powiedziała, że usunie jej problem piołunem, sporyszem lub innym diabełstwem... Może Franciszka nie chciała czekać do porodu, a potem sama kłać się zabójstwem noworodka?” Kamil słyszał o wielu przypadkach dzieciobójstwa za granicą. Szczególnie z Bawarii dochodziło ostatnio dużo takich sygnałów. Ale to musiała być plaga wszędzie. Kord nie miał pojęcia, jaki mógł być przebieg zdarzeń, ale wyobrażał sobie, o czym mogła myśleć ciężarna kobieta w sytuacji Mníchówny. „Zapewne rozważała sposób spędzenia płodu. Może szukała «pomocy». Tylko gdzie? Z czyją pomocą chciała to zrobić? U jakiejś starej kobiety? A może u znajomej Gitli?”, kłębiło mu się w głowie.

Znów spojrzął na żydowskie dziewczęta, z których oczu płynęły łzy. Naprawdę budziły jego żal. Prawie im współczuł.

Wyszedł z sali zadumany, jako jeden z ostatnich. Wyrok miał ogłosić sąd następnego dnia, 21 grudnia.

Ta noc nie była dla Kamila lekka. Sprawa Ritterów go przygniatała. Nie był już pewny swoich wcześniejszych argumentów. Po co był Ritterowi Stochliński, jeśli miał

rzekomo do pomocy całą rodzinę? Czy był tak głupi, żeby mordować kobietę we własnym domu? To nie trzymało się kupy.

Kamil był skonsternowany i przygnębiony. Gdyby znalazł się na miejscu ktoś znajomy, bliski. Choćby Ernest Ochorowicz, tak przecież zaangażowany w obronę dobrego imienia żydowskiej rodziny. Ale on pewnie gonił za jakimiś antykami. Wspomniał Kamilowi podczas wspólnego wieczoru, gdy już opróżnili kilka kieliszków absyntu, że jest na tropie zaginionego dzieła Wita Stwosza: rzeźby Matki Boskiej w otoczeniu innych postaci. Figurkę Madonny już znalazł w miejscowości Blizne. Reszty wciąż szuka po okolicy. To się dla Ernesta liczyło.

Dla Kamila najbardziej liczyła się Maria i wszystko, co z nią związane. Gdyby chociaż miał list od niej. Może czułby się lepiej pośród tych wilków na sali sądowej.

Rankiem Kamil poruszał się jak w transie. Nic nie czuł i na nic nie zwracał uwagi, póki nie znalazł się w sądzie na odczytaniu wyroku. Gdy ta chwila nadeszła, wstrzymał oddech...

„WINNI”, usłyszał. Przysięgli jednogłośnie uznali Mojżesza Rittera i Marcelego Stochlińskiego za winnych. Pierwszego z nich popełnienia skrytobójczego morderstwa, a drugiego - współdziałania w zbrodni. Gitla też została skazana za współdziałanie, ale nie jednogłośnie. Orzekło tak dziewięciu z dwunastu przysięgłych.

„Co z dziewczętami? Może chociaż one dostaną szansę?”, pomyślał z nadzieją Kamil. Bejla - 4:8. Czyli niewinna! Chaja też, i to jednogłośnie!

Jak jednak dziewczęta mają się cieszyć ze swego uwolnienia, skoro ich rodziców skazano na śmierć? Starzy Ritterowie mają przecież zawisnąć, tak jak Stochliński.

Spojrzał na żydowskie dziewczęta i postawił się w ich sytuacji. A znał ją dobrze. Kogoś skazanego na dorastanie bez ojca i matki. Dlatego, że rodzice nie żyją albo egzystują w zupełnie innym świecie. Za kratami więzienia albo zamknięci we własnych problemach. Nie lubił słowa sierota. Unikał go nawet w myślach. Denerwowało go. Teraz swoją złość obrócił w myślach na c.k. sąd.

„Czy faktycznie ta trójka jest winna? Skoro córki nie są winne, to czy nie znaczy to, że cała wersja Stochlińskiego jest licha? Bo jak inaczej to interpretować? Uwolniono Ritterówny od odpowiedzialności, bo wykonywały tylko polecenia rodziców? Nie wiedziały, co robią? To żadne tłumaczenie”, Kamil z niedowierzaniem kręcił głową.

- Albo wszyscy, albo nikt - tłumaczył ktoś z boku, poirytowany postanowieniem sądu.
- Czy ktoś zaskarży wyrok?

W tle słyszał Kord kolejne komentarze, chwalcące sąd za to, że chociaż kilku Żydów

spotka zasłużony stryczek. I że może to postawi tamę mordom rytualnym. Ale głosy te nie przyniosły Kamilowi żadnej satysfakcji. Wręcz przyprawiły go o obrzydzenie.

Pomyślał, że powinien opowiedzieć o napadzie w Krakowie obrońcy Ritterów. Może ktoś tu mataczy, spiskuje, próbuje coś kręcić? Spróbował precyzyjnie się w pobliżu adwokata, ale tłum był zbyt gęsty. Po chwili zrezygnował. Przecież sam jeszcze do końca nie rozgryzł, jaki był sens usłyszanych w ciemnej uliczce słów.

Po powrocie Kamila do Krakowa miało się to wszystko wyklarować.

Póki co, musiał jakoś zabić czas przed otwarciem zapomnianego listu od Marii. Zaczął więc pisać w pociągu relację z ostatniego dnia procesu i łamać sobie głowę, jaki sens mógł mieć bandycki napad na niego w Krakowie. A potem znów myślał o liście. Zasłużył na niego. Jeszcze tylko parę godzin.

22 grudnia 1882, Kraków

Napisany w pociągu tekst wcale nie zakończył zainteresowania Kamila sprawą Ritterów. Kiedy jednak wchodził w Krakowie do domu swej gościnnej ciotki, w głowie miał tylko list z Warszawy. Huberta, który go zaczepił, zbył kilkoma zdaniem i wręczył mu swój komentarz do procesu. Bardzo zresztą lakoniczny, biorąc pod uwagę, jak wiele pisało się dotychczas w ich gazecie o procesie Ritterów.

- Krótko, ale mocno? - spytał zdziwiony Hubert, jednak Kamil prawie go nie słuchał. Zaskoczenie Konickiego pogłębiło się, gdy przebiegł wzrokiem linijki tekstu. W końcu wybuchł: - Czy to żart? Całkiem zmieniłeś swoje zdanie na temat sprawy Ritterów? Sugerujesz, że dziewczyny słusznie uniewinniono, a być może i cały proces wart był funta kłaków? Przecież nie możemy traktować naszych czytelników jak głupców.

I co Kamil miał mu odpowiedzieć? Że ktoś mu „poradził”, aby nie zajmował się Chają Ritter, bo inaczej dziewczyna ucierpi, więc wzbudziło to jego podejrzenia? Że najwyraźniej jakieś fakty i tropy są ukrywane? Że może cała zbrodnia miała inny przebieg? Że może Stochliński faktycznie został zastraszony? Możliwości było mnóstwo. A wszystko przez ten bandycki napad.

Jadąc pociągiem, Kamil rozłożył wszystkie fakty na czynniki pierwsze. Dlaczego zaatakowano jego, który bynajmniej nie bronił Żydów na łamach prasy? Przez pomyłkę? Mało prawdopodobne. Zaatakowany został parę minut po wyjściu z domu ciotki, tak wyróżniającego się pięknym Pegazem nad wejściem, więc zapewne ktoś już na niego czekał. Co innego, gdyby włóczył się ulicami, zaglądając w jakieś podejrzane zaułki. Ktoś mógłby wtedy z kimś go pomylić. Ale w tym wypadku...

Ze słów napastnika wynikało, że Żydów nie cierpiał. Dlaczego zatem wygrażał Kamilowi, który też miał o żydostwie bardzo złe mniemanie. I właściwie nie miał zamiaru zmieniać zdania o winie Ritterów. Nie miał, aż do tego napadu! A co do pytania, dlaczego wygrażał Kamilowi, który TEŻ miał o żydostwie bardzo złe mniemanie, to musiał obawiać się, że Kamil wie coś, czego na łamach gazety nie ujawnił. Jeszcze. Tylko czego? Czegoś, czego dowiedział się w Lutczy? Niewykluczone, ale o niczym takim Kamil nie pamiętał! Być może chodziło o rzecz pozornie bez znaczenia, przynajmniej dla niego, kto wie...

Możliwość druga była taka, że chodziło o wątek handlu ludzkimi płodami. Ktoś mógł dowiedzieć się, że Kamil o to wypytuje w sądzie i organach ścigania. Ba, ktoś mógł nawet podsłuchiwać jego rzeszowską rozmowę z Ponarem i wyłowić z niej parę słów. Kamil

przypomina sobie, jak żandarm ostrzegął go przed babraniem się w tej sprawie. Może zbirowi z bramy o to chodziło? Kamil miał dać spokój, bo inaczej ktoś zaatakuje... Chaję Ritter!

Tymczasem Hubert wciąż patrzył na niego pytająco, potrząsając artykułem. - Przemyślałeś to? - spytał.

Kamil był zniecierpliwiony. „Jak ci się nie podoba, to każ to napisać komuś innemu”, chciał odparować, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Po co prowokować kolejną kłótnię?

- Proponuję, żebyś to przemyślał. I tak twój felieton nie zdąży już wejść do jutrzejszego numeru - nie ustępował Hubert. W odpowiedzi Kamil pokiwał głową, choć nie wiadomo, czy przekonany, czy dla świętego spokoju, i pospiesznie odszedł do swojego pokoju.

Po drodze natknął się na służącego, więc zbeształ go za to, że nie zapakował mu listu. Ten zniósł to z godnością, a nawet wyjaśnił, że żadnego takiego polecenia nie dostał. Kamil zrobił się zielony ze złości, więc mężczyzna dodał zaraz, że być może zawiódł go, starego sługę, słuch i prosi o wybaczenie. Cóż - było, minęło. Kamil machnął na to ręką, bo i po co robić sobie w życiu kolejnego wroga? W końcu wydał wtedy służącemu tyle dyspozycji naraz, że starszy człowiek istotnie mógł o czymś zapomnieć. Szkoda, że akurat o liście, a nie o papierosnicy, na przykład.

Po półgodzinie Kamil bez słowa wypadł z domu jak szalony. Ten wyczekiwany list od Marii... Ten, którego lekturę tak odkładał...

Mógłby go czytać w nieskończoność, wciąż od nowa. Rozbijać na cząstki i cząstki cząstek. Obracać i rozgryzać każde słowo. Ale nie tym razem. Za bardzo był wstrząśnięty. W głowie pulsowały mu wyrwane z listu zdania, jak hasła.

...Idą święta, więc traktuj Pan moje wyznanie jak prezent...

...Moja babka była Żydówką. Choć sama nie czuję już związku z tą grupą, to żydowska krew nie pozwala mi słuchać antysemickich obelg, i to od osoby kochanej...

... Oszczędzę Ci trosk i kłopotów. Nie tylko płynię we mnie żydowska krew, ale też mam dar sprowadzania na bliskich kłopotów przez niewyparzony język. Ojciec otrzymał ostatnio anonim, w którym zasugerowano, abym powstrzymała się od komentowania spraw państwowych, bo inaczej możemy zmienić klimat na chłodniejszy, syberyjski może...

...Pamiętasz, jak pod Warszawą oglądaliśmy zwierciadło alchemika Twardowskiego? Niby baliśmy się zajrzeć w jego diabelską taflę, bo ponoć sprowadziło nieszczęście na Napoleona Bonaparte, Barbarę Ubryk i wielu innych nieszczęśników, wielkich i małych. W końcu ze śmiechem to zrobiliśmy. Ty zobaczyłeś fale. Fale Dunaju, jak twierdziłeś. Ja zaś

kompletnie nic. Nie mam, nie mamy przyszłości...

...Powiedz mi więc „Precz z mej pamięci” i żyj dalej własnym życiem. W dobrym zdrowiu, spokoju ducha i w dobrobycie. Przecież strach pomyśleć, jak Żydówka w rodzinie mogłaby zaszkodzić Waszym interesom w obecnie panującej atmosferze...

Kamil aż się chwiał od wypitego wina. Elegancki płaszcz miał zapięty byle jak, kapelusz przekrzywiony. Wyglądał groteskowo. Ale nie dbał o to. Duchem był gdzie indziej.

W parę dni po tym, jak poznał Marię na balu w Paryżu, poszli wspólnie na Fausta Gounoda. Opera zrobiła na nim niesamowite wrażenie. Ale widział na scenie tylko fantastyczną opowieść. Dopiero teraz poczuł, że mówiła o realnym życiu. O doświadczeniu, które może spotkać każdego. Są siły, którym nie możemy sprostać. Pieniądze, władze, ideologie i przesady, które miażdżą nasze plany, serca i ideały. To wokół złotego cielca kręci się świat. Dla niego jednych nienawidzimy, innych kochamy. Jednych każe nam nienawidzić, a innych kochać.

Kamil nabrał w dłonie śniegu i wcisnął weń twarz, jakby chciał się obudzić, a w uszach pulsowała mu partia Mefistofelesa:

Le veau d'or est toujours debout;

On encense, sa puissance

D'un bout du monde a l'autre bout!

Pour feter l'infâme idole, Rois et peuples confondus, Au bruit sombre des écus

Dansent une ronde folle

Autour de son piédestal!

Et Satan conduit le bal!

A potem ten chór. Ten chór, który zawodził: „Et Satan conduit le bal!”*

A potem znów Mefisto...

Le veau d'or est vainqueur des dieux;

Dans sa gloire dérisoire

Le monstre abjecte insulte aux deux!

Il contemple orage étrange!

A ses pieds le genre humain

Se ruant, le fer en main, Dans le sang et dans la fange

Ou brille l'ardent métal!

Et Satan conduit le bal!

I już sam Kamil zaczął nucić na ulicy, śpiewać zamiast chóru: „Et Satan conduit le bal”, „Et Satan conduit le bal!”, „Et Satan conduit le bal!!!”.

Szumiało mu w głowie. Skręcił nie tam, gdzie trzeba. Męty z półświatka, w pogniecionych kaszkietach, stały w bramie i obserwowały. Wyglądały, jakby ostrzyły noże. Nawet na nich nie spoglądał. Mówi się, że lepiej nie prowokować psa, patrząc mu prosto w oczy.

(fr.) A szatan prowadzi bal!

Odepchnął jakiegoś żebraka. Przepędził bezżębne ladacznice, oferujące swoje usługi. Choć już się nieźle zataczał, sprawdził, czy nie wykorzystały okazji, żeby zrobić remanent w jego kieszeniach. Całe szczęście nie.

I znów pojawili się żebracy. Bili się o jakąś monetę, która wylądowała w śniegu. „No proszę, mamy tu nawet osobę duchowną!”, uśmiechnął się głupawo Kamil. Jakiś ksiądz kościoła w wielkiej tiarze przystanął w bramie z butelczyną. Po chwili zogniskował się w ulicznego Świętego Mikołaja, gorzałką ratującego się przed chłodem. Obok chichotały anioły o czerwonych nosach.

Kamila prawie staranowała jakaś gruba baba, a zaraz po niej postawny człowiek z wąsami i gęstymi bokobrodami. Aż odbili się od siebie. Kord z idiotycznym uśmiechem ruszył dalej. Baba znikła, za to wąsacz zatrzymał się i spojrzał za odchodzącym Kordem. W końcu zwawo ruszył za nim. Kamil, wietrząc kłopoty, przyspieszył kroku. Wydawało mu się, że mężczyzna ma w ręku nóż. Może śledziła go jakaś przestępcza organizacja? Może wytną mu serce albo oczy? Utopią w przerębli? Może to fale Wisły widział w magicznym zwierciadle?

Zaczął biec. Ale w tym stanie nogi niosły go, jak same chciały. Dał susa w jakąś boczną ulicę, ale mężczyzna wciąż sunął za nim. Krzyczał coś.

Wreszcie ucieczka Kamila skończyła się tym, że potknął się i runął jak długi. Wąsacz stanął nad nim, a błysk w jego dłoni sprawił, że Kord stracił oddech. Mężczyzna tymczasem pochylił się i tuż przy twarzy Kamila zadyndał zegarek na łańcuszku, należący kiedyś do starego Korda. - Chwila nieuwagi i dał się pan okraść grubej Elce. Całe szczęście to zauważyłem i ją pogoniłem. Ale w przyszłości sam pan powinien uważać - z tymi słowy wąsacz wręczył Kamilowi zegarek i odszedł.

„Et Satan conduit le bal...”, zabelkotał, zaskoczony takim obrotem sprawy Kamil. „Et Satan conduit le bal!”, krzyknął roześmiany, chwiejnie wstając z bruku i niezdarnie otrzepując się ze śniegu i błota. „Et Satan conduit le bal”, skończył z westchnieniem, po czym głęboko wciągnął mroźne powietrze. I wtedy usłyszał za swoimi plecami dokończenie: „Merci de ta chanson”. A może już miał zwidy i mu się wydawało? Na dodatek był to znajomy głos. Kamil rozejrzał się i stwierdził, że przypadkiem trafił pod kamienicę

Ochorowicza. A sam Ernest, najwyraźniej wracający późną porą do domu, stał tuż przed nim.

- Merci de ta chanson - powtórzył z uśmiechem.

- Jak libretto leci dalej, nie pamiętam - pijany Kamil skłonił się z przesadną elegancją.

- Ale musi pan mi pomóc. Inaczej piekło pochłonie mnie, niewinnych ludzi i cały ten świat.

- Myślałem, że dobrze pan się czuje w roli Mefista - Ernest wziął go pod rękę, widząc, że młodzian jest w nie najlepszej kondycji.

Kamil nie odpowiedział. Nie był już w stanie utrzymać się w tej tragikomicznej tonacji. Zbyt wiele teraz szarpało nim lęków. Szybko trzeźwiał na mrozie i stopniowo docierało do niego, że tej nocy mogło mu się przytrafić coś naprawdę strasznego. Kątem oka znów dostrzegł jakichś podejrzanych mężczyzn. Stali pod kamienicą. Wcześniej przypatrywali się zajściu. Nic nie mówili. Dłonie mieli schowane. Kamil był niemal pewny, że zaciskali w nich jakieś zimne rękojeści.

zima 1885, Paryż, Kraków

Padalo. Całkiem jak w Polsce. Kamil patrzył przez okno, jak z nieba sypało śniegiem. Jak upływały sekundy, minuty, godziny, dni, miesiące...

Na szybie osiadł śnieżny płatek. To 7 maja 1883 roku. Sąd Najwyższy i Kasacyjny w Wiedniu unieważnił wtedy wyrok w sprawie Ritterów. Apelacja oparła się na autorytecie Edwarda Hofmanna, naukowca z Pragi, który wcześniej wślawił się wyjaśnieniem okoliczności pożaru wiedeńskiego Ringtheater w 1881 roku, w którym zginęło niemal 400 osób. Ustalił wtedy, po sekcjach zwłok ofiar, że główną przyczyną ich śmierci było zatrucie dwutlenkiem węgla. Teraz zarzucał obducentom w sprawie lutczańskiej, że badanie sądowolekarskie bazowało na domysłach, w dodatku często błędnych. Materiał dowodowy wymagał, jego zdaniem, uzupełnień i uściśleń ze strony Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz dodatkowych wyjaśnień samych obducentów: doktorów May dla i Bielińskiego. Sąd Najwyższy uznał tę argumentację i nakazał powtórzenie procesu.

Na szybie osiadł kolejny płatek. To sierpień roku 1883. Wtedy to uniewinniono Żydów oskarżonych w procesie w TiszaEszlar o zabójstwo Solymossówny. Stwierdzono, że zeznania Scharfów wymuszono torturami, Estera zaś nie została zamordowana przez Żydów w synagodze, lecz właśnie to jej ciało wyciągnięto z rzeki. Na nic zdały się sugestie biegłego profesora Rohringa, że podejrzenie gardła chrześcijańskiemu dziewczęciu jest najwyżej cenioną ofiarą dla Boga w oczach Żydów kabalistów i talmudystów. Za to wiele cennych uwag ponownie miał profesor Hofmann. Kluczem były właściwe oględziny zwłok znalezionych w Cisie i fachowa, pozbawiona uprzedzeń ocena materiału dowodowego. Hofmann zbił argumenty o wypielegnowanych, nieznających pracy fizycznej rękach i stopach topielicy, a także o śladach jej kontaktów z mężczyznami. Wykazał braki wiedzy lekarzy, graniczące ze złą wolą i uprzedzeniami.

To koniec? Nie, po chwili przerwy zaczęło sypać jeszcze mocniej. Jesienią 1884 roku sąd w Krakowie wrócił do sprawy Ritterów.

Reporter zanotował: „Mojżesz Ritter w zwykłym stroju żydowskim i inteligentnego wyrazu twarzy, przypomina przeciętny typ obywateli Kazimierza, żona jego Gitla wygląda na wieśniaczkę, do której się i strojem zbliża, Marceli Stochliński, chudy, wysoki, nie robi sympatycznego wrażenia. Na przeciwległej od publiczności ścianie rozwieszono plan miejscowości dla sprawy ważnych. Corpora delicti - między nimi czaszka Mnichówniej ze śladami obrażeń - na stole trybunału, obok cały stos aktów”.

Rittera bronił niejaki dr Machalski. Adwokat Rosenblatt - Ritterową. Zaś Boroński, związany z pismem „Nowa Reforma” - Stochlińskiego.

Mojżesz Ritter podkreślał, że na zabranej od niego siekierze nie było krwi. A nawet jeśli była, to od obcinania gęsich dziobów, jak mówiła Ritterowa. Mojżesz powtórzył, że w wieczór zaginięcia Mnichówny miał gości, w tym Telesza. To nie była dobra pora na skrytobójstwo!

Oskarżenie wskazywało, że w piwnicy Ritterów mogło się poruszać kilka osób, a po domniemanym mordzie uprzątnięta ziemia była „naruszona na 15 cm”. Mojżesz utrzymywał jednak, że jesienią 1881 roku miał tyle ziemniaków w piwnicy, że sześć osób z opowieści Stochlińskiego by się tam po prostu nie zmieściło. Przeprowadzono też w tej komórce ciekawy eksperyment. Feliks Radwański, c.k. sędzieja powiatowy w Nisku, zauważył paciorki na szyi Mnichówny. Kazał więc przesiać ziemię z piwnicy Ritterów. Gdyby udało się znaleźć podobne, byłby to poważny dowód rzeczowy. Ale niczego takiego nie odkryto.

Ritter tłumaczył, że oskarżenie nie trzyma się kupy i on na cnotę Mnichówny nie nastawał, bo „była obyczajna, na chłopców nie patrzała, a jeżeli patrzała, to oni nie, bo była brzydka”. Sala chichotała.

Czy Ritter był psem na baby? Być może. Jan Telesz zeznał, że słyszał o zaczepkach Rittera wobec swej żony Kunegundy, ale obawiał się reagować. Bał się, że Mojżesz rzuci na niego czar, jak na Mandelę! Na sali znów powiało zabobonem.

Starął się temu przeciwdziałać obrońca Rosenblatt. Zwracał uwagę, że to niełatwa sprawa, bo „zamiast szukać motywu zbrodni w człowieku, chciano znaleźć go w religii”. Prosił przysięgłych, aby „spokojnie i przedmiotowo osądzili sprawę na podstawie przedstawionych sobie dowodów, aby uprzedzenie nie zagłuszyło głosu sumienia, a w miejsce sprawiedliwego sądu nie rozpostarł się przesąd”.

Jeśli chodzi o Stochlińskiego, przypomniano, dlaczego w ogóle padł na niego cień podejrzania. Reporter zapisał: „Władysław Maj, komendant żandarmerii, podaje, iż podejrzenie wobec Stochlińskiego powziął z pozycji mieszkania jego, nader blisko Ritterów położonego”.

Co ciekawe, żony Stochlińskiego, Salomei, pilnował w tym czasie żandarm Fuhr, by nie podsłuchiwała zeznań męża, gdy przepytywał go Maj.

„23 marca rano przyaresztował Stochlińskiego. Przez popołudnie dnia 23 był Stochliński przytrzymany u wójta Tomasza Świnickiego pod dozorem Fuhra, potem eskortowali go do Strzyżowa, a ponieważ sąd był już zamknięty, przeto zamknięto go w koszarach, gdzie się też Stochliński na naleganie żandarmów przyznał do czynu”, zapisał

dziennikarz.

Ludzie na zewnątrz koszar musieliby słyszeć krzyk, gdyby Stochlińskiego bito. Na przykład służąca Marianna Markosz, mieszkająca w trzecim domu od tego budynku. Biciu zaprzeczali też współwięźniowie, którzy mieli do czynienia ze Stochlińskim. Na bicie nie żalił się ani im, ani księdzu Janowi Drzewieckiemu, który z Marcelim się widział.

Z zeznań wynikało, że Stochliński próbował w więzieniu udawać wariata, ale mu przeszło. Być może ktoś wybił mu to z głowy...

Ale dopiero dzień 3 października 1883 roku przyniósł w sądzie prawdziwą sensację. Świadek Franciszka Telesz, „powtórnie słuchana, przed którą Franciszka Mnich miała się zwierzać, że ma stosunki z żonatym”, podała, że „Mnichówna wymieniła Marcelego Stochlińskiego”!

Teleszowa stwierdziła, że o tym „już podczas rozprawy w Rzeszowie wiedziała, tylko nie przyszło jej na myśl to powiedzieć (!) i dlatego zamilczała”. Dziennikarz zaznaczył jednak, że „Teleszowa nadto myliła się co do daty tego zwierzenia się Mnichówniej”, podając różne terminy. „Przeto na wniosek zastępcy prokuratora Trybunał postanowił Teleszową przyaresztować i wytoczyć jej śledztwo o oszustwo przez złożenie fałszywych zeznań”, zapisał reporter.

Kamil nie mógł w to uwierzyć. Przecież to było kluczowe zeznanie! Temu trzeba było się baczniej przyjrzeć!

Dla innych nie do wiary było to, że przed sądem nie stawili się osobiście pierwsi obducenci zwłok: doktorowie Maydl i Bieliński. Zostały tylko ich spisane zawczasu wyjaśnienia, bo pierwszy zmarł, a drugi zapadł się pod ziemię. Dziwne fatum krążyło nad tą sprawą. Ludzie znikali. „Czy nie starego Rittera to sprawka?”, pytali zabobonni.

Czyż w tej sytuacji Ritterowie nie nadawali się doskonale na kozły ofiarne?

Kord nic nie mógł na to poradzić. Był po drugiej stronie szyby. Mógł próbować strącić śnieg, zgarnąć, zrzucić, ale nie go zatrzymać. Nie miał szans.

10 października 1884 roku sąd ogłosił drugi wyrok. Ponownie skazał trójkę oskarżonych na śmierć przez powieszenie. Ale i tym razem interweniował Wiedeń. Powodem było pojawienie się sprzeczności w spisanych przed drugim procesem dodatkowych wyjaśnieniach Maydla (tuż przed śmiercią) i Bielińskiego (kilka miesięcy wcześniej). Sprzeczności, których sami usunąć nie mogli. A chodziło między innymi o bezsporne stwierdzenie, czy mając przed sobą ciało w zaawansowanym stanie rozkładu, pewni byli, że widzą ślady głębokiego poderżnięcia gardła. Wszak była to kluczowa okoliczność dla stwierdzenia bezpośredniej przyczyny śmierci Mnichówny.

W tej sytuacji 15 września 1885 roku ruszył w Krakowie trzeci proces. Ritterowie - wciąż trzymeni pod kluczem - znów przechodzili wszystko od nowa. Stochliński podupadł na zdrowiu. Tymczasem ludzie coraz mniej dyskutowali o istocie sprawy, a coraz więcej o polityce, o domniemanych naciskach Żydów...

Kamil na własne oczy tego wszystkiego nie widział. Był z matką w Paryżu. Obserwował wydarzenia z oddali. Czuł, że wcześniej się zagalopował. Stracił obiektywizm. Zbyt łatwo w sprawie Ritterów wydawał sądy, przyjmował cudze poglądy, a potem znów zmieniał swoje podejście pod wpływem impulsu.

Westchnął.

Za ścianą rozległ się gwałtowny płacz dziecka. Zaniepokojony Kamil nadstawił ucha, ale po chwili dzieciak ucichł.

Strasznie było duszno w jego pokoju. Kord otworzył duże, dubeltowe okno. Do jego gabinetu wpadło ożywcze, chłodne powietrze. Śnieg błyskawicznie stopniał i spłynął z szyby.

Przez moment wychylonemu przez parapet Kamilowi wydawało się, że przechodząca pod jego oknem para to ciotka i Hubert. Ale nie. Ich przecież już nie było...

Część III

Wcześniej

I

22-23 grudnia 1882, Kraków

Od chwili śmierci ojca żaden dzień nie wywarł tak wielkiego wpływu na dorosłe życie Kamila, jak ten sprzed trzech już lat, gdy wylądował pijany na bruku przed kamienicą, w której mieszkał Ernest Ochorowicz. Te trzy lata były jak kara.

Kamil zwierzył się Ernestowi z przemyśleń w sprawie Ritterów, z zagadkowego napadu, z listu od Marii, który tak bardzo go załamał.

Ochorowicz był wybornym słuchaczem. Takim, który nie przerywa i nie komentuje zbędnymi gestami tego, co słyszy. Bez sztucznego niedowierzania, bez udawanego współczucia. Po prostu słuchał i rozważał. Z góry można było liczyć, że spróbuje jakoś zwierającego się wesprzeć, a nie przekuć jego przeżyć w towarzyską anegdotę, skwitować ich żartem, nazwać nieistotnym epizodem, albo - co najgorsze - odpowiedzieć: „Młody kolego, pan się skarżysz, a co ja mam powiedzieć? Niech pan posłucha starszego...”.

Z zawartości pokaźnego imbryka herbaty zostały już tylko fusy, gdy prawie trzeźwy Kamil kończył swoje żale. Mocny napar postawił go na nogi, tak jak wcześniej wypite wino rozwiązało mu język i wypuściło z duszy emocje, niczym jakiegoś dzina z butelki.

Kiedy Kord wreszcie zamilkł, Ochorowicz jeszcze przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co mu odpowiedzieć. Jakby nie do końca był pewny, jak daleko może się posunąć. W końcu stwierdził:

- Myślę, że pana sympatia miała prawo zachować się tak, jak się zachowała. Trudno łączyć swoje życie z kimś, kto nas nie akceptuje i w najlepszym razie będzie łaskawie przymykał oko na coś, co jest jego zdaniem gorsze, wstydlive czy występne.

- Ale ja naprawdę nie jestem człowiekiem ziejącym nienawiścią. Zresztą, moje poglądy w kwestii żydowskiej nieco się zmieniły.

- Tak?

- Właśnie tak. Najgorsze, że w sprawie Rittera, o której tak nieostroźnie i stanowczo wypowiedziałem się w liście do Marii, zmieniłem stanowisko. Przynajmniej częściowo. Nie uważam już, że był to mord, za którym stał jakiś zbrodniczy żydowski zabobon. Nie uważam już za pewne, że odpowiada za niego Ritter. Ba, chętnie bym go ocalił, gdybym tylko wiedział jak. Niech pan zerknie na to...

Kamil wręczył Ochorowiczowi kopię dokumentu o handlarzach organami, który przekazał mu „Urzędas”. Podzielił się też uzyskaną od Ponara wiedzą o magicznych rytuałach wymagających dziecięcych szczątków.

- Hmm... Czytałem kiedyś o takich przypadkach z wieku osiemnastego, zdaje się z Niemiec, nie pamiętam nazwy miasteczka - Ochorowicz oderwał wzrok od kartki i zmarszczył brwi. - Herszt jakiejś bandy zaszlachtował z dziesięć kobiet, żeby zdobyć takie świece. Na każdego domownika miał przypadać jeden zapalony palec. Ale podczas napadu zdradził zbrodniarza jeden z członków bandy, gasząc dziecięcą dłoń w słodkim mleku. To obudziło mieszkańców i doprowadziło do schwytania przestępców.

- Jak zwykle jest pan chodzącą encyklopedią...

- Co tam ja! Mój młody kuzyn Julian, ten to ma głowę! Pracuje w Paryżu nad przekazywaniem obrazów i dźwięków na odległość. Ja niestety mam dar głównie do zapamiętywania okropieństw.

- A jak pan wyjaśni kwestię golema, który mnie zaatakował? O tym nic pan nie rzekł. A przecież to także zakrawa na magię! Z czym mamy tu do czynienia? - nalegał Kamil i wręczył Ochorowiczowi złamane ostrze, przez które napad nabrał nowego, przerażającego wymiaru.

- Nie jestem jasnowidzem, nie zgadnę - odparł chłodno Ochorowicz. Wyraźnie zirytował się niecierpliwym tonem swego młodego gościa. Ten na szczęście szybko się zorientował w swym nieeleganckim zachowaniu. Dla rozładowania napięcia otworzył kopertę swojego zegarka i zaprosił gospodarza, żeby zerknął do środka. - Wybacz pan, ale... mówiliśmy o damie, której nawet nie zaprezentowałem. To właśnie moja Maria - powiedział, pokazując umieszczony po wewnętrznej stronie wieczka mały portret.

Ochorowicz spojrział z zainteresowaniem... i zbladł. Zapadł się w fotelu, jakby cały zwiotczał, jakby trafił go jakiś cios.

- Co się stało? - zaniepokoił się Kamil.

- Nie, nic takiego. To tylko moje stare serce... - odrzekł słabo Ochorowicz.

- Na pewno?

Ochorowicz milczał, a Kamil zaczął się niepokoić. O co mogło chodzić? - Może chce mi pan coś powiedzieć, tylko się waha? - spytał.

Gospodarz ciężko wciągnął powietrze. - Pamięta pan opisane przez ojca wydarzenia na PereLachaise? Ta opowieść jest niepełna. Mówiąc krótko, była tam z nami kobieta. Twój ojciec wolał o tym nie wspominać. Była chłopczycą, jak George Sand. Była skandalem. Wspomnieniem, które musiał wymazać. Opisał to, co się stało, całkiem ją pomijając. Jakby tworzył swoje życie na nowo.

Otóż całą tę historię z PereLachaise należałoby opowiedzieć od początku. To ona, a miała na imię Jeanne, była pomysłodawczynią wieczornej wyprawy na cmentarz. To ona

opowiedziała nam o legendzie otaczającej hrabinę StroganowDemidow. To także ona najdłużej pozostała czujna i usłyszała podejrzaną szmery dochodzące spomiędzy grobów. Była taka żądna wrażeń. Bardzo przypadła nam do gustu. Wyglądaliśmy razem jak trójka młodych kompanów włóczących się w poszukiwaniu rozrywki, rozglądających się za pięknem i grozą Paryża.

Kiedy usłyszeliśmy na cmentarzu dziwne hałasy, to istotnie bez zwłoki pobiegliśmy w ich kierunku. Jednak gdy zobaczyliśmy tego przerażającego człeka lubującego się w trupach, struchleliśmy ze strachu. Po raz pierwszy Jeanne też straciła rezon. Całkiem uszła z niej odwaga. Twój ojciec z miejsca to wyczuł, więc kiedy ja rzuciłem się w pogoń za degeneratem, on został z przerażoną dziewczyną.

Dlaczego o tym nie pisał, czemu zmienił historię? Pewnie chciał opublikować swe pamiętniki, a takiego skandalizującego szczegółu rodzina nie puściłaby mu płazem. Cóż, co innego opis ohydneho cmentarnego gwałtu zadanego zwłokom jakiejś biedaczki, a co innego złamanie dobrych obyczajów wewnątrz własnej kasty. Nawet wtedy, dla nas, sytuacja była krępująca. Wieść o przestępstwie na cmentarzu musiała się roznieść. Mogliśmy wziąć nogi za pas, ale na to było już za późno. Ja goniłem owego łotra. Napoleon chciał ochronić Jeanne przed niebywałym skandalem. Gdyby się wydało, że dwóch mężczyzn w towarzystwie dobrze urodzonej kobiety spędzało noc na cmentarzu - i tak dalej, dałoby to pole do niezliczonych chorych domysłów. Twój ojciec więc czym prędzej wyprowadził Jeanne na ulicę, zatrzymał dorożkę i odesłał dziewczynę do domu. Potem wrócił na cmentarz i wymyślił bajeczkę, jak to potknął się, czy też został zaatakowany przez upiorną siłę przy grobowcu hrabiny. A jako że każda historia żyje swoim własnym życiem, ta opowieść okazała się na tyle ciekawa, iż zainteresował się nią sam Demidow. Zaprosił nas obu do siebie do Florencji, jak opisał twój rodzic. Oczywiście chcieliśmy skorzystać z takiej okazji, to był nie byle kto. Owszem, był trochę wariatem. Sądził na przykład, że twojego ojca faktycznie mógł pokąsać upiór z mauzoleum jego matki. Demidow czekał tylko, kiedy jakaś choroba zacznie wysysać życie z twojego rodzica, tak że zacznie pluć krwią. Może jedynie dlatego zależało mu na naszej wizycie? Nie wiem. Tak czy inaczej, Jeanne zaczęła nas zniechęcać do wyjazdu. Przecież byliśmy trójką nierozłącznych przyjaciół! Mieliśmy bawić się razem. Ona nie mogła jechać z nami do Demidowa, a nam ani nie chciało się, ani nie wypadało mu odmawiać. Uważaliśmy, że Jeanne nam wybaczy tę drobną próżność. Ale ona odparła, że jeśli pojedziemy we dwójkę, to będzie dla niej jasne, o co chodzi. Że coś nas łączy.

- Jak to? - zdębiał Kamil.

- Młody człowieku, żyjesz wystarczająco długo na tym świecie, żeby się domyślić.

Zarzuciła nam uranizm.

W normalnych okolicznościach Kamil chętnie podrażyłyby temat pociągu do osób tej samej płci, bo słyszał o takich przypadkach, ale tym razem zmilczał. Zbyt wiele się działo, zbyt wiele faktów musiał naraz przyswoić i oswoić.

- Tak to już bywa z młodymi ludźmi. Są tak zapalczywi, że w porywie uczuć potrafią ranić nawet tych, których cenią - kontynuował Ochorowicz. - Efekt był więc taki, że postanowiliśmy się rozdzielić. Ja zostałem w Paryżu, a twój ojciec pojechał do Demidowa. Na to Jeanne oświadczyła, że nie chce nas znać. Czy dlatego, że tę decyzję podjęliśmy sami? A może szaleńczo kochała twojego ojca? Nie wiem. Kobiety są bardzo skomplikowane.

- Czy to była aż tak poważna sprawa, żeby ją pominąć w pamiętnikach? Taka błahostka z przeszłości?

- Tak ci się tylko wydaje. Wyobraź sobie, jak zareagowałyby na taką historię bardzo konserwatywna w poglądach rodzina twojej matki. Na przykład jej sławetna siostra. To ona, o ile mi wiadomo, trzyma w garści wszystkie wasze interesa.

- Rozumiem i nie rozumiem. Co to wszystko ma wspólnego ze zdjęciem mojej Marysi? - Kamilowi znów zakręciło się w głowie, choć już nie od wina.

- Nic, poza tym, że podobne są z Jeanne jak dwie krople wody! - odparł Ernest.

Kamil zaniemówił. Przecież to był nieprawdopodobny, wręcz śmieszny zbieg okoliczności. Czy Ochorowiczowi coś się w głowie pomieszało? A może przeciwnie? Czyżby wchodziły w grę jakieś rodzinne koneksje między Polką Marią Kucharą a Francuzką Jeanne?

- Cóż, może kiedyś nauka dowiedzie, że ojców i synów zwykle urzekają podobne kobiety? Nie będzie to łatwe. Wszak często poślubiamy nie te kobiety, które nas do głębi poruszają, a całkiem inne: kierując się zwykłą przyjaźnią, dybiąc na dobrą partię, licząc na bogate i wygodne życie. Taak, ciekawe byłyby takie badania - wydawało się, że Ochorowicza na chwilę pochłonął świat naukowych rozważań, jakby miał już w głowie pomysł, jak przeprowadzić takie niespotykane dotąd eksperymenty.

- Niech pan się nie obrazi, ale ja pozostanę przy własnych rozmyślaniach. Jak odzyskać Marię, rozwiązać sprawę Ritterów i odkryć, o co chodziło „golemowi” - mruknął Kamil.

- Kto wie, może wszystkie te sprawy łączą się ze sobą? Może jest w tym jakaś ukryta logika? - Ochorowicz wrócił do rzeczywistości i uśmiechnął się lekko. - Z mojej strony może pan liczyć na zaufanie i pomoc - zapewnił i wziął do ręki złamaną głównię szpady. Przez parę minut uważnie oglądał ją przez lupę i powiedział na koniec: - Pomyślę o tym dziś w nocy. Niech pan już idzie spać, młody człowieku. Czuję, że jutro znów będzie pana czekało sporo

wrażen.

Kamil przenocował w pokoju gościnnym. Pomimo zdenerwowania, jakie towarzyszyło mu przez cały dzień, zasnął niemal od razu. Wyczerpany organizm i udręczony mózg domagały się odpoczynku.

Ale światło w gabinecie Ochorowicza jeszcze długo nie gasło.

Rankiem, kiedy Kamil się przebudził, Ernesta już nie było. Zostawił tylko liścik, w którym prosił, aby gość zaczekał na niego do południa, o ile nie ma żadnych istotnych zobowiązań. Oczywiście służąca miała już przygotowane dla Kamila smaczkowe śniadanie, które pochłonął z apetytem. Potem zasiadł w fotelu nad kartką papieru i wyszczególnił wszystkie dziwne wydarzenia, jakie ostatnio mu się przydarzyły. Próbował znaleźć między nimi jakiś związek. Klucz, dzięki któremu je zrozumie i wreszcie nad nimi zapanuje.

Punktualnie w południe, niczym hejnał mariacki, pojawił się Ochorowicz. Rozpierała go jakaś nowa energia, oczy błyszczały. Najwyraźniej coś mu się udało. - Witaj, przyjacielu. Cieszę się, że zaczekałeś. Jesteś gotowy na małą przygodę, mam nadzieję? - zagadnął.

- Chyba tak - odparł nieco zaskoczony Kamil, nie wiedząc, czego się spodziewać po takiej propozycji.

- A zatem ruszajmy - Ochorowicz podszedł do szerokiej i masywnej szafy, pamiętającej pewnie jeszcze poprzedni wiek, i wyjął ze środka ciemną, lekką pelerynę. - Załóż to, proszę - powiedział.

- Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że mój płaszcz jest cieplejszy i lepszy na obecną pogodę - zauważył Kamil. - Czy jest jakiś specjalny powód...?

- Owszem - przerwał stary. - Peleryna ma kaptur, pod którym będziesz musiał się skryć.

To wystarczyło Kamilowi. Chyba faktycznie szykowało się przygoda. Co takiego planował Ochorowicz? Do czego zmierzał? Gdzie się wybierali?

Poganiani przez Ernesta, co kilka minut zerkającego na zegarek, wyszli z kamienicy. Na ulicy ruch był niewielki. Szybko złapali dorożkę. Ochorowicz poprawił Kamilowi kaptur, uparcie zsuwający mu się z głowy. Przy okazji zamyślił się nad tym, dlaczego ludzkie czaszki mają tak różne kształty i wielkości. Nie wierzył wprawdzie, żeby można było po tym poznać na przykład przestępcę, jak twierdzili niektórzy, ale... Przecież to musiało coś oznaczać, od czegoś zależeć i na coś się przekładać.

- Dowiem się wreszcie, dokąd jedziemy? - spytał bardziej z uśmiechem, niż z pretensją Kamil. - To jakaś tajemnica?

- Nie, ale lepiej, żebyś sam zobaczył to miejsce, niż żebym ja miał je opisywać.

Po paru minutach jazdy zatrzymali się w miejscu, które nie wyglądało na zbyt bezpieczne. Kamil popatrzył przez okno powozu na obdrapane budynki. Tak, te rejony musiała otaczać zła sława.

- Wsiadamy - zakomenderował Ochorowicz. Zapłacił fiakrowi, a potem jeszcze raz upewnił się, że twarz Kamila jest dobrze ukryta.

- Dokąd dokładnie idziemy? - spytał Kord.

- Do zaułka morderców - odparł stary.

Określenie zabrzmiało przesadnie, ale bez wątpienia spelunka, do której się zbliżali, mogła wywołać dreszcz niepokoju. Był to jeden z tych lokali, który wydawał się czynny w świętek, piątek i niedzielę, serwował to samo, czyli gorzałkę, przez całą dobę i przyciągał tę samą, stałą klientelę. Niebezpieczną albo przynajmniej szemraną, żyjącą na marginesie cywilizowanego społeczeństwa.

Nim Kamil wszedł z Ernestem do środka, ten ostrzegł: - Tak samo tu nieciekawie, jak na rogu Senackiej i Kanonicznej. Nie rozglądaj się po wejściu. Idź za mną zdecydowanym krokiem, jakbyś już tu bywał i wiedział, czego chcesz.

- Ale przecież nie wiem - szepnął Kamil.

- I właśnie na tym to polega. Nie przyglądaj się, nie wyglądaj na zagubionego, a unikniesz kłopotów - odparł Ochorowicz i po chwili się poprawił: - To znaczy obaj unikniemy.

Po czym weszli do nory ciemnej, zimnej i ogrzewanej chyba tylko ludzkimi oddechami. Ale że ludzi tu nie brakowało, to dawało się wytrzymać. Ochorowicz ostrożnie, niemal niezauważalnie, wymienił spojrzenia z szynkarzem. Idąc za jego wzrokiem, skierował kroki w zagracony kąt gospody, może nawet nie naj mroczniejszy, ale dobrze schowany. Obok masywnego stołu rozkraczyły się tam zepsute stare meble. Na nich leżały jakieś miski i inne zardzewiałe żelastwo. Nad stołem wisiał obrazek ze świętym, którego nie sposób było rozpoznać spod grubej warstwy kurzu i brudu. Jediną pewną rzeczą wydawała się aureola, unosząca się nad jego głową.

Teraz Kamil już wiedział, dlaczego Ernest ubrał się w jakieś znoszone ubrania. Także peleryna, którą dał Kordowi, wydawała się dobrym pomysłem. Dzięki temu Kamil nie zwracał uwagi elegancją. W końcu mieli się nie wyróżniać. Pytanie tylko, czy kaptur Kamila sam w sobie nie budził podejrzeń? Ale Ernest uznał to za lepsze rozwiązanie, niż wejście z odsłoniętą twarzą. Dlaczego? Tajemnica niebawem się wyjaśniła, gdy Ochorowicz pewnym krokiem podszedł do mężczyzny w zagraconym kącie, dyskretnie wskazanym przez szynkarza.

Już widząc barki i masywny kark, można było się domyślać, że to ktoś potężnie zbudowany. Ernest delikatnie chwycił Kamila za łokieć, jakby bał się, że ten w ostatniej chwili zrejteruje. Póki co, Kord jeszcze się nie domyślał prawdziwego powodu tego gestu. Dopiero stanąwszy przy wskazanym stole, zrozumiał, o co chodzi.

Widział już wcześniej siedzącego tam mężczyznę! Znał tę zwałistą sylwetkę. To nibycząłowiek, który nie czuł bólu. „Golem”, przez którego Kamil najadł się tyle strachu!

Siedzący spojrzał spode łba na dwójkę intruzów. Kamil był pewien, że zaraz stanie się coś strasznego, gdy Ernest zapytał pewnym głosem: - Ile?

- Nie znam was. Spływajcie - odparł golem. Był równie małomówny, jak przy poprzednim spotkaniu z Kamilem.

- Ależ się znamy. Z sądu. Tyle że byłem młodszy, a ty jeszcze miałeś grabę.

Kamil wybałuszył oczy. Ten człowiek zamiast jednej z rąk miał protezę! To by tłumaczyło...

- A tego młodzieńca w kapturze też znasz - kontynuował Ochorowicz. Na moment zsunął Kamilowi kaptur: - Ktoś ci zapłacił, żebyś dał mu wycisk.

- Zamówione, wykonane - krzywo uśmiechnął się golem i pociągnął z kubka łyk mętneho napoju.

- Dobrze się składa, że poprzednie zadanie już wypełniłeś. Teraz możesz popracować dla nas. No więc ile? - ciągnął Ernest.

- Za co?

- Za informację.

- Jaką?

- Kto zlecił ci napad na tego młodego człowieka. Golem już się nie uśmiechał. Zrobił zniecierpliwioną minę i z głośnym jęknięciem ławy wstał od stołu, gdy Ochorowicz błysnął wyjętym spod płaszcza pękniętym ostrzem z laski. - Wolisz, żebyśmy poszli z tym gdzie indziej? Ile lat już przesiedziałeś w celi? Marzy ci się kolejna odsiadka? Mogę ci ją zagwarantować.

Olbrzym wzruszył ramionami. - Schowam się na jakiś czas. Nikt mnie nie znajdzie.

- Warto? Po co? Chcemy tylko tę jedną informację i damy ci spokój. Czyżbyś bał się swojego zleceniodawcy?

Nieoczekiwanie golem zachichotał cieniutko jak panienka. Całym ciężkim cielskiem opadł z powrotem na ławę. - Ja? Spasionej baby z kociskiem? - zagulgotał.

Kamil aż się wzdrygnął.

- Powiedz coś więcej - nalegał tymczasem Ernest. - Jak do tego doszło? Przecież nie

zaczepiła cię na ulicy.

- Ona nie, ale gość, co kiedyś poznał mnie w podobnych okolicznościach jak ty.

- Pracował w sądzie? A może był żandarmem?

Golem przytaknął skinieniem głowy i ciągnął: - Zapytał, czy nie szukam fuchy. Bezpiecznej i popłatnej. Zgodziłem się. Wiedział, jak jest. Mogłem mu ufać. Wskazał mi powóz stojący w zaułku. Wewnątrz czekał zleceniodawca. Nie wpuścił mnie do wewnątrz. Mówił, a właściwie mówiła, bo to kobieta była, przez okno.

- Skąd wiesz, że to korpulentna dama z kotem? - wtrącił skupiony Kord.

- Była w woalu, ale przecież nie jestem ślepy. A kot skakał wewnątrz powozu. Miał taką śmieszłą opaskę na szyi. To tyle.

- I co dalej? Co mówiła ta kobieta? - dopytywał się Ochorowicz.

- Mówiła, żebym zaczekał przed takim dużym domem z rzeźbionym latającym koniem.

Dla Korda każde jego słowo było jak cios, ale cierpliwie słuchał dalej.

- Opisała mi tegoż młodego fa... to znaczy panicza. Powiedziała, że mam stać pod wskazaną kamienicą i czekać, aż on wyjdzie. Wtedy mam spojrzeć w okno. Jeśli pojawi się w nim kobieta ze świecą, to mam pójść za paniczem i pogonić mu kota.

- Miałeś go pobić? Zabić?!

- Nie, miał się tylko zląknąć. Dużo o tym mówiła. Nic więcej nie mogło mu się stać, bo inaczej sam miałbym kłopoty.

- Nie tylko miałeś mnie nastraszyć, ale i coś powiedzieć, prawda? - szepnął Kamil.

- Tak. Żebyś zostawił jakąś tam Żydówkę.

- Jaką? Jak się nazywała?

- Kuchaja.

- Że jak? - zdziwił się Ochorowicz.

- Nie Chaja? - zdziwił się Kord.

- Nie, do cholejy. Kuchaja.

Golem nie wymawiał litery „r”! I wszystko stało się jasne. Czegoś takiego dama z kotem nie przewidziała. A oni z początku nawet nie zauważyli, bo mężczyzna tej trudnej litery jakoś rzadko używał. Chyba że musiał. „Założ pan czapkę, bo się przeziębisz. I zostaw, panKU, CHARE, tę swoją Żydówkę, w spokoju. Bo inaczej ona też się poważnie przeziębi” - KUCHARRE, to właśnie chciał powiedzieć olbrzym. Nie było mowy o Chaji Ritter!

Ochorowicz odezwał się do Kamila dopiero, gdy wyszli ze spelunki na ulicę. - Rozumiem po twoim zachowaniu, że dobrze znasz kobietę, która wynajęła naszego

rozmówcę.

- Owszem.

- Jesteś pewny?

- Moje podejrzenia graniczą z pewnością. Chodzi o moją ciotkę.

Ernest głęboko nabrał powietrza. - Dlaczego to zrobiła? - spytał.

- Tego jeszcze nie wiem. Ale póki co, czy mógłby pan wyjawić, jak wpadł na trop tego człeka ze sztuczną ręką?

- Wbrew pozorom, nie było to trudne - uśmiechnął się Ochorowicz z wyraźną dumą. - Najpierw zbadałem złamane ostrze. Krwi faktycznie na nim nie stwierdziłem, ale odkryłem drobiny drewna innego rodzaju, niż to, z którego wykonano laskę. A jako że od początku nie wierzyłem w „glinianego człowieka”, w jakiegoś golema, czy jak go tam zwa, więc wniosek był jeden. Ugodziłeś zwykłego człowieka w protezę ręki. Na tyle solidną, że twoja szpada się złamała. Następnym moim krokiem było wyszukanie w Krakowie, bo i gdzieżby indziej, jakiegoś łotryka potężnej postury z amputowaną ręką, w miejsce której nosił protezę. Tych informacji dostarczył mi znajomy z dawnych lat, gdy jeszcze pomagałem w sądzie jako rzeczoznawca. Jest on współwłaścicielem przybytku, który odwiedziliśmy. Et voila!

- Istotnie, to wydaje się logiczne i proste, gdy pan o tym opowiada. Nie wiem, czy ja równie łatwo poradzę sobie z sytuacją, w której się znalazłem.

- To znaczy?

- Nie wiem, czy natychmiast porozmawiać z ciotką, czy ją śledzić i sprawdzić, co knuje. A jest jeszcze sprawa Ritterów. Sądziłem, że atak „golema” miał z nimi jakiś związek i wyciągnąłem z tego wnioski. Okazuje się, że nie. Jestem jak kurek na dachu. Skąd powieje wiatr, tam mną miota. Skąd ciotka wiedziała, że Maria pochodzi z żydowskiej rodziny? Przecież się z tym nie obnosiła. Wyjawiała mi to dopiero w ostatnim liście. A to było już po ataku „golema”.

- Czyżby? - Ochorowicz spojrział na niego, unosząc brew.

- Racja! - olśniło Kamila. - Przeczytałem go po napadzie, ale przyszedł wcześniej. To jednak by znaczyło, że ciotka zagląda do mojej korespondencji.

- Ot, jeszcze jeden grzeszek starszej pani. Ale jest również inna możliwość. Przecież szanowna ciotka zna imię i nazwisko pańskiej wybranki. Ma też znajomości. Nawet jeśli familia Marii trzyma swoje korzenie w pewnej tajemnicy, to z pewnością pamięta o nich wielu „życzliwych”. Znajomi znajomych i przyjaciele przyjaciół pańskiej ciotki. Od nich mogła się wszystkiego dowiedzieć. To najprostsza droga. Wszak wyższe sfery kochają plotki.

- Ale przecież ten list od Marii jest w istocie pożegnaniem! Powinien uspokoić ciotkę,

że z mojego związku nici! - wzburzył się Kamil. - To jakiś absurd.

- Wcale nie - odparł Ochorowicz. - Otóż ciotka śledziła zapewne twoje zachowanie po tym, jak przekazała ci list. Była pewna, że przeczytasz go natychmiast. I jakiego cię zobaczyła w następnych dniach? Wcale nie kipiałeś ze złości na Żydów i na Marię. Wręcz przeciwnie!

- Tak, ciotka kocha kontrolować mnie, obserwować i oceniać. Może faktycznie słyszała plotki, a list je tylko potwierdził? Była już wtedy gotowa do działania.

- Zastanawiam się tylko, Kamilu, co chciała osiągnąć? Ciotka nie wiedziała, że weźmiesz napastnika za jakiegoś golema i skojarzysz ze sprawą Ritterów. Stało się tak przez przypadek: przez zbyt późno przeczytany list od Marii, przez twoje skupienie się na sprawach procesowych i przez, to wprost nie do wiary!, wadę wymowy napastnika. Tymczasem, zgodnie z planem ciotki, bandzior miał cię zaatakować na ulicy i powiedzieć, żebyś zapomniał o Marii, jeśli nie chcesz jej zguby. A ty, na dodatek przybity odstręczającą tajemnicą ukochanej, miałeś tak się zrazić, żeby go posłuchać. Czy aby na pewno tak byś nie zrobił?

- Gdybym przeczytał list wcześniej i gdyby wszystko poszło zgodnie z planem ciotki, skojarzylibym atak z pogrózkami, jakie dostała Maria.

- Czyli?

- Czyli zacząłbym podejrzewać, że to jakieś działające w Rosji zakulisowe siły zapuszczają macki i do nas. Tym razem, żeby na mnie wpłynąć z jakichś ważnych powodów.

- Wystraszyłbyś się, że Maria ma potężnych wrogów, którzy bardzo jej zaszkodzą, jeśli będziesz dalej wtrącał się w jej życie. Tylko czy to skłoniłoby cię do porzucenia starań o jej rękę?

- Nie zniechęciłoby mnie to. Nie jestem tchórzem! Co sobie ciotka myślała?!

- Cóż, słabo zna siłę męskich uczuć. A jeszcze gorsza jest w konstruowaniu intryg. Zresztą może nie wszystko jeszcze wiemy? Musisz z nią porozmawiać. Jedyne tak wyjaśnisz prawdę.

- Jeszcze kilkadziesiąt godzin temu chciałem tylko prawdy w aferze Ritterów. Tymczasem teraz muszę przeprowadzić śledztwo we własnej sprawie, w swojej rodzinie - westchnął Kamil.

Czekała go rozmowa z ciotką. Ale jak się do niej zabrać? Czy to powinno być spotkanie w cztery oczy? Czy byłoby bezpieczne? Ech, jakoś nie wyobrażał sobie ciotki w roli harpii, która zadusi go gołymi rękami na wieść, że odkrył jej intrygę! Podsumował więc pierwszą nurtującą go kwestię, że z ciotką do rękoczynów nie dojdzie, a tym bardziej dla

niego niebezpiecznych. Co najwyżej ciotka obje go parasolką.

Uśmiechnął się, choć wcale nie było mu do śmiechu.

Kolejny problem stanowiło, czy ciotka w cztery oczy powie prawdę, czy będzie kłamać. Może na przykład obecność Huberta sprawiłaby, że nie odważy się łączyć? A może wręcz przeciwnie, zawstydzi się przy synu i będzie wszystkiemu zaprzeczać? Znając ją, Kamil doszedł do wniosku, że przy Hubercie ciężiej przyjdzie jej przyznać się do błędu, głupoty, podłości, czy jak to nazwać. Takie sprawy omawia się chyba w rodzinie w cztery oczy. Po cóż Kamil miałby wciągać w to swego ciotecznego brata?

Ale co jeśli Hubert też miał swą rolę w tej intrydze? Kamil zazgrzytał zębami. Mógł obserwować, co oboje robią, śledzić ich, a nawet listownie zapytać o radę matkę. Jednak to byłaby strata czasu! Nie dlatego, że był niecierpliwy, lecz dlatego, że ciotka mogłaby spróbować jakiejś kolejnej sztuczki, żeby odciągnąć go od Marii.

Musiał dać ciotce jasno do zrozumienia, że nie da sobą manipulować. Pewnie, tak jak sugerował Ochorowicz, uznała jego możliwy związek z osobą żydowskiego pochodzenia za mezalians i postanowiła temu przeciwdziałać. Zastraszyć Kamila, co w połączeniu z dramatycznym listem od Marii mogło oznaczać jedno: „Zostaw ją. Nie jest dla ciebie. Narobisz kłopotów sobie i jej. Znajdź sobie jakąś inną miłostkę. Łatwiejszą”. Ale on wcale nie chciał łatwiejszej. Nie był taki.

Ciotka, jak wszyscy w rodzinie, wcale go nie rozumiała i nie знаła. Chyba był ulepiony z jakiejś innej gliny. Pozbawiony żyłki do interesów, trochę bujający w obłokach, nieco zblazowany. Bez tej charakterystycznej energii rozpierającej resztę rodziny. Wszyscy dookoła powtarzali zawsze, że w okresie dojrzewania zabrakło mu ojca. Oczywiście. A zmarłego nie mogła zastąpić matka dzieląca czas między laudanum, premiery teatralne i lamentsy nad przemijaniem, którego zwiastunami były nowe zmarszczki i siwe włosy. Trudno od takiej osoby oczekiwać wsparcia w męskich sprawach.

A jego brat cioteczny, starszy brat Hubert? Tylko z pozoru dobrze się rozumieli. Kamil był kiedyś świadkiem pewnego wypadku. Mieli wiele pól naftowych, głównie małych działek, ale coraz to dokupywali i wykupywali nowe. Kiedyś nie miał wątpliwości, że to będzie ich własna Pensylwania. Gdy pierwszy raz zobaczył, jak to w praktyce wygląda i jakimi metodami działa jego braciszek, był wstrząśnięty. Ludzi, a właściwie człekopodobne istoty w lachmanach, wynajmowano za głodowe stawki. Nie troszczono się ani o ich zdrowie, ani bezpieczeństwo. Ale też po co, skoro i tak w „Golicji”, jak z przekąsem nazywano Galicję z powodu panującego w niej niedostatku, chętnych nie brakowało. Kamil ze zdziwieniem przypominał sobie teraz, jak wielu zatrudnionych stanowili mężczyźni żydowskiego

pochodzenia. Tak samo nieludzko powykręceni, wyniszczeni, wyeksploatowani, brudni i brzydzy, jak ci, którzy pracę zaczynali od znaku krzyża. Tak samo pogardzani i traktowani jak niewolnicy. Każdy opór i każde żądanie poprawy bytu prowadziło do zwolnienia z pracy. A chyba wszyscy musieli jakoś wyżywić swoje rodziny.

- To wszystko z czasem się zmieni. Okrzepnie. Będzie lepiej - zapewniał Hubert, gdy Kamil szczerze podzielił się z nim swymi wrażeniami. Przysiedli w knajpie, która wyrosła obok naftowych pól w okolicach Bobrki. Kamil pamiętał ten szynk jako namiastkę cywilizacji, będącą tak naprawdę jej karykaturą. Umorusane, ordynarne typy, prostytutki, żebracy. Tego tałatajstwa tam nie brakowało. - Będzie lepiej - podkreślał Hubert, a Kamil wciąż miał przed oczami zgiętych w pół młodych starców, taszczących kubły pełne ropy, i półnagie spocone sylwetki jak przykute do drewnianych kołowrotów, którymi wyciągano na sznurach wiadra z ich czarnym bogactwem.

- Już niedługo zaczniemy robić nowoczesne odwierty i stawiać szyby z prawdziwego zdarzenia, jak w Ameryce - wieszczęł Hubert. Ale kiedy tak się delektował, za oknem rozpoczął się dramat. Wskutek czyjejś nieostrożności bądź nieświadomości ich eksperymentalny nowy szyb stanął w płomieniach. Wzbił się gęsty dym. Wybuchła panika. Hubert i Kamil pobiegli na miejsce zdarzenia. To było okropne. Kord nie wierzył własnym oczom. W tym ogniu najwyraźniej ktoś się wił!

- O kurwie syny! - zawył Hubert. Kazał szybko odciągnąć Kamila na bok, a sam ruszył w stronę bladego z przerażenia brygadzysty. Więcej Kamil nie zobaczył. Został zamknięty w powozie, niczym jakieś dziecko, które należy chronić przed złem tego świata. Myślał naiwnie, że Hubert ukarał winnych zaproszenia ognia. Że tak krzyczał z powodu śmierci robotnika. Ale w drodze powrotnej Konicki wyliczał tylko, ile to będzie ich kosztować.

Zapytawszy o płonącego człowieka, Kamil usłyszał ze zdumieniem, że nic takiego nie miało miejsca. Dopiero po kilku miesiącach dowiedział się, że trupa ciśnięto do nieczynnego szybu. Zajął się tym tak zrugany przez Huberta brygadzysta.

Dzięki temu biedak nie stracił pracy. A Nafta Kord & Konicki miała kłopot i policję z głowy.

Z głowy miał też swoją c.k. Pensylwanię Kamil. Stracił całe zainteresowanie rodzinną firmą. Odwrócił się od niej. A Huberta zaczął obserwować z dystansu. Nie chciał już być taki jak on. Nie chciał kontynuować rodzinnego dzieła. Ale w wielu innych rzeczach tamten wciąż miał na niego wpływ. Kamil tak potrzebował autorytetu...

W oczach wielu ludzi wyglądał pewnie na szczęśliwca. Nie musiał ciężko pracować.

Mógł cieszyć się urokami życia, gdy tylko nadarzyła się okazja i przyszła mu ochota. Ale cały czas nosił ze sobą bagaż rodzinnych doświadczeń i oczekiwań. Nawet pamiętnik ojca wydawał się czasem balastem, a nie ostatnią nicią łączącą Kamila z rodzicem.

To wszystko było jak pęta, niepozwalające Kamilowi rozwinąć skrzydeł. Mógł dużo, ale czy mógł być, kim chce?

Postanowił spróbować.

Jednak ktoś bliski stanął mu na drodze. Teraz Kamil miał stanąć przed tą osobą, żądając wyjaśnień.

Ciotka siedziała w saloniku, pijąc popołudniową herbatę. Zerknęła na niego przelotnie, bez większego zainteresowania. Jakby chciała obojętnością skarcić go za zniknięcie ostatniej nocy. Może powie, że martwiła się, czy go kto znów nie napadł? Hipokrytka.

Kamil zatrzasnął drzwi do salonu. Głośno. Dobitnie. Znacząco. Ciotka z obruszoną miną odstawiła filiżankę z herbatą. Jak się miało okazać, kolejnego jej łyku już nie przełknęła. Zrobiła się gorzka od łez.

Przez całe życie Kamil słyszał dużo o odpowiedzialności. O tym, jak brakuje jej młodym i jak przychodzi z wiekiem. Mógłby sypać jak z rękawa przykładami przeczącymi tej tezie, a wziętymi z grona jego najbliższej rodziny. Żaden z dotychczasowych nie był jednak tak ewidentny, jak jego ciotki.

- Igrałaś z moim życiem - powiedział, gdy wreszcie przyznała, że postanowiła napędzić mu stracha. - Przecież nawet przypadkiem mogło mi się coś stać!

Oczywiście na początku starsza pani robiła wielkie oczy i twierdziła, że Kamilowi chyba to wszystko się przyśniło. Kiedy jednak dokładnie opisał okoliczności, w których wynajęła zbira, zbladła i zażądała soli trzeźwiących. Kamil podał je, choć czuł, że więcej było w jej zachowaniu aktorstwa, niż prawdziwego omdlenia.

Kiedy ciotka wróciła do siebie, Kamila drażyło tylko jedno oczywiste pytanie: „Dlaczego?”. Dziwne, ale nie wykluczał, że mógł istnieć jakiś powód. Że to, co wydawało mu się nieodpowiedzialnością, dla ciotki było jedynym wyjściem.

- Zawsze wypowiadałaś się o Marii z przekąsem - rzucił.

- Bo nie lubię farbowanej arystokracji - ciotce wrócił rezon. Najwyraźniej sole trzeźwiące pomogły. Jeszcze trochę, a zażąda od niego, by przyznał jej słusność!

- To znaczy?

- To znaczy, że jej ojciec kupił sobie pozycję, a matka była Żydówką. W ogóle co to za plebejskie nazwisko: Kuchara?! Przyznasz, że nie jest to najlepsze towarzystwo dla ciebie?

Staralam się dać ci to do zrozumienia delikatnie, ale byłeś zaślepiony.

- Więc postanowiłaś zastosować mocniejszy argument?! Poza tym nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek poruszyła sprawę żydowskiego pochodzenia Marii. Skąd w ogóle o tym wiesz? Od jak dawna?

- Od pewnego czasu. Nie miałam jednak pewności, dopóki nie potwierdzili tego znajomi z Rosji.

- Przyznaj, że przeczytałaś to w liście do mnie, który miałaś czelność otworzyć.

Ciotka spojrzała na niego uważnie, a potem, jakby próbując zyskać trochę czasu do namysłu, pochyliła się nad przechodzącym u jej stóp kocurem. Wzięła go na kolana i zaczęła drapać pod obrozą błyszczącą od sztucznych diamentów. - Przyznaję - powiedziała po chwili - że to ostatecznie utwierdziło mnie w podejrzeniach. Kiedy zauważyłam, że list najwyraźniej nie zrobił na tobie wrażenia, postanowiłam działać. Wiesz już jak. Byłam przygotowana. Skoro nie trafiały do ciebie argumenty racjonalne, trzeba było przekonać cię inaczej.

- I wtedy posłużyłaś się pomysłem rodem z powieści awanturkowej? Muszę cię rozczarować: zbyt się pospieszyłaś i zupełnie nie zrozumiałem sensu tego napadu.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie przeczytałem listu od Marii tak szybko, jak myślałaś. Zajrzałem do niego dopiero po dwóch dniach, już po napadzie. Wskutek przedziwnego zbiegu okoliczności podczas ataku bandziora zupełnie nie pojąłem, że chodzi o Marię.

- Przecież miał ci powiedzieć...

- I powiedział, ale niewyraźnie. Sądziłem, że nie chodzi o moją Marię, a o kogoś innego.

- Twoją Marię! - prychnęła ciotka. - Gdybyś wiedział...

- Co takiego?

- Ech! - machnęła ręką.

- Czuję, że to coś ważnego, ciociu - ostatnie słowo wypowiedział z ostentacyjną ironią. - Może istotnie jest coś jeszcze, co mogło odstręczyć cię od Marii? Oczywiście poza faktem, że jej matka była rodaczką Matki Boskiej.

Ciotka sapnęła ciężko, jakby miała dostać apopleksji.

- Może Maria za bardzo przypomina z wyglądu kobietę, w której zakochał się mój ojciec? - wypalił nagle Kamil.

Ciotce błysnęły oczy. - Skąd o tym wiesz? W istocie, to było niezłe ziółko. Całe szczęście przepadła bez wieści. Pewnie zginęła gdzieś przebrana za mężczyznę albo

wyjechała do Ameryki szukać przygód. Ach, boję się nawet pomyśleć, co by powiedziała twoja biedna matka, widząc tę Marię. Wyobrażasz to sobie? W chwili, w której byś przedstawił ją jako narzeczoną, matka wszystko by sobie przypomniała o tej dziewczusze sprzed lat. Ta stara fascynacja prześladowała twojego ojca do końca życia, jak jakiś upiór. Nawet na łożu śmierci, w objęciach twojej matki, w gorączce szeptał jej imię - ciotce pocięły po policzku łzy, może nawet prawdziwe.

- Jeanne. Miała na imię Jeanne - rzucił Kamil.

- Nawet nie wypowiadaj tego imienia.

Chwilę siedzieli w ciszy. Wreszcie Kamil przerwał milczenie. - Więc pochodzenie Marii i jej podobieństwo do jakiejś nieżyjącej już być może kobiety były dla ciebie wystarczającym argumentem, żeby za wszelką cenę przeszkodzić naszemu związkowi?

- Przecież ona cię nie chce! Sama napisała, że nie mogłaby żyć z człowiekiem o takich poglądach.

- No więc czego się obawiałś?

- Tego, że nie dasz za wygraną. Że zrobisz dla niej wszystko. Nawet zmienisz poglądy.

- Tylko krowa ich nie zmienia.

- Chłopcze, przecież ty szczerze nienawidzisz żydostwa. I miałbyś wśród tych insektów się obracać? Wystarczy, że twój ojciec już się od nich nacierpiał.

- O tym nie słyszałem - zainteresował się Kamil.

- Będziesz tego żałował, ale sam chciałeś. Pamiętasz, gdzie pierwszy raz zobaczyłeś Marię?

- Tak, na balu przemysłowców w Paryżu. Początkowo nie chciałem tam iść, ale matka się rozchorowała, więc musiałem.

- To był bal przyszłych naftowych potentatów z Europy.

- Wiem, że jej ojciec tym się zajmuje. Ma pola w miejscowości Baku, o której coraz głośniej.

- A pewnie. My też byśmy robili tam pieniądze, gdyby ojciec Marii i jego żydowskie towarzystwo nie wystawili nas do wiatru. Obiecali twojemu rodzicowi udziały na Kaukazie i nie dotrzykali słowa. To była dżentelmeńska umowa, którą złamali zaraz po jego śmierci.

- Aha, czyli do tego wszystkiego dochodzą jeszcze pieniądze... - stwierdził z przekąsem Kamil.

- Lekko o tym mówisz. A chodzi o fortunę. Cóż, nie ty musiałeś zginać karku, żeby nasza firma odniosła sukces.

- A ty zginałaś? - wściekł się Kamil. - Czy ktokolwiek z naszej rodziny zginał, czy raczej ci nędzarze, cali lepiący się od ropy? Ci, którzy w razie kłopotu lądują w sztolniach?! Wiem, jaka jest cena naszego bogactwa. Wiem i gardzę tym wszystkim. Żegnam szanowną ciotkę. I proszę więcej nie interesować się moimi sprawami osobistymi, bo jak mi Bóg miły, pożałujesz pani. styczeń 1883, Kraków

Mając już świadomość tego, co zaszło, Kamil postanowił poczynić kroki radykalne. Rozstrzygnąć dwie sprawy - Marii i Ritterów - które spędzały mu sen z powiek, wręcz odbierając całą radość życia.

Przed wszystkim postanowił rozmówić się z Marią. Przez myśl przemknęło mu, żeby po prostu wziąć dokumenty, wsiąść w pociąg i pojechać do Warszawy. Ryzykowałby jednak, że Marii z jakichś przyczyn nie zastanie, a taka zagraniczna podróż wcale nie należała do krótkich. Gdyby zakończyła się bezowocnie, chyba czułby się jeszcze bardziej pognębiony. Słanie depeszy w takich sprawach nie było w dobrym tonie. Jaka szkoda, że telefon, ten nowy wynalazek, tak bardzo był ograniczony w zasięgu i ilości aparatów! Pozostał mu więc list. Zajęłoby jednak trochę czasu, zanim doszedłby do Marii, a ta odpisała. O ile w ogóle by to zrobiła! Były też inne wady tego rozwiązania. Siła argumentacji listu nie jest tak skuteczna, jak rozmowa w cztery oczy. O ile człowiek wie, co mówić. O ile nie lęka się odsłonić. Czy Kamila było na to stać?

W jego młodej głowie zrodził się idealistyczny zgoła plan. Postanowił przekonać do siebie Marię i wykazać bezpodstawność jej oskarżeń poprzez zaangażowanie się w sprawę Ritterów. Czy to nie byłby najlepszy dowód, że jest człowiekiem prawym, szlachetnym?

Zaczął od kontaktu z aktualnym obrońcą Ritterów, ten jednak natychmiast go zbył. Odparł, że osoba Kamila Korda nie budzi jego zaufania w świetle antysemitycznych artykułów pojawiających się w gazecie należącej do jego rodziny. Trudno było mu się dziwić.

Kamil chciał poprosić o radę Ochorowicza. Ten jednak właśnie wyjechał w objazdową podróż po podkarpackich kościołach i klasztorach, w poszukiwaniu kolejnych - w jego mniemaniu - rzeźb mistrza Stwosza. Jego punktem wypadowym miał być dom znajomej rodziny w Brzozowie. Dostawszy od służącej Ochorowicza brzozowski adres, Kamil posłał mu list z prośbą o wszelkie sugestie: co konkretnego, jego zdaniem, mógłby zrobić w sprawie Ritterów? Może przychodzi mu do głowy coś, o czym śledczy zapomnieli?

Odpowiedź nie przychodziła. Czas dłużył się niemiłosiernie, a Kamil czuł się jak w pułapce. Po prawdzie, sam ją sobie skonstruował. Odzyskanie Marii przez rozwiązanie najwyraźniej nierozwiązywalnej sprawy było pomysłem chybionym. Czytał notatki z procesu od rana do nocy. Przeglądał własne zapiski z Lutczy. Coś podszeptywało mu do ucha, że

wciąż nie zrobił nic. A przecież miał nawet informacje o donosie, jaki trafił na policje w sprawie handlarzy płodami. Może to był właściwy trop?

Gdzieś w Krakowie był jakiś kryminalista i policyjny konfident. Od niego, jak po nitce, mógł dojść do kłębka, do przestępczej szajki. Czy mogła być zamieszana w mord na Mnichównie? Gdzieś na prowincji?

Ale przecież nie wiedział, kim mieliby być ludzie z domniemanej szajki i skąd pochodzić. Dlatego im Kamil dłużej myślał o tym wątku swego śledztwa, tym mniej wydawał mu się nieprawdopodobny. Na dodatek „Urzędas” nie znał nazwiska ani miejsca pobytu informatora. A pewnie nie byłby w stanie ustalić go tak szybko, jak paliła się głowa Kamila.

W końcu więc Kord nie wytrzymał. Odnalazł spelunkę, którą pokazał mu kiedyś Ochorowicz. Wszedł śmiało do środka. Skoro Ernest mógł, to czemu nie on? Podszedł do szynkarza i zaczepił go, pokazując ściskane w dłoni pieniądze. - Mam płód na sprzedaż, potrzebuję kontaktu - powiedział cicho.

Karczmarz bez słowa odepchnął jego rękę i wrócił do swych zajęć. Kamil zaczął zastanawiać się, kogo jeszcze mógłby zapytać, ale nagle stracił rezon. Zauważył, jak wiele śledzi go oczu. Coś musiał zrobić nie tak. Chyba popełnił błąd. Na pewno. Szybko wyszedł na zewnątrz.

Nie sam. Podążyło za nim kilka postaci, niczym cienie. Albo przynajmniej tak mu się wydawało. Przez kolejny miesiąc niemal nie wychodził z wynajętego pokoju, lękając się, że któryś z tych przerażających ludzi zacznie go śledzić.

luty 1883, Kraków

Wysłał bardzo krótki i równie nieszczerzy, co uspokajający list do matki do Paryża. Potem z ciężkim sercem wziął się za list do Marii. Czuł, że mimo ostrych słów w pożegnalnym liście, w istocie czekała na jakiś sygnał od niego. Pisanie szło mu nieskładnie, chaotycznie. Nic dziwnego, przelewał na papier swój rozedrgany stan ducha, którego nie trzymały już w korbach ramy konwenansu. Pisał jej, że słabo zna dusze innych, a tym bardziej kobiet, ale on sam zawsze starał się być człowiekiem godnym zaufania i przyzwoitym. Pisał, że miał szczęście poznać dawnego przyjaciela swego ojca i człowiek ten, dzięki wielkiemu sercu i mądrości, unaoczniał mu, jak kwestia żydowska jest manipulowaną. Kamil podkreślił, że żałuje swych pochopnych słów, i to nie tylko dlatego, że nie podobały się Marii. Zrewidował bowiem całkiem swój stosunek do sprawy Ritterów i chętnie by im pomógł, gdyby tylko wiedział jak. Adwokat odrzucił jednak jego propozycję, nie wierząc w czystość intencji. Kamil musiał to przyjąć do wiadomości, przecież na pistolety go za to nie wyzwie. Prosił jednak, by choć Maria uwierzyła, że myśli i pisze szczerze. Przez moment zastanawiał się, czy wyjawic jej intrygę, jakiej padł ofiarą.

Westchnął.

A potem wrócił do Paryża. Na długo. wrzesień 1885, Paryż

W dniu 28 września sąd w Krakowie wydał trzeci wyrok. Nie miał litości dla Żydów. Znowu.

Kamil przeczytał o tym we francuskiej gazecie. Przez ostatnie półtora roku próbował studiować na różnych kierunkach, od historii po medycynę. Nie miał do tych dziedzin talentu ani serca. Bardziej interesowały go niezwykle wynalazki i eksperymenty Juliana Ochorowicza, z którym zapoznał go Ernest w Paryżu, kiedy zawitał na miesiąc do Francji.

Ale w istocie Kamilowi wciąż chodziła po głowie sprawa Ritterów. Tylko że wraz z nią wracały też wspomnienia o Marii. Co z tego, że tę sprawę uważał już za przegraną. Nie odpisała na jego list. On też nie zrobił nic więcej. Szukał zapomnienia w ramionach tancerek. Szukał i nie znajdował...

A w sprawie Ritterów?

„Trzecia część Żydów wyemigruje, trzecia część się nawróci, a trzecia część zginie”, miał powiedzieć nowy doradca rosyjskiego cara. Ten, który rozpętał antysemityczne pogromy, by pozbyć się liberalnej myśli, rewolucjonistów i oczywiście ekonomicznej konkurencji. Tak usłyszał Kamil w Paryżu. Czy podobny scenariusz ktoś pisał także w Austro-Węgrzech? Czy

oskarżenia wobec Ritterów miały podpalić kraj? Kto je inspirował?

Kamil wciąż był po swojej stronie okna. Po stronie widza. Po stronie człowieka obserwującego śnieżycę. grudzień 1885, Paryż

To nie dziecko Kamila i Marii płakało za ścianą, gdy za oknem padał i topniał śnieg. Zima cofała się, ale nie z jego serca. Musiał coś zrobić. Zaczął tłuc głową o ścianę.

5-16 lutego 1886, Kraków

Przed paroma miesiącami sprawa Mnichówny była rozpatrywana po raz trzeci. I po raz trzeci cała trójka oskarżonych została skazana. Co będzie dalej? Zawisną? Jak zdecyduje Sąd Najwyższy w Wiedniu?

Opinię publiczną wciąż bulwersowała ta sprawa. Proces był jak płomień rozpalający antyżydowskie emocje. Z drugiej strony Kamil nadstawiał ucha, co o sprawie mówią Żydzi. A wśród nich plotki krążyły już niesamowite. Najwyraźniej im dłużej proces się ciągnął, tym bardziej wszyscy oddalali się od faktów. Słyszał więc za granicą, że oskarżony jest Icchok, nie Mojżesz. Że to rolnik! I to siedemdziesięcioletni, bardzo religijny, co prawdą nie było. Podobnie jak to, że Mnichówna była Ukrainką, a ciało jej znaleziono w stercie gnoju. Ech, szkoda gadać. „Tak to jest, gdy nie sposób dociec prawdy. W powietrzu zaczynają wtedy krążyć plotki i półprawdy, nibyfakty”, myślał Kamil.

Kiedy wrócił do Krakowa, zelektryzowała go wieść o pogorszeniu się stanu zdrowia Stochlińskiego. Zapadł na gruźlicę płucną. Kamil rozważał, czy nie spróbować znów spotkać się z oficerem śledczym Ponarem, bo ten mógł mieć do Stochlińskiego dostęp. Może ów wyjawiał coś nowego? Mógłby też zapytać śledczego o znikające w sprawie dowody. Sąd nie wspominał już o ubraniu, w którym znaleziono Mnichównę. Oficjalnie podano, że zniknął słój z kawałkiem zachowanej tkanki. Brakowało jeszcze, żeby zginęła czaszka ze śladami uderzeń.

Zastanawiał się, czy te zniknięcia są celowe, zamierzone? Czy ktoś próbuje manipulować procesem? Kiedyś zgłosiłby się do ks. Rohringa od Żyda talmudycznego. Ale Ernest chyba ostatecznie przekonał Kamila, że nie należy zbytnio mu ufać. Starzejący się ksiądz profesor poprzekręcał ustępy z Talmudu, źle je przetłumaczył i powychodziły mu cuda. Na przykład z przypowieści o kruku odgryzającym głowę wężowi wyszło mu zalecenie dla rabinów, aby obcinali głowy chrześcijanom. A raz popełniony błąd idzie w świat, jest powtarzany i przetwarzany. Nie tylko w przypadku Rohringa. Kiedyś narzekano na jezuitów, że chcą panować nad światem. Potem na wolnomularzy. Teraz przyjdzie czas na Żydów. Widziałem swego czasu książeczkę zatytułowaną „Biarritz” pewnego niemieckiego dziennikarza*. Opisywał w jednym z rozdziałów, jak na cmentarzu żydowskim w Pradze zbierają się rabini i knują, żeby wpłynąć na losy świata. Potem rozdział ten widziałem wydany oddzielnie, jako szczególnie interesujący. I takie opowieści rozprzestrzeniają się jak choroba. Nie dość, że są fantazjami, to jeszcze kolejne osoby czynią je w plotkach jeszcze

bardziej prymitywnymi, pisał ostatnio Ochorowicz. Dalej ustosunkował się też do pytania Kamila o prywatne śledztwo w sprawie Ritterów: Jak odkryć prawdę? Gdybym miał pod ręką swego krewnego Ochorowicza! Gdybym znał Hofmanna...!

* Sprawa antysemitycznych pamfletów: J. Tazbir, Protokoły mędrców Syjonu. Autentyk czy falsyfikat.

Potrzebowałibyśmy czegoś na miarę metody Bertillona*. Ale ona identyfikuje sprawców, porównując zostawione ślady i opisy świadków ze szczegółowymi danymi o wyglądzie i wymiarach przestępców z policyjnych kartotek. W naszym przypadku to oczywiście nie może mieć zastosowania. Lecz chodzi mi o ideę...

* Rozwój metod śledczych pod koniec XIX w.: J. Thorwald, Stulecie detektywów; J. Widacki, Stulecie krakowskich detektywów.

Gdybyśmy mieli kogoś na miarę Lombrosa i jego metody czytania z typów twarzy, co zaprezentował w Człowieku-zbrodniarzu (gdybym był jeszcze pewien bezwzględnej słuszności zastosowanej przez niego systematyki! Bo czy każdy człek brzydki i wyglądający na prymitywa lub pijaka musi być podejrzany? Ale też chodzi mi o ideę).

Na pewno słyszałeś o tym, że w chwili śmierci człowieka w źrenicy jego oka utrwalony zostaje ostatni obraz, jaki widział. Bywa, że obraz mordercy. Niestety, to również tylko przesąd. Jaka szkoda! Ile nierozwiązanych spraw by to załatwiło! Nawet jeśli nie mordu na Mnichównie... Ta idea odbitego obrazu - w oku, niczym, nie przymierzając, na chuście świętej Weroniki! - jest taka klarowna, pociągająca, niesamowita...

Pomyślę jeszcze i niezawodnie dam Ci znać, jeśli tylko coś sensownego przyjdzie mi do głowy. Teraz już kończę. Jutro wyjeżdżam dalej na południe. Jak wiesz, jestem przekonany, że Madonnie z Bliznego musiały na starym ołtarzu towarzyszyć jeszcze jakieś postaci. Może tworzyły scenę Zwiastowania? Wtedy Matce Boskiej towarzyszyć powinien archanioł Gabriel. Może jego figurkę przejął jakiś pobliski kościół pod tym wezwaniem? Trzeba szukać, pytać, sprawdzać. Nie ma innego wyjścia.

W trakcie podróży czytam sobie rozprawy naukowe i powieści zamówione w Paryżu i Londynie. Mam ich w kuferku sporą stertę, bo nie ma lepszej rozrywki nad słowo pisane, a trochę czasu jeszcze mi tu zejdzie na poszukiwaniach.

Niezawodnie będę jednak pamiętał o Twoich problemach i pytaniach. Możesz mi zaufać. Niech anioł, którego szukam, czuwa i nad Tobą.

Tak kończył się list, nadesłany dwa dni temu. A po nim, niezrozumiale szybko, przyszedł kolejny. Nagle, jakby coś się stało. A właściwie nie list, a paczka. W środku znajdowała się książka w języku angielskim. Life on the Mississippi. Autor Mark Twain.

Między stronicami znajdowała się karteczka od Ochorowicza. Liścik i tłumaczenie fragmentu powieści, na wypadek, gdyby angielski nie był mocną stroną Kamila.

Kord przeczytał liścik, a potem całą resztę.

Jeśli treść była prawdą... Jeśli udało się w Ameryce... To musi się udać i w środku Europy. Musi się udać. Kamil wiedział już, co robić. Przez myśl przemknęło mu tylko, jakim absurdem jest życie. Absurdem, kaskadą pomyłek i nieoczekiwanych szans, zbiorem przypadków. Literacki bohater, który przyniósł nadzieję Ritterom, nazywał się... Ritter!

17-21 lutego 1886, Strzyżów, Kraków

Najpierw Kamil znów udał się do „Urzędasa”. Odświeżył znajomość z tym dziwnym typem, który zdążył już wspiąć się nieco na drabinie urzędniczych rang w Krakowie, a także nabrał ogłady. Przede wszystkim Kord zapytał o interesujące go dowody rzeczowe w sprawie Ritterów. Okazało się, że ten ciekawiący go najbardziej nie jest brany przez sąd pod uwagę, a więc i należycie zabezpieczony. Gdzie zatem był? Zapewne w Strzyżowie, a może nawet i w samej Lutczy. Kto umożliwiłby Kamilowi do niego dostęp? Ktoś z funkcjonariuszy policji? Może znany mu oficer Ponar?

Kamil musiał pofatygować się tam, gdzie policjant mieszkał i pracował. Do Strzyżowa. Najpierw dotarł pociągiem do Rzeszowa. Tam wynajął kryte sanie, a zgłodniawszy kupił na drogę chleb i kiełbasę. Upewnił się też, że woźnica ma strzelbę na wypadek ataku wilków. Na szczęście tym razem zimowa podróż Kamila przebiegła bez zakłóceń. W drodze Kord kilkakrotnie przeczytał kluczowy fragment Życia na Missisipi. A potem nawet zaczął czytać całą książkę, choć dodatkowych wskazówek już w niej nie było. W przerwach rozmyślał, jak poprowadzić rozmowę z Ponarem, by przyniosła jakiś efekt, a nie zakończyła się awanturą

186 i zaprzepaszczaniem nawet tej nikłej szansy, jaką niósł pomysł rodem z Ameryki.

Po dotarciu do Strzyżowa był przemarznięty i zmęczony kilkugodzinną podróżą, ale zadowolony. A już niemal pełnię szczęścia poczuł, gdy zastał Ponara na posterunku. Jeszcze parę minut, a by się spóźnił, bo oficer właśnie kończył dyżur.

- Jak ja się cieszę, że pana widzę - wysapał Kord, otrzepując śnieg. - Pamięta mnie pan?

- Owszem - Ponar był zaskoczony, ale w mig poznał gościa, bo miał dobrą pamięć do twarzy. Nie tylko złoczyńców.

- To do pana jechałem!

- Naprawdę? - odparł Ponar zdziwionym tonem i zapytał po chwili: - Właśnie wychodzę. Gdzie się pan zatrzymał?

- Jeszcze nigdzie.

- To zapraszam do siebie. Znajdzie się trochę jedzenia i ciepły kąpiel.

Po drodze Ponar o nic nie pytał. Zasłaniali usta przed dującym wiatrem i śniegiem. Dopiero gdy stanęli pod domem policjanta, zwrócił się do Korda: - Czy sprowadza pana ta sprawa, o której i ja wciąż myślę?

- I tak, i nie - odparł Kamil. - Tak, bo chodzi zapewne panu o sprawę Ritterów. Nie, bo nawet pan się nie domyśla, o co chcę zapytać.

Weszli do domu. Kamil poczuł przyjemne ciepło bijące od kominka. Chata była skromna, ale zadbana. Znać tu było kobiecą dłoń, choć żadnej kobiety w środku nie zastali. A Kamil był zbyt zaferowany swoimi sprawami, by o to pytać. Ponar tymczasem pomyślał, że gdyby dzisiaj kochanka chciała spędzić u niego noc, nigdy by tego niechcianego gościa pod swój dach nie przyjął. Ale ona była u siebie. Dzięki temu Ponar mógł spełnić swój samarytański obowiązek. Nastawił herbatę i wyjął butelkę. - Kropla wódki nie zaszkodzi - zachęcił.

Kamil przełknął zawartość kieliszka, krzywiąc się. - Dobra, ale strasznie mocna. To chyba jakaś miejscowa receptura?

Ponar się zaśmiał. - My tu na wszystko mamy receptę - odparł dwuznacznie. - Więc co pana sprowadza?

- Słyszałem, że jest pan w posiadaniu pewnych rzeczy ze sprawy Mnichówny, o które sąd ostatnio się nie dopomina. Uważając je albo za niepotrzebne, albo też zniszczone.

Ponar zerknął na Kamila z uwagą. - Nie mam nic, co stanowiłoby dla sądu tajemnicę. Nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli przyjechał pan tu, żeby narobić mi kłopotów, to nie radzę. To może się źle skończyć.

- Grozi mi pan? - obruszył się Kamil.

- Nie. Po prostu wywalę pana za drzwi. Może na podwórzu znajdzie pan jakąś przytulną zaspę albo wilki się panem zaopiekują - uśmiechnął się złośliwie Ponar.

Kamil odplącił mu równie krzywym grymasem. - Wiem, że ma pan prawo mnie nie lubić. Ale mam prośbę. Niech pan przeczyta to - i położył przed nim książkę.

Ponar zerknął na okładkę. - To chyba po angielsku. Nie znam tego języka.

- Książka nazywa się Życie na Missisipi. Fragment, o który mi chodzi, jest przetłumaczony na polski. Znajdzie go pan na kartce między stronicami. Razem z liścikiem, na który też proszę zerknąć.

Ponar jakby zastanawiał się przez chwilę. Nim sięgnął po książkę, rozlał do kubków parującą herbatę. Potem otworzył powieść na założonych stronach.

- Dziękuję - Kamil skinął głową. Potem przez kwadrans milczał, a Ponar czytał. Jego nietknięta herbata stygła.

Po lekturze policjant zapalił fajkę. Zapowiadała się długa noc. Zerknął na Kamila. Ten młody człowiek miał chyba ciekawy pomysł.

- Ponoć stan zdrowia Stochlińskiego się pogarsza. Trzeba by się pospieszyć - rzucił

Kamil.

- Jeśli ma pan rację, to nawet martwy...

- Wiem. Ale jest szansa, że jeśli mamy rację, to przyprzemy go do muru i wyzna całą prawdę. Podkreślam: całą.

- To samo trzeba by zrobić z Ritterami.

- Owszem.

- Najpierw trzeba jednak sprawdzić, czy mamy na co złapać winowajcę.

- Czyli faktycznie ma pan dostęp do rzeczy, o których myślę?

- Tak. Mam je nawet tutaj - odparł Ponar, a Kamilowi serce zaczęło bić szybciej. Aż się zarumienił.

Ponar otworzył kufer stojący pod ścianą i wyciągnął z niego zawiniątko. Rozwinął je. Potem postawił na stole dodatkową lampę.

Po godzinie wiedzieli już, że ich trud nie poszedł na marne. Pozostało pytanie, czy sąd to uzna.

Dwa dni później Kamil wjeżdżał z powrotem na dworzec kolejowy w Krakowie. Był w świetnym humorze. Ponar okazał się człowiekiem bardziej życzliwym i rzeczowym, niż się Kord spodziewał. A wcześniej Kamil obawiał się, że będzie musiał iść z nim na noże. Że znów trzeba będzie wygrzebać sprawę Barbary Ubryk i rozdrapywać stare rany. Na szczęście okazało się nie być to potrzebne.

Dowodu w sprawie Mníchowy Ponar mu nie przekazał. Powiedział, że i tak wszystko odbywa się z naruszeniem regulaminu, a oddanie czegoś takiego w ręce osoby postronnej mogłoby się skończyć dla nich obu kryminałem. Ustalili więc, że Ponar sam przyjedzie w odpowiednim momencie z materiałem dowodowym. Czyli wtedy, kiedy Kamil zdoła już załatwić konfrontację z Ritterami i Stochlińskim. Pomóc w tym nie mogli adwokaci oskarżonych, bo nie leżało to w ich interesie. Przecież ten eksperyment sądowy mógł wskazać na winę któregoś z ich klientów! Na dodatek Kamil Kord nie był dla nich osobą wiarygodną. Pamiętali, co wypisywała jego gazeta.

Trzeba było spotkać się z Ritterami i Stochlińskim osobiście i w tajemnicy. Zatem Kamil znów postanowił skorzystać z usług jakże skutecznego „Urzędasa”. Postanowił, że zajrzy do niego po południu. Liczył, że i tym razem tamten będzie skłonny do współpracy. Dla niego nie było rzeczy niemożliwych, każda miała jednak swoją cenę.

Póki co, Kamil miał zamiar udać się z dworca kolejowego do hotelu i tam wreszcie porządnie się odświeżyć. Marzył o gorącej kąpieli. A potem wróci do swego śledztwa. Wierzył, że mu się uda. Czy miał nadzieję, że dzięki temu jakoś zrehabilituje się w oczach

Marii? Minęło tyle lat...

Westchnął ciężko. Co rusz sobie o niej przypominał. Wystarczył byle drobiazg. Teraz na przykład zamajaczyła przed nim kobieta o identycznej sylwetce, w typowym dla Marii ukwieconym kapeluszu i z taką samą błękitną parasolką, którą nosiła niezależnie od pory roku. Oczywiście nie dlatego, że nie byłoby jej stać na inną. Po prostu miała do niej jakiś niezrozumiały sentyment.

Kamil uśmiechnął się na wspomnienie ukochanej. Ale serce nagle podeszło mu do gardła, bo postać z naprzeciwka coraz bardziej przypominała mu Marię. Czyżby już całkiem zwariował? Nie, jeszcze parę kroków i nie było wątpliwości. To była Maria. Z krwi i kości. Najwyraźniej też go rozpoznała. Ich drogi się przecięły. I żadne z nich nie próbowało tego uniknąć.

- Właśnie wróciłem z Rzeszowa. A wcześniej z Paryża - wymamrotał skonsternowany Kamil zamiast powitania.

- A ja właśnie wracam z Krakowa do Królestwa. Słyszałam, że wreszcie pojawiłeś się w ojczystym kraju. Przyjechałam do ciebie, ale niestety cię nie zastałam - wyjaśniła sucho. Nie wspomniała, że był pewien serdeczny znajomy-nieznajomy, który informował ją o stanie ducha Kamila. Nie wspomniała, jak bardzo ją poruszyło, że Kamil wciąż chce coś robić dla niej i za jej przyczyną. I to nie zamierzając tym się przed nią chwalić.

- Ależ ja... jestem przecież - zająknął się Kamil. - Też kiedyś chciałem pojechać do ciebie, ale bałem się, że cię nie zastanę - zaczął się pospiesznie tłumaczyć.

- Kiedyś, mówisz.

- Skoro mnie szukałaś, to może...

- Chciałam ci tylko coś powiedzieć - przerwała.

- Przebyłaś taki szmat drogi dla paru zdań? Może jednak zostaniesz na dłużej? - nalegał Kamil.

- Chciałam tylko spojrzeć ci w oczy i coś powiedzieć. Nie przerywaj mi, proszę, bo nie jest to łatwe dla kobiety.

- Słucham - Kamil czuł się jak tchórz. Maria miała więcej cywilnej odwagi od niego. Zdobyła się na coś, na co on nie był w stanie przez trzy lata.

- Nie wiem, co czuję. I ty pewnie też, choć wydaje ci się, że wiesz - Maria przerwała na chwilę. - Minęło kilka lat, a ja wciąż o tobie myślę. Pomimo wszystko. Jeśli ty o mnie też, znów zacznijmy do siebie pisać.

- Od nowa.

- Tak. Od nowa. To wszystko - powiedziała Maria i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Nie musisz jechać - szepnął Kamil.

- Za chwilę mam pociąg - ręka Marii wciąż tkwiła zawieszona w powietrzu, wyczekująco. Pocałował ją. Potem młoda dama odwróciła się i odeszła. Kamil chciał jej powiedzieć, że wszystko, co teraz robi, robi ze względu na nią. Ale nie miał tyle śmiałości. Chciał móc myśleć, że Maria wprawdzie odchodzi, lecz z jej oczu tryskają fontanny łez. Ale wiedział, że nic nie wie. Niczego nie mógł być pewny. Po prostu.

Przyjechała do niego, poświęcając swój czas, poczucie dumy i konwenanse. Może jednak czas uleczył rany?

Nie w sprawie Ritterów. Dlatego Kamil zgodnie z planem odbył krótką rozmowę z „Urzędasem”. Powiedział mu, że musi się spotkać z Ritterami i Stochlińskim, i to najlepiej bez adwokatów. Urzędnik słuchał wyjątkowo uważnie. Ceny nie wymienił. Umówili się na spotkanie nazajutrz.

Na kolejnym spotkaniu „Urzędas” wyjawiał Kamilowi, że za dwa dni o świcie Ritterowie będą przewiezieni do więzienia Św. Michała. On zaś jest w stanie sprawić, że więźniarka na chwilę przystanie, a konwojenci wpuszczą Kamila do środka. Będzie miał parę minut. Potem zapomną o jego wizycie, a „Urzędas” się z nimi rozliczy. Słono to wszystko miało kosztować, ale Kamila było na to stać, więc się zgodził. Umówili się na kolejny dzień, kiedy urzędnik miał mu przekazać dokładną trasę przejazdu i wyjaśnić, jakim umówionym sygnałem zatrzymać więźniarkę.

Natychmiast po spotkaniu Kamil wysłał depezę do Ponara. Napisał mu, by jak najszybciej stawił się w Krakowie z wiadomymi rzeczami. A gdyby się Ponar pospieszył, to mógłby nawet zdążyć na spotkanie z Ritterami. Kamil nie do końca czuł się pewnie, mając załatwić wszystko samodzielnie. Nigdy nie brał udziału w takiej akcji. Nawet jeśli była to raczej transakcja, to mając u boku kogoś kompetentnego w kontaktach z więziennymi strażnikami czułby się bezpieczniej. Ale wstydził się to Ponarowi napisać.

23-24 lutego 1886, Kraków

Do umówionego spotkania zostało już tylko kilkanaście godzin, a odpowiedź od Ponara nie nadchodziła. Mimo nerwowego napięcia, Kord udawał, że jego życie będzie zwykłym torem. Wybrał się na spacer nad Wisłę, ostrzygł się (całkiem jak Hubert), kupił parę gazet.

Pod wieczór ktoś zapukał do drzwi jego hotelowego pokoju. Może to była wyczekiwana depesza?

Kamil otworzył i ku swemu zaskoczeniu i uldze zobaczył Ponara we własnej osobie. Uścisnęli sobie dłonie.

- To wszystko, co pan ze sobą wziął? - Kord wskazał na małą, skórzaną torbę policjanta.

- Ja zawsze jestem gotów do drogi.

- To chodźmy coś zjeść. Zbliża się pora kolacji, a śniadania przed akcją nie będzie. Nie zdążymy.

Ponar uśmiechnął się. To wielkopańskie, czy może mieszczańskie, co Korda pewnie by obraziło, przywiązanie do porządku dnia - ze wszystkimi tymi śniadaniami, obiadami i herbatkami - mierziło oficera i bawiło jednocześnie. W swojej pracy jadł, kiedy chciał, a raczej - kiedy mógł. Także elegancka restauracja, do której zabrał go Kamil, okazała się dla Ponara czymś nowym. Kord był tak zaaferowany czekającą ich akcją, że nawet nie zwrócił uwagi na niejaki kłopoty policjanta z wszystkimi tymi widelcami i widelczykami, łyżkami i łyżeczkami, nożami oraz całym zestawem kieliszków.

- Pójdzie pan ze mną? - spytał Ponara ponad talerzem z pieczenią.

- Pyta pan czy prosi? Mówię to bez złośliwości - Ponar spróbował wina. Chyba mu smakowało, bo po pierwszym łyku wychylił resztę kieliszka do dna.

- Wydaje mi się, że czułbym się pewniej, mając przy sobie kogoś doświadczonego - odparł powoli Kamil, w takim samym tempie, w jakim kroił kawałek mięsa.

- Więc co by było, gdybym tu nie przyjechał? - uśmiechnął się Ponar.

- Sam bym to załatwił, nie miałbym wyjścia.

- Aha. Musi pan zrozumieć, że to dla mnie ryzykowna sprawa. Jeśli coś pójdzie nie tak, mogę stracić pracę w policji, a nawet trafić za kratki.

- Ależ nic nie może pójść nie tak - zachnął się Kamil.

- Więc czego pan się obawia?

Kamil splótł palce, niczym do modlitwy. Przez chwilę ważył słowa: - Po prostu nie miałem nigdy do czynienia z konwojentami, więźniami i tak dalej.

- Więc nie wie pan, czym to jeść? - Ponar chwycił sztucę z zastawy i rozłożył, niczym wachlarz. - Pocieszę pana. To tacy sami ludzie jak my. Jak pan. Choć może używają mniejszej liczby łyżek i widelców.

- A miało być bez złośliwości - wytknął mu Kamil.

- Zróbmy więc tak. Podejdzie pan do więźniarki, tak jak się umówił, i wykona to, za co zapłacił. Ja będę czatował z boku i śledził rozwój wydarzeń. Jeśli zacznie się dziać coś podejrzanego lub niebezpiecznego, wkroczę do akcji. I to jako oficer policji.

- Dobry pomysł - ożywił się Kamil. - Przecież nikt się nie zorientuje, że się znamy.

- Otóż to.

Jeszcze raz omówili szczegóły planu. Ponar chciał jeszcze wspomnieć Kamilowi o pewnej ciekawostce, którą ze sobą przywiózł, ale nie zdążył. Kiedy sięgał po nią do kieszeni, Kord uznał ten gest za sygnał, że chce zapłacić. - Niech pan nawet nie próbuje! - zachnął się, po czym zamienił kilka słów z obsługą. Nie zbiło to Ponara z tropu, ale zaraz pomyślał, że ciekawostki mogą poczekać. Chwilę później, założywszy w szatni palta, wyszli na zewnątrz. Z przyjemnością odetchnęli rześkim, świeżym powietrzem. Ale już po chwili wypełnili je zapachem tytoniu.

- Po obiedzie pospać chwilkę, po kolacji przejść się milkę. Tak mawiała moja bona - zaciągnął się Kamil.

- Dobra recepta na zdrowie. Ale chyba nie dawaliście pańskiej opiekunce drzemać po obiedzie? - Ponar wypuścił fantazyjny kłęb dymu, a potem przystanął przed jakąś zakratowaną sklepową witryną, wyraźnie zaciekawiony.

- Co takiego pan wypatrzył w tym ciemnym kącie? Ja tu kompletnie nic nie widzę, nawet czubka własnego nosa. Strasznie ciemno - zdziwił się Kamil.

- Pst. O to właśnie chodzi, żeby przez chwilę nie było nas widać. Mam wrażenie, że ktoś nas śledzi. Niech no pan spojrzy na drugą stronę ulicy. Zaraz wejdzie w krąg światła pod latarnią podejrzana persona.

- Ależ chodzi tam parę osób. Nic w tym dziwnego.

- Ta jest szczególna, bo jeśli my zawrócimy, to i ona zawróci. Spróbujmy.

Tak też zrobili. I faktycznie w świetle latarni ukazał się jakiś łazęga w wytartym meloniku, a kiedy Kord i Ponar wyszli z mroku i ruszyli w przeciwnym kierunku, „Melonik” wyraźnie za nimi zawrócił.

- To pewnie jakiś złodziej. Ale ja jestem uzbrojony - Kamil pokazał Ponarowi swoją

pamiątkową laskę, oczywiście już z nowym ostrzem.

- Przecież nie wybrał się na nas dwóch sam. Pewnie gdzieś czai się cała banda, gotowa nas oskubać.

- To dobra restauracja...

- Więc i jedzą tam bogaci. Lepiej weźmy dorożkę. Nie trzeba nam dodatkowych przygód. Mamy swoją własną za parę godzin.

Jak powiedzieli, tak zrobili. Kwadrans później Kamil usiłował zasnąć, a za ścianą Ponar już głośno chrapał. Tak jak jadł, kiedy mógł, tak i potrafił zasnąć w każdej sytuacji, czasem nawet na stojąco.

Kord długo się męczył. Wszystko kłębiło mu się w głowie. W końcu, wyczerpany, faktycznie zasnął. Wydawało mu się, że tylko na moment, bo nagle z objęć Morfeusza wyrwał go Ponar. - Już czas - rzucił policjant. To była jawa, nie sen.

Po półgodzinie byli na miejscu.

Pod łukiem ledwie oświetlonej bramy stanął Kamil. Był wyraźnie zniecierpliwiony. Co chwilę nerwowo zerkał na zegarek, nie chowając go nawet do kieszonki kamizelki. Szarpał złotą dewizkę, jakby to z winy czasomierza minuty wlokły się tak niemiłosiernie.

Po drugiej stronie ulicy, w niewidocznym dla niego miejscu, stał Ponar. Ubrany skromnie, nie tak elegancko. Cicho grał na ustnej harmonijce jakąś tęskną melodię. Rozpoczęła się niczym szum wiatru, potem przeszła w gwizd nadjeżdżającego pociągu, aż jęła się roztopiać w rytmie kroczących stóp, stukocie podkutych kopyt, skrzypieniu powozu.

Kamil zatrzasnął przykrywkę zegarka i schował go, jakby czas oczekiwania wreszcie dobiegł końca. Drugą dłoń mocniej zacisnął na gałce eleganckiej, staromodnej laski. Gdy odpowiednio pomanipulował przy wieńczącym ją maszkaronie, mógł wysunąć ze środka, niczym z pochwy, wąskie ostrze szpady. Sprawdził teraz działanie mechanizmu, błyskając klingą w półmroku, a potem znów schował broń w lasce. Kliknięcie gałki zabezpieczyło ostrze. Rzeźbiony maszkaron ponownie objął nad nim pieczę.

Ponar przestał grać. Schował instrument do lewej kieszeni, obok książki Marka Twaina, a w prawej namacał rewolwer. „To nie Dziki Zachód”, pomyślał, ale mimo to trzymał dłoń na rękojeści broni.

Oczy obu niewidzących się nawzajem mężczyzn spoczęły na tym samym punkcie - na nadjeżdżającym bez pośpiechu powozie. Każdy z nich uważał, że wszystko zostało uzgodnione, ale mimo to jeden i drugi zrobił krok do tyłu, głębiej w mrok. Obaj czekali, aż cel się zbliży. Wtedy będą mieli dowód. Czarno na białym.

Po chwili Kamil wyszedł naprzeciw więźniarki, niespiesznie nadjeżdżającej pustą

ulicą. Uchylił cylindra. Woźnica czekał na ten sygnał. Zatrzymał pojazd w nieoświetlonym miejscu, otoczonym drzewami.

- Byliśmy umówieni - rzucił Kord.

Woźnica skinął głową i wskazał Kamilowi tył powozu. Tam szczęknęły drzwi i ze środka wyrzała głowa konwojenta. W ręce trzymał zapaloną lampę. Przekazał ją Kordowi i wyskoczył z powozu.

- Niech pan wsiada. Macie pięć minut - powiedział, a sam pochylił się nad tylną osią powozu, jakby sprawdzał, czy wszystko z nią w porządku. Potem zatrzaskał drzwi za Kordem.

Wewnątrz więźniarki Kamil oświetlił skulonych więźniów. Mojżesz i Gitla wyglądali na zdziwionych, ale przede wszystkim zmęczonych. „Oby nie zaczęli krzyczeć”, martwił się jeszcze parę godzin temu, wyobrażając sobie, jak to będzie. Ale oni nawet ust nie otworzyli.

- To normalna procedura przed zmianą miejsca osadzenia - skłamał Kord. Ujął skute ręce Rittera i oczyścił je wilgotną chustką. Potem wyciągnął nasączony atramentem kawałek materiału. Otarł nim czubki palców Rittera, a potem przycisnął opuszki do grubej kartki papieru, którą rozłożył na podłodze. Przyjrzał się odciskom, a potem spokojnie powtórzył całą procedurę z Gitłą. Ta chyba chciała o coś zapytać, ale mąż zgromił ją spojrzeniem.

- Już czas - rozległ się głos konwojenta na zewnątrz powozu.

- Już wychodzę - odparł Kamil. Wytarł Ritterom pofarbowane dłonie, a chustkę i kawałek materiału schował do kieszeni. Na koniec ostrożnie złożył papier. Spojrzał na więźniów. Chciał im powiedzieć, że sprawiedliwości stanie się zadość, ale wolał, żeby uznali jego wizytę za nic nieznaczącą. Bez zbędnych zatem gestów wyszedł na zewnątrz. Bez słowa pożegnał się z konwojentem i więźniarka bez zwłoki ruszyła w dalszą drogę.

Kamil odszukał wzrokiem czającego się w pobliżu Ponara.

- Po wszystkim - powiedział.

- Bez problemów?

- Pieniądze jednak mogą wszystko - skwitował Kamil. Przez myśl przemknął mu fragment o złotym cielcu z Gounoda. Kiedyś śpiewał go z rozpaczą, a teraz...

Mimo uspokajających słów Kamila Ponar czujnie rozejrzał się dokoła. Nic podejrzanego jednak nie wypatrzył. - Zaczyna padać. Spieszmy do hotelu, bo zamoknie nam papier z odbitkami - stwierdził tylko.

Żwawym krokiem ruszyli do swojego lokum. Gdy dotarli na miejsce, Kamil niemal wbiegł do wynajmowanego pokoju. Ponar zamarudził trochę na schodach, tymczasem Kord rzucił płaszcz i szykował się już do eksperymentalnych badań. Postawił na stole zapalone

lampy i rozłożył papier z odbitymi odciskami palców Ritterów. Ponar, kiedy pojawił się już w pokoju, wyciągnął z bagażu cenne zawiniątko. Rozerwał sznurek i wyciągnął z pakunku poszarpaną tkaninę. To była koszula Mnichówny.

Wzięli przygotowane przez Kamila lupy powiększające. Zaczęli przyglądać się na zmianę to odbitkom palców, to wytypowanym wcześniej na koszuli kilku plamom, z którymi mieli je porównać. Szczególnie ciekawa była u góry koszuli. Wyglądała, jakby faktycznie zostawił ją zakrwawiony palec mordercy. Ponar pokręcił głową. Trudno było tak od razu powiedzieć, czy są jakieś podobieństwa. - Tu mamy tkaninę, a tam papier - mruknął.

Kamil zadrżał. Przeszył go dreszcz. - Na miły Bóg, niech pan zamknie balkon. Strasznie tu wieje - poprosił nerwowo.

Ponar też to poczuł. Wprawdzie mruknął pod nosem, że nie on ten balkon otwierał, ale nie było o co się kłócić. Kiedy jednak podszedł w stronę drzwi balkonowych, znieruchomiał. Przed jego oczami błysnęła lufa rewolweru. Na balkonie stała jakaś postać!

- Cofnij się - rzuciła.

Ponar posłusznie zrobił trzy kroki do tyłu. Kord zerwał się na równe nogi, gotów użyć opartej o stół laski, ale napastnik pogroził mu bronią. - Bez żadnych sztuczek - ostrzegł. Teraz, w świetle lamp, Kord i Ponar go poznali. To był „Melonik”, który wcześniej śledził ich na ulicy.

Coś skrzypnęło za plecami Kamila. Myślał już, że to jakiś opryszek ukryty w szafie, ale nie. To były drzwi wejściowe. Pojawiła się w nich kolejna postać, i to dobrze Kordowi znana.

„Urzędas”.

- Witam! - zagadał przybysz, uśmiechnięty od ucha do ucha. A potem niemal serdecznym gestem wskazał trzymanym na muszce mężczyznom fotele wokół stołu. - Siadajcie, panowie.

„Melonik” znacząco skinął lufą trzymanej broni. Ponar i Kord posłusznie usiedli.

- A teraz, panie Kord, proszę wszystko szczerze opowiedzieć. Jak na spowiedzi - „Urzędas” zatarł ręce, nie wiadomo, z zimna czy z uciechy.

- Wybacz pan, ale nie rozumiem charakteru tej wizyty. Przecież wziął pan pieniądze... - zaczął Kamil.

- Zaraz pan zrozumie - przerwał „Urzędas” i wyjął z kieszeni własny rewolwer. - Przeszukaj obu panów - rozkazał pomagierowi. Ten schował swoją broń pod płaszcz i ze znużoną miną zajął się przetrząsaniem kieszeni Ponara i Korda.

Rzucił na stół książkę, harmonijkę, kilka zaplamionych chustek, trochę monet, zwitek

banknotów. Z rewolweru Ponara usunął naboje, czyniąc z broni bezużyteczny kawałek żelaza, i rzucił pod stół.

- Kim pan jest? Co pan robi? Przecież wie pan, że mam wpływy? - począł ciskać się Kamil.

- Nie takie jak my.

- Czyli kto?

- Czyli ci, którzy czuwają nad porządkiem w cesarstwie. Którzy mają wszystko na oku.

- A kto ma oko na was? - włączył się Ponar.

- To nie jest pytanie na miejscu - uciał „Urzędas”. - Wolałbym usłyszeć, co to za eksperyment, skoro już go wam umożliwiłem.

A widząc zdziwioną minę Kamila, dodał: - Tak, panie Kord. Pomagałem panu z premedytacją, i to z powodów ważniejszych niż pieniądze. Od kilku lat prowadzę pana akta. Są już dosyć grube. Na pewno kiedyś się przydadzą. Bezwzględna lojalność kogoś takiego jak pan bardzo się przyda naszemu aparatowi państwowemu. Nawet jeśli przyczyną pana oddania będzie strach, nie miłość.

Kord wręcz zdrętwiał, a „Urzędas” ciągnął myśl: - Chyba nie sądzi pan, że konwojenci daliby się tak po prostu przekupić? Musi pan mieć bardzo złe mniemanie o stanie naszego państwa. W zasadzie można by to uznać za działalność wywrotową - „Urzędas” uniósł wzrok w górę, jakby się rozmarzył.

Kamil zerknął na Ponara. W niezłe bagno wciągnął Bogu ducha winnego policjanta.

- Ale w tę działalność wywrotową nie chce mi się wierzyć - stwierdził tymczasem „Urzędas”. - Dodam, że konwojenci cały czas mieli na pana oko. W ogóle to nie było łatwo pozwolić na ten cały eksperyment, to chyba jasne? Przecież mógł pan próbować dokonać zamachu na tamtych żydków! Zrobiłby się niepotrzebny szum! Tak argumentowali moi zwierzchnicy. Ale ja ich przekonałem, że nie jest pan typem furiata i warto zaryzykować. „Może coś ciekawego odkrył? Albo przyda się nam jako informator? Warto mieć haki na patrycjusz”, tak przekonałem górę. Ale jeśli wy chcecie przekonać mnie, żeby was nie przymykać, to muszę się w końcu dowiedzieć, jaki był sens całej tej operacji? - „Urzędas” przekazał swój rewolwer „Melonikowi”, a sam zaczął przeglądać leżące na stole rzeczy.

Kamil znów zerknął na stół, a potem na Ponara. Wśród rzeczy, które wygrzebano z ich kieszeni, Kord nie dostrzegł listu od Ochorowicza załączonego do książki. „Dobrze, może chociaż Ernesta uda się utrzymać z dala od tego bagna”, pomyślał z pewną ulgą.

- Widzę, że spogląda pan na oficera Ponara. Jego sprawą zajmiemy się później. Może

się przecież okazać, że swoją inicjatywą zasłużył na awans, a nie na więzienie? - głos „Urzędasa” był niepokojąco słodki. - No więc zapraszam do spowiedzi, panie Kord.

Kamil przełknął ślinę. - To będzie długa i skomplikowana historia - powiedział.

- Czekamy - „Urzędas” oparł się obiema rękami o stół. - Co to za łańchmany i papierki? Jakie cuda pan tu wyczynia? - wskazał na bałagan na stole.

- Zaczniemy od tego, że postanowiłem pomóc naszemu sądownictwu przy sprawie Ritterów, z którą boryka się już tyle lat. Taka była moja intencja - wyjaśniał Kamil. „Urzędas” mu nie przerywał, tylko uważnie się weń wpatrywał, jakby miał moc odróżniania prawdy od kłamstwa.

- Nic jednak nie przychodziło mi do głowy, dopóki nie wpadła mi w ręce ta tutaj książka niejakiego Marka Twaina - kontynuował Kamil. W duchu cieszył się, że przy rozmowie jest i Ponar. To powinno im pomóc ustalić wspólną wersję, która nie wciągnie niepotrzebnie w tę aferę jeszcze kogoś, na przykład Ochorowicza. „Urzędas”, choć taki ponoć fachowiec, tego najwyraźniej nie wziął pod uwagę. - W książce tej opisana jest pewna zadziwiająca historia. Historia człowieka, którego rodzina stała się podczas wojny ofiarą napadu zwyrodniałych żołdaków. Zamordowano mu żonę i ukochaną córeczkę. Lecz jeden ze złoczyńców zostawił ślad: odbite na papierze krwawe odciski swoich palców. Nasz bohater słyszał wcześniej od pewnego starego Francuza, który przez trzydzieści lat był strażnikiem więziennym, że jedna rzecz nie zmienia się w człowieku od kolebki aż po grób: splecione linie na poduszeczce wielkiego palca. Ów Francuz brał taki odcisk od każdego więźnia, uznając go za pewniejszą metodę identyfikacji, niż na przykład zdjęcie. Idąc tym tropem, nasz bohater zaczął udawać chiromantę. Włókł się za wojskiem i wróżył kolejnym żołnierzom z kciuków. Malował każdemu poduszeczkę palca i odbijał na papierze, niby na potrzeby wróżby. W rzeczywistości porównywał uzyskany odcisk z tym, jaki zostawił złoczyńca. I tak w końcu odnalazł poszukiwanego mężczyznę - opowiadał Kamil, a „Urzędas” cierpliwie słuchał. Nawet „Melonik” był zainteresowany.

- Notabene, bohater owej opowieści nazywał się Ritter! Nie do wiary! RITTER! To było jak znak boży. Poczułem, jakby przez chmurę przebił się promień słońca i mnie oświecił! - z emfazą opowiadał Kamil. - Pomyślałem, że faktycznie, nasze palce zostawiają charakterystyczne i wyraźne ślady. I to nie tylko kciuki. Nawet na kieliszkach to widać, wystarczy dobrze się przyjrzeć. Sprawdziłem, że po umaczeniu na przykład w tuszu, palec zostawia na papierze wyraźny ślad. Z tkaninami jest gorzej, bo odcisk może się rozmazać, jeśli atramentu jest za dużo albo tkanina wilgotna. Potem pomyślałem o charakterze mordu na Mnichównie. Był krwawy, połączony z okaleczaniem i przenoszeniem zwłok. Jeśli Ritter czy

ktokolwiek inny ją zaszlachtował, to istotnie mógł zostawić krwawe odciski na koszuli ofiary. Wiedziałem, że taką znaleźiono. Miałem też nadzieję, że odcisków nie zniszczyła wilgoć, gdy ciało leżało w polu. Pozostało ustalić, gdzie jest ubranie Mnichówny. Początkowo sądziłem, że jako materiał dowodowy trafiło do sądu. Nic bardziej mylnego! Okazało się, że zdjęto je z ciała przed sekcją i gdzieś porzucono! Kiedy pofatygowałem się do Strzyżowa, dowiedziałem się, że temu niedbalstwu zaradził oficer Ponar. Na wszelki wypadek zabezpieczył rzeczy Mnichówny, w tym jej koszulę. Przyjrzelśmy się tej garderobie i wytypowaliśmy kilka plam wyglądających jak krwawe odciski palców. Mieliśmy szczęście! - tu Kamil nawet się uśmiechnął. - Za to pechowo skończyły się moje rozmowy z adwokatami Ritterów i Stochlińskiego w sprawie przeprowadzenia eksperymentu kryminalistycznego, jak to nazwałem. Nie chcieli pozwolić na nic, co w efekcie mogłoby wskazać na winę któregoś z ich klientów. Dlatego postanowiłem uzyskać odciski podejrzanych drogą nie do końca legalną. Ale tylko po to, żeby przedstawić je w sądzie jako dowód!

- O ile sąd by go uznał - osadził go „Urzędas”. - Nawet jeśli uwierzyłyby, że plamy są oryginalne i koszula też. Skąd jednak można mieć pewność, że istotnie nie ma osób o identycznych odciskach palców? Mamy zaufać jakiemuś powieściopisarzowi, który mógł sobie to wszystko wymyślić? Ktoś przeprowadzał takie badania? Jakiś naukowy autorytet, może jakiś profesor?

Kamil spuścił głowę. To był niebezpieczny wątek. Na całe szczęście „Urzędas” dalej upajał się swą przenikliwością: - Ileż milionów poddanych liczy nasze cesarstwo? To wszystko trzeba wziąć pod uwagę. Przyznaję jednak, jako osoba mająca do czynienia z przestępstwami, że pana pomysł z odciskami jest bardzo inspirujący - wziął książkę do ręki, a po chwili się skrzywił. - Jest po angielsku. Znają panowie ten język?

- Ja tak. Oficer Ponar nie. Napisałem mu tłumaczenie.

- Aha, jest tutaj - „Urzędas” wyjął z tomu złożoną kartkę. - Szkoda, panie Nikodemie.

„Nikodemie? W końcu poznałem imię Ponara. Chyba go nie lubi, skoro nigdy nie używa”, pomyślał Kord. Nawet go ten fakt rozbawił. Ale tylko na chwilę, bo sytuacja robiła się coraz bardziej napięta.

- Szkoda, panie Nikodemie - powtórzył tamten. - Bo to poniekąd dowód, że od początku był pan współnikiem pana Korda.

- Wspólnikiem? Mówi pan, jakbyśmy dokonali nie wiadomo jakiego przestępstwa! - skoczył Kord, ale „Melonik” usadził go ruchem rewolweru.

- A czyż przekupstwo nie jest przestępstwem? - zaripostował ironicznie „Urzędas”.

- Może i tak. Ale moje intencje były czyste. Chciałem przerwać szkodliwy krąg

niemożności w sprawie Ritterów. Niemożności i nienawiści. A pana Ponara w przekupstwo nie wciągałem - wyjaśniał gorączkowo Kamil.

- Doprawdy? Przecież był z panem przy więźniarce-”Urzędas” odwrócił się w stronę Ponara. - A może był pan tam, bo podejrzewał, że dojdzie do popełnienia przestępstwa? Może chciał pan ujawnić matactwa Korda i go aresztować post factum, a my tylko w tym przeszkodziliśmy? Możemy o tym porozmawiać, jeśli będzie pan odpowiednio rozsądny i rozmowny.

Kamil zbladł. Dla tych ludzi prawda zupełnie się nie liczyła. - Nie zerknie pan na to, co mamy? Proszę spojrzeć na ubranie Mnichówny - podał tajemnikowi lupę, ale tamten nie zwrócił nań uwagi. - Proszę porównać kształt tych cieniutkich linii na krwawych plamach po palcach mordercy z zebranymi przeze mnie odciskami Ritterów. Prawda, że raczej się nie zgadzają? Ale teraz trzeba powtórzyć tę operację ze Stochlińskim.

- Po pierwsze, nie jestem fachowcem od kryminalistyki, tylko od bezpieczeństwa cesarstwa. Tamto pozostawiam żandarmom i sądom. Po drugie, niech mi pan nie przerywa. Uniemożliwiasz pan odpowiedź Herr Ponarowi. A bardzo mnie ona ciekawi - i „Urzędas” wykrzywił się paskudnie.

Ponar zerwał się na równe nogi: - To jeszcze pogaduszka, spowiedź czy już przesłuchanie? Ten chłopak działał ze szczerego serca. Chciał rozwiązać zagadkę, która nurtuje i dzieli tysiące ludzi. A pan oczekujesz, że zacznę mataczyć, aby go ostatecznie pogrzyźć, a ocalić własną skórę? Mam powiedzieć, że śledziłem działania tego młodzieńca, by w odpowiednim momencie go aresztować razem z obciążającymi dowodami?

- Tak byłoby najstosowniej - odparł spokojnie „Urzędas”. Ponar zwrócił się w stronę Kamila. - Twoje dochodzenie nie ma sensu. Widzisz, ich nie obchodzi, jaka jest prawda. To zwierzchnicy tych mrocznych panów dyktują, co nią jest. A ci tutaj wykorzystają każdą okazję, żeby łamać ducha ludzi takich jak my. Nawet jeśli i bez tego łamania mają nas w garści.

- Mów do pana - po raz pierwszy odezwał się „Melonik” i wskazał na swojego szefa.

- Jeśli nie chcecie zeznawać tutaj, możemy przenieść naszą rozmowę w inne miejsce, bardziej skłaniające do refleksji - zagroził „Urzędas”.

- Oczywiście - skinął głową Ponar. A potem zniecka huknął w nos zaskoczonego „Melonika”. Coś zachrząściło, uderzony zagulgotał i padł jak długi na ziemię. Ze zwiotczalej dłoni wypadł mu rewolwer. Ponar kopnął go gdzieś daleko, pod szafę. „Urzędas” próbował zareagować, wyskoczył z fotela jak wystrzelony z procy. Ale Ponar chwycił już laskę Kamila i wyszarpnął z niej ukrytą szpadę. Jej sztych oparł na brodzie „Urzędasa”. Ten w

okamgnieniu zrobił się pąsowy, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Nadal lubi pan ostrą wymianę zdań? - rzucił Ponar. - A jak zabiję tu was obu, to co? Powiemy, że wzięliśmy was za opryszków. Włamaliście się tutaj, napadliście na nas. Musieliśmy się bronić.

„Nie!”, chciał krzyknąć Kamil, ale ugryzł się w język. Był pewny, że Ponar tylko grozi na wyrost.

„Urzędas” zagryzł wargę. - Nie odważycie się - spojrzał na Kamila. - Panie Kord, przy pańskiej pozycji taka afera to cywilne samobójstwo. Dla pana i rodziny.

- Słyszał pan. Włamaliście się tutaj, napadliście na nas. Musieliśmy się bronić - odparł Kamil cicho i groźnie. Tylko dlatego, że sprawiło mu satysfakcję obserwowanie, jak rośnie przerażenie „Urzędasa”.

Ale nie tylko on wystraszył się nie na żarty. Ciąg dalszy zapamiętał Kamil, jakby rozegrał się w spowolnionym tempie. Leżący na ziemi „Melonik” oprzytomniał i wykonał jakiś nieznaczny ruch. Kamil uświadomił sobie wtedy, jaki błąd popełnił Ponar. Przecież „Melonik” trzymał broń „Urzędasa”. To ją wykopał Ponar pod szafę. Ale oprócz niej zbir miał jeszcze własny rewolwer, który wcześniej schował za pazuchę. I teraz po niego sięgał! A Ponar miał tylko szpadę!

„Melonik” lekko się unióśł, a dłoń miał już pod płaszczem. Ponar zauważył ten ruch i zaczął się obracać w kierunku zbira. Ale reakcja policjanta była spóźniona. Za bardzo skupił się na „Urzędasie”, sądząc, że drugiego tajniaka już wyeliminował z gry. Za bardzo napawał się trzymaniem na ostrzu szpady oślizłego typu, który wcześniej próbował ich przesłuchiwać.

Ale to już się nie liczyło, bo Ponar pilnował niewłaściwego człowieka, a tymczasem „Melonik” trzymał w dłoni rewolwer. Za chwilę miał go wycelować. Czy Ponar mógłby dosięgnąć go szpadą i wytrącić broń? Nie, stał zbyt daleko! Kamil był pewny, że „Melonik” strzeli bez ostrzeżenia. Nie każe Ponarowi rzucić szpady, ale z prawdziwą przyjemnością naszpikuje go kulami. Będzie strzelał, żeby zabić!

Dlatego Kamil błyskawicznie podjął decyzję i natychmiast wprowadził ją w czyn. Rzucił się na Ponara i odciągnął na bok.

Zaraz potem, gdy padali na dywan, gruchnął strzał. I następny.

- Stój! - krzyknął „Urzędas”, ale równo z jego wrzaskiem huknął trzeci wystrzał. Lampa na stole pękła i płonąca nafta rozlała się po całym blacie.

- Jezu, nasze dowody - jęknął Kamil. Ale zerwać się, by je ratować, nie był w stanie. Ostry ból przeszył jego lewy bok. Kiedy sięgnął tam ręką, poczuł, jak coś lepkiego wciska się mu między palce.

- Nie ruszaj się, jesteś ranny - wygrzebał się spod niego Ponar. On najwyraźniej wyszedł ze strzelaniny bez szwanku.

- Co żeś narobił, świński bydlaku! - wrzasnął na swojego pomagiera „Urzędas”. - Kazałem ci przestać strzelać!

„Melonik” próbował zdusić ogień swoim płaszczem, ale bez skutku. Na dodatek zrobił to niezdarnie, bo wciąż trzymał w dłoni dymiący rewolwer. Potrącona płaszczem, przewróciła się i druga lampa. Struzka nafty spłynęła na dywan, a stamtąd płomień zaczęły wspinać się na firanki i narzutę na łóżku.

- Szeffie, co robimy? - spytał „Melonik”, wciąż nie wypuszczając z dłoni rewolweru, jakby miał zamiar nim ugasić ogień.

- Kord jest ranny! - krzyknął z drugiej strony stołu Ponar. - Trzeba go ratować! Dostał w bok!

- Spróbuj zatamować mu krew i choć do nas, póki możesz! - odkrzyknął „Urzędas” i wysapał wściekły do „Melonika”: - A ty odłóż ten cholerny rewolwer i wezwij pomoc.

Fagas przekazał broń „Urzędasowi” i wybiegł z pokoju.

- Ponar! Pomóż mu wstać i ruszajmy. Inaczej się podusimy. Szybko! - zakomenderował „Urzędas”.

W kłębach gryzącego dymu wytoczyli się z apartamentu na korytarz. Tam natrafili na nadbiegającą służbę i kilku hotelowych gości zaniepokojonych hałasami. „Urzędas” wcisnął cylinder głęboko na oczy i półgębkiem wyjaśniał coś kierownikowi piętra. Żywo gestykulował i powoływał się na jakiś papier, który wyciągnął z kieszeni. W tym samym czasie „Melonik” szeptał o czymś z żandarmem, który też się pojawił. Potem obaj popędzili Ponara, podtrzymującego ramieniem ślaniającego się Kamila. - Pospieszcie się, powóz już czeka - polecił „Melonik”.

Ponar wniósł Kamila do środka. Ostrożnie ułożył rannego na siedzisku. Zaraz za nim wgramolił się „Urzędas”.

- Do Świętego Łazarza - rzucił „Melonik”, siadając na koźle obok woźnicy.

- To miejsce dla obłąkanych! A przecież on jest ranny, potrzebuje pomocy lekarskiej - obruszył się Ponar.

- Wolisz, żebyśmy pojechali do więzienia? Tam też jest opieka medyczna - uciął „Urzędas”. - Zostajecie chwilowo zatrzymani. Co dalej będzie, zadecydują odpowiednie władze. Kord trafi do takiego szpitala, w którym będzie można go upilnować. Potem zajmujemy się tobą.

- Módl się pan, żeby nic mu się nie stało - Ponar wskazał na rannego.

- Milczeć! - warknął „Urzędas”. Wiedział, że oficer ma rację. Sfuszerowali akcję, narobili szkód, ranili człowieka z majątnej i wpływowej rodziny. Ludzie będą zadawać pytania. Są świadkowie. Zdawał sobie sprawę, że Ponar słusznie zarzuca mu niekompetencję, i to jeszcze bardziej go irytowało. - Lepiej trzymaj język za zębami, jeśli chcesz się wykaraskać z kłopotów. Pomogłeś w przestępstwie. Zaatakowałeś funkcjonariusza tajnej policji. Nie chciałbym znaleźć się w twojej skórze - „Urzędas” dalej odgrywał rolę twardego.

W odpowiedzi Ponar tylko prychnął. Z tym służbistą i brutalem nie było o czym rozmawiać. Skupił się więc na Kamilu. Oderwał kawałek koszuli i uszczelnił przesiąknięty krwią opatrunek na boku rannego. - Postaraj się zachować przytomność. Słyszysz mnie? Powiedz, co czujesz? Powiedz cokolwiek - nachylił się nad Kamilem, zapominając o wszystkich bezużytecznych teraz konwenansach.

- Nasze dowody diabli wzięli - wyjęczał Kamil. - Et Satan conduit le bal... - szepnął jeszcze i pochłonęła go ciemność.

Krzyż był biały, marmurowy. Złoty napis głosił tylko: „Kamil Aleksander Kord. Urodzony 1.12.1862. Zmarł 24.02.1886. De profundis clamavi ad te, Domine”.

Ksiądz odprawił już ceremonię. Nad trumną zamknęła się kopuła grobowca. Ostatni raz pożegnała się ze zmarłym rodzina i gromadka znajomych. Na pierwszym planie była matka w woalu zasłaniającym twarz. Szttywna, nieruchoma, jakby tragedia zamieniła ją w słup soli. Obok stała jej trupioblada siostra, ciotka Kamila, ze szklistymi, pustymi oczami. Był też Hubert z twarzą jak maska, gładko ogoloną, niczym wykutą z marmuru. Wokół jacyś zgoła bezimienni mężczyźni w żałobnej czerni. Wyróżniał się spośród nich Ponar, tym razem w mundurze. I Ochorowicz. Ten w parę dni postarzał się o dziesięć lat. Nie tylko posiwiiał jak gołąb, ale też zgarbił się i zapadł w sobie. Zdażył Kamila bardzo polubić, tak jak wcześniej jego ojca. Przeżył obu, choć się o to nie prosił. Pewnie myślał o tym, dlaczego nie było go przy Kamilu w najważniejszym momencie. Mógł mu wybić z głowy idiotyczne pomysły. A zamiast tego jeszcze podsycił jego fantazje książką z Ameryki. Przeklęta książka. Przeklęty zbieg okoliczności z Ritterami...

Starzy Ritterowie też byli na cmentarzu. Stali z boku. Modlili się po swojemu. Byli wolni. A po przeciwległej stronie cmentarnej alei snuli się „Urzędas” i „Melonik”. Też wolni. Nie wiadomo, czy przyszli składać kondolencje, czy czuwać nad tym, aby nikt ze zgromadzonych nie zakłócił uroczystości jakimś antypaństwowym słowem.

Ochorowicz i Ponar wymienili szeptem kilka słów. Ernest dyskretnie wskazał palcem Ritterów. - Dobrze, że chociaż ich udało się ocalić - powiedział.

- Lepsza połowa Korda tego dokonała - przyznał Ponar.

- Istotnie. Jego lepsza połowa. A jego gorsza... Kto by pomyślał? Nie wierzyłem, kiedy powiedziano mi, że na łożu śmierci przyznał się do zamordowania Mnichówny! Ale podał miejsce, w którym zakopał zwłoki wyciętego z jej łona płodu. Byłem przy tym, gdy znaleziono resztki tego dziecka.

- Ja myślałem o okolicznościach mordu. Kord wracał wtedy z podróży. Bez celu, bez zobowiązań, z dziwnymi zapiskami swego ojca.

- Znam je. On też był dziwakiem - pokiwał głową Ochorowicz.

- Ale, panie Erneście, czy medycyna sądowa w ogóle zna takie przypadki? Człowiek najpierw popełnia morderstwo, potem wypiera to z mózgu, a w końcu sam siebie ściga? Szuka dowodów, przypomina sobie wszystko...

- Owszem, kryminologia zna takie przypadki. Zna też skruchę na łożu śmierci, gdy prawie na niczym nam już nie zależy. Tylko na tym, by zamknąć za sobą drzwi - Ochorowiczowi załamał się głos.

Nim z jego starych oczu popłynęły łzy, wśród żałobników pojawiła się jeszcze jedna postać. Piękna jak anioł. Z kwiatem kamelii przy sukni. Tak, Kamil doczekał się i swojej Marii.

Stała nad grobem, a po chwili milczenia zaśpiewała dźwięcznie:

Le veau d'or est toujours debout;

On encense, sa puissance

D'un bout du monde a l'autre bout!

Pour feter l'infâme idole, Rois et peuples confondus, Au bruit sombre des écus
Dansent une ronde folle Autour de son piédestal! Et Satan conduit le bal!

- Et Satan conduit le bal! - zagrział chór żałobników. - Et Satan conduit le bal!!!

Część IV

Czyściec

I

25 lutego 1888, Kraków

Kamil otworzył oczy. Zapiekły go niemiłosierne od potu. Serce łomotało jak tłok lokomotywy. Rozejrzał się dookoła. To nie był grób, tylko szpitalna izolatka. Pogrzeb był tylko snem. Tylko koszmarnym snem!

Kamil spojrzął na swoje ręce i nogi, na klatkę piersiową i brzuch. Wtedy zauważył bandaż na żebrach. Bok bolał go po postrzale. Ale co tam rana. Najważniejsze, że żył!

- Nie umarłem... - wystękał, udręczony nocnym koszmarem. Zwlókł się z łóżka i podszedł do okna. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Ale okno było zakratowane i zamknięte. Na próżno zmagął się z uchwytem. Zaklął pod nosem. Całym luksusem, na jaki mógł sobie teraz pozwolić, był widok księżyca i gwiazd. I ten obraz na moment przyniósł mu ulgę. Przez chwilę o niczym innym nie pamiętał.

Kiedy znów zasypiał, nie czuł się już jak nowo narodzony. Uciekał w sen przed ciężarem ostatnich wydarzeń. Marzył tylko, żeby nie przyśnił mu się kolejny dręczący koszmar, z którego nie będzie w stanie się wybudzić.

- Kiedy przytrafiło ci się to nieszczęście, właśnie wracałem do Krakowa. Szkoda, że nie mogłem być wtedy z tobą - oczy Ochorowicza były smutne i zmęczone, choć usta próbowały się uśmiechać. Miał do siebie żal, że zostawił młodego Korda samego, z jego szaleńczą chęcią udowodnienia światu, na ile naprawdę go stać. No i z pragnieniem zrehabilitowania się w oczach Marii. A przecież to Ernest Ochorowicz, o czym Kord nie wiedział, nawiązał listowny kontakt z piękną warszawianką i przekonał ją, jak wielką wciąż pełni rolę w życiu Kamila. Ochorowicz miał nadzieję, że to młodym pomoże. Teraz nie wiedział, czy dobrze zrobił. „Stary wariat. Stary, a taki naiwny”, pomyślał o sobie.

- Odkryłeś inne rzeźby z ołtarza Stwosza? Te, których szukałeś? - Kamil odwzajemnił uśmiech starego.

- Nie i nie mówmy o tym. To zadanie na lata. Nie wiem, czy dożyję końca - Ochorowicz machnął ręką. - Teraz ty jesteś najważniejszy.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Byłeś nieprzytomny. Podczas przesłuchania Nikodem Ponar poprosił, żeby poinformować o twoim stanie najbliższe osoby. To znaczy rodzinę ze strony matki z Krakowa oraz mnie, jako przyjaciela nieżyjącego ojca. Policja oczywiście się zgodziła. W końcu nie jesteś pierwszym lepszym aresztantem. Żandarmi obudzili mnie rano i powiedzieli, co się stało. Przyznam, że omal nie zemdlałem.

- Wybacz - Kamil znów starał się uśmiechnąć.

- Nic nie szkodzi. Po prostu wróciłem do rzeczywistości ze świata swoich mrzonek. Popędziłem do twojej rodziny, ale nie wiedzieli nic więcej. Pewnie zajrzą do ciebie dziś po południu.

- A wiesz, co z Ponarem?

- Tak, przed przyjściem tutaj udało mi się zajrzeć także do niego. Towarzyszył mi twój cioteczny brat Hubert. Dużo się podczas tej wizyty dowiedzieliśmy, choć władze robiły pewne trudności. Chodziło o to, żebyście nie mogli uzgadniać zeznań. Ale Hubert okazał się bardzo przekonujący. Jak mówiłem, nie jesteś byle aresztantem.

- Ponar nie był ranny?

- Nie, zdrow jak ryba.

- Jest w areszcie, tak? Mnie też tam zabiorą?

- Parę godzin był tutaj, a potem zabrali go do aresztu. Czy ciebie też tam przewiozą, nie wiem. Póki co, trzymają cię tutaj ze względu na stan zdrowia. Masz izolatkę, obite blachą drzwi z judaszem, strażnika na korytarzu...

- Ponarowi grozi więzienie?

- Zapewne. Tak jak i tobie.

- Żałuję, że go w to wciągnąłem.

- A potem uratowałeś mu życie. Wie o tym. A ja wiem, że bardzo nie chciałeś nikogo wciągać w tę aferę - spojrzał na Kamila znacząco.

- Jeśli jeszcze go zobaczysz, powiedz, żeby do mnie napisał.

- Mówił mi, że zamierza to zrobić. Gdziekolwiek by nie był - pokiwał głową Ernest, a po chwili jakby wahania dodał: - Powiedział też, że masz się postarać, żeby nikt więcej już nie zginął.

- Nasze dowody spłonęły. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale nie dam im zamordować prawdy. Bez obaw.

- Robią to codziennie. I nawet o tym nie wiemy. Ale najważniejsze, żeby nie cierpieli niewinni, rozumiesz?

Za plecami Ochorowicza zgrzytnął otwierany wizjer. - Czas minął - burknął wartownik.

- Najważniejsze, żeby nie cierpieli niewinni - powtórzył Ernest i na pożegnanie uścisnął dłoń Kamila. Długo, jakby długo mieli się nie widzieć. - I pamiętaj, że za parę godzin odwiedzi cię brat - dodał z naciskiem.

Ochorowicz wyszedł. Skrzypnęły ciężkie drzwi. Kamil znów był sam. Otworzył dłoń,

którą ścisnął mu Ernest na pożegnanie. Tkwił w niej niewielki kartonik, formatu wizytówki. Zapisany maczkiem. Kamil ułożył się tak, żeby nie było widać, co dokładnie robi, i zaczął czytać. To było od Ponara!

„1. Zobaczyłem tu Stochlińskiego! Jest za ścianą, przy której śpiesz. Umiera. Zabrali go tutaj, żeby miał bardziej ludzką opiekę, niż w więzieniu.

2. Pamiętasz jak w restauracji sięgnąłem do kieszonki? Nie po pieniądze. Miałem tam list o śladach palców (wiesz od kogo, już go zjadłem, na wszelki wypadek) i kartonik, który teraz trzymasz. Spójrz z drugiej strony. To fotografia najwyraźniejszego odcisku z koszuli F.M. Zrobiłem ją przed przyjazdem (też na wszelki wypadek).

3. Wiesz, co zrobić. P.”

Kamil odwrócił kartonik. Zobaczył ślad, który uważał za już stracony. - Wielkie nieba! - szepnął.

Rozmyślania przerwała Kordowi wizyta pielęgniarki. Zmieniła mu opatrunek, mówiąc przy tym, że miał szczęście. Kula tylko drasnęła żebro i wyszła na zewnątrz. Stracił trochę krwi, ale nic mu nie będzie. Byłe w ranę nie wdało się zakażenie. Następna zmiana opatrunku miała być nazajutrz rano.

Kamil słuchał jej jednym uchem. Prześladowała go myśl, że od Stochlińskiego dzieli go tylko ściana. A gdyby znalazł okazję, by z nim porozmawiać? Może zdołałby coś z niego wycisnąć? Wszyscy zgadzali się, że Stochliński nie mówi całej prawdy. Coś ukrywa, resztę zapewne przeinacza. Dlaczego Franciszka Telesz zeznała, że to on był ojcem dziecka Mnichówny? Przecież nie pomieszało się jej w głowie i nie chciała chyba skazania niewinnego człowieka? „Żydzi ją przekupili”, jak powtarzali niektórzy? Takimi argumentami można obalić każde zeznanie!

Ale okazało się, że jest jeszcze szansa. Kamil już się załamał, pewien, że odciski z sukni przepadły. Ale dzięki przezorności Ponara przynajmniej jeden z nich się zachował, na fotografii. Rozwój techniki, nowe metody - to była przyszłość walki z przestępcami. Rodziła się już teraz, trzeba było tylko zadbać o jej rozwój.

Tylko dlaczego Ponar chciał przekazać mu to zdjęcie? Czy nie lepiej byłoby, gdyby kazał je przechować Ochorowiczowi w bezpiecznym miejscu? Po pierwsze, odciski można było chyba sprawdzić nawet po śmierci Stochlińskiego? A może potem się zmieniały, kurczyły? Tego Kord ani nikt inny jeszcze nie sprawdzał. Ale byłoby to dosyć dziwne. Po drugie, ta fotografia nie była potrzebna Kordowi do wzięcia odcisków od Stochlińskiego, nawet gdyby miał taką okazję. O co więc chodziło Ponarowi? „Wiesz, co zrobić”, napisał w liściku. Ale Kord nie wiedział.

Może chodziło o to, żeby wziąć odciski, porównać ze zdjęciem i - jeśli by się zgadzały - użyć ich jako środka nacisku, żeby Stochliński się przyznał? To miało sens. Ale Stochliński prawdopodobnie nie zdradził całej prawdy ani bijącym go policjantom, ani księdzu Drzewieckiemu, kiedy ten był u niego z wizytą. Nie skłoniła go do tego także wizja złagodzenia wyroku. Jak miałby zatem przekonać więźnia Kord? I jak miałby do niego dotrzeć? Przecież nie przebiję głową muru.

Tymczasem zza dzielącego go od prawdy muru zaczęły dobiegać do niego jakieś odgłosy. Kamil nadstawił ucha. Wydawało mu się, że słyszy słowa, jakby po łacinie. Czyżby u Stochlińskiego był ksiądz? Może nawet z ostatnim namaszczeniem?

Przyłożył ucho do ściany. Może Stochliński zechce się wypowiadać księdzu i coś wyjawi? Duchownego zobowiązywała tajemnica spowiedzi, ale podsłuchującego już nie. Popępiał tylko ciężki grzech. „Jestem w stanie to zaakceptować i z tym żyć”, pomyślał Kamil. Ale niebo nie wysłuchało jego prośb. Widać wyczerpało swój limit przysług, zmieniając lot kuli. Kamil nie zdołał uchwycić z głosów po drugiej stronie ściany niczego, poza jakimś mamrotaniem. Nie dawało się odróżnić słów. To nie miało sensu...

Niemal zasnął z uchem przy ścianie. Poderwał się na dźwięk otwieranych drzwi. - Wizyta - oznajmił strażnik. Do wnętrza celi wszedł Hubert. - Witaj - przywitał młodszego brata, niemal zagłuszony szczękiem zasuw w drzwiach.

- Ochorowicz powiedział, że przyjdiesz. Ale wcale się tego nie spodziewałem - Kamil popatrzył na brata. Konicki wyglądał zgoła dziwnie. Płaszcz miał ciężki, do kostek, jakby na zewnątrz panował tęgi mróz. Na głowie wielki cylinder, pod nosem mało elegancki zarost. - Zapuszczasz wąsy? - spytał Kord ze zdziwieniem.

- I tak, i nie - odpowiedział Hubert i odciągnął Kamila w bok, tam gdzie niemal nie sięgało już pole widzenia judasza. - Szybko, póki ciotka zajmuje strażnika rozmową. O mnie się nie martw - powiedział. Po czym oderwał spod nosa sztuczne wąsy i przykleił je Kamilowi. Potem zdjął cylinder i wcisnął na głowę krewniaka. Następnie dał mu swój długi, ciężki płaszcz. I szalik, który okręcił Kamilowi wokół szyi, żeby zamaskować wystającą spod płaszcza górę szpitalnej koszuli. Na koniec zdjął wysokie kamasze, sięgające za kostkę. Kiedy Kamil włożył to wszystko, wyglądał całkiem jak Hubert przed chwilą. A ten z kolei, z dwudniowym zarostem, w wygniecionych spodniach, w białej koszuli i ze sterzącym spod niej bandażem, niewiele się różnił od obecnego lokatora celi.

- Idź - rzucił Hubert. - Tu może być dla ciebie niebezpiecznie. Musisz uciekać z kraju. No, nie trać czasu - niemal pchnął go ku drzwiom, zza których wciąż dochodził donośny głos ciotki.

Kamil bez słowa schował do kieszeni fotografię z liścikiem od Ponara, a potem załomotał w drzwi. Przez ostatnich parę minut wydawał się być tylko bezwolną marionetką w rękach Huberta. W rzeczywistości w pełni wyczuł swoją wielką szansę. Był jak w transie.

Strażnik, wciąż zagadywany przez ciotkę, otworzył drzwi celi. - Nie chce z nami gadać, głupiec! - rzucił Kamil, nie wiadomo, czy do wartownika, czy do ciotki. Wyszedł na korytarz.

- Czyli jest tak, jak myślałam? - zajęczała matrona, nie dając Kamilowi znów dojść do słowa. Ten tylko kiwał głową. - Chodźmy zatem - powiedziała.

- Dziękuję wam za wsparcie. Zaskakujące, jak miłych ludzi można spotkać w takim szpitalu - skinęła głową strażnikowi, ku jego wielkiej uldze, jako że musiał wysłuchiwać jej gorzkich żali na siostrzeńca awanturnika i bon vivanta.

Wartownik nic nie spostrzegł. Zerknął dla porządku przez judasza, ale widząc w celi właściwego - jak mu się wydawało - człowieka na prycy, zatrzasnął wizjer i w spokoju ducha wrócił do drzemania na zydelku pod drzwiami.

Kamil był już na zewnątrz, razem z ciotką w powozie. Konie ruszyły z kopyta.

- Uff - sapnęła ciotka. - Udało się. Dobrze to obmyśliłam - i rzuciła się objąć Kamila, ale ten nie odwzajemnił jej serdeczności. - Dziękuję za wszystko, ale moja pamięć nie jest tak krótka. Nie prosiłem was o pomoc - powiedział oschle.

- A jednak z niej skorzystałeś.

- Nie po to, żeby uciekać z kraju.

- Chłopcze, przecież tak bardzo ryzykujemy. Miej wzgląd na nas. Albo chociaż na swoją biedną matkę! - zatrzęsła się ciotka. - Przecież, gdy rano odkryją...

- Odkryją i ukarzą Huberta. Ty nie ryzykujesz prawie nic.

- Tylko rodzinne interesy!

- Jak zwykle. Stracimy pieniądze. Czyli coś, czego akurat mamy aż nadto.

- Czyś ty ze szczętem oszalał? - załkała ciotka. - Co ty chcesz zrobić? My się pogrążamy, nie rozumiesz?

- Pogrążymy się, jeśli ucieknę. I Huberta nic nie uratuje, jeśli ucieknę - odparł Kamil zdecydowanym tonem. - Ale jeśli zrealizujemy mój plan, to wszystko może rozejść się po kościach, a ty będziesz jeszcze brylować na salonach.

- Co zamierzasz?

- Na początek muszę się przebrać.

25-26 lutego 1886, Kraków

Nie minęły dwie godziny, gdy w bramie szpitala pojawił się ksiądz. W kapeluszu na łysej głowie, przemoczony, w grubych zaparowanych okularach, wyglądał tak żałośnie, że litość brała. Odźwierny tylko pokręcił głową, a szpitalny urzędnik zapytał wprost, dlaczego duchowny przychodzi o tej porze. I po co? Przecież mają tu wizyty miejscowych księży.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie znam tutejszych zwyczajów. Jestem ksiądz Drzewiecki. Przyjechałem z daleka, z Lutczy. Macie tu mojego parafianina, Marcelego Stochlińskiego. Dowiedziałem się, że jest z nim bardzo źle i w każdej chwili może opuścić ten ziemski padół. Chciałem poczuwać przy nim w tych ostatnich chwilach - tłumaczył ksiądz.

Słuchający tego urzędnik wyraźnie zmiękł. - Czasem trudno o taką troskę nawet w przypadku porządnych ludzi, a tu ksiądz chce się pochylić nad takim grzesznikiem? - zdziwił się życzliwie.

- Od tego jestem - odparł duchowny.

- Ale przepisy to przepisy. Ja nawet mogę dobrodzieja wpuścić, ale i tak wartownik nie da wam wejść do celi.

- To porozmawiam przez drzwi.

- Pewnie zażąda pozwolenia od sądu...

- Proszę dać mi szansę. Wartownik winien być uprzedzony o mojej wizycie. Przed Marcelim już tylko Sąd Ostateczny.

Urzędnik jeszcze raz spojrzął na mizeraka i z cichym westchnięciem wpuścił go do środka: - Stochliński leży w izolatce na ostatnim piętrze. Proszę iść cały czas schodami w górę i nigdzie nie zbaczać. Inaczej zobaczy ksiądz rzeczy, których nie powinien widzieć.

Duchownemu ani to było w głowie. Żwawo podążył schodami na ostatnie piętro, gdzie zauważył strażnika czuwającego przy dwojgu obitych blachą drzwi. Znał go. Pamiętał jego tępą twarz, kiedy parę godzin temu stąd wychodził - nie w przebraniu księdza, a swego ciotecznego brata.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - przywitał się ogolony na łyso i schowany za okularami Kamil ksiądz.

- Pochwalony - odparł wartownik, przyglądając się żalostnej postaci w przemoczonej sutannie i ciekącym kapeluszu.

- Synu, muszę porozmawiać z moim parafianinem Marcelim Stochlińskim. Z tego, co wiem, moja wizyta miała być zapowiedziana. Niestety, nie zdążyłem wcześniej - skłamał.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł wartownik. - Zresztą o tej porze to już za późno.

- Ależ, synu, nie ma chwili czasu do stracenia. Przecież Marceli w każdej chwili może stanąć przed obliczem Pańskim. Wiecie o tym?

Strażnik niechętnie przytaknął.

- Na waszej szyi widzę medalik - kontynuował rzekomy ksiądz. - Czyli rodzice wpoili wam zasady chrześcijańskiego miłosierdzia.

- Dla mnie liczą się rozkazy - mruknął wartownik. - Niech ksiądz zrozumie.

- Rozumiem, jako lojalny poddany cesarza, ale nie jako duszpasterz. Toż stawiacie na szali nie życie doczesne, a duszę Marcelego Stochlińskiego - uniósł się Kamil, nerwowo poprawiając okulary. - To wielka odpowiedzialność, którą bierzecie na siebie. A tu i o waszą duszę idzie! Wartownik był najwyraźniej zmieszany.

- Proszę mnie obszukać, jeśli wola. Nie mam nic, prócz tego modlitewnika - Kamil wyjął zza pazuchy książeczkę.

Strażnik spoglądał na niego, jakby się zastanawiał.

- Przecież z tej celi nie ma innego wyjścia, prawda? - argumentował Kamil. - Rozumiem, że rozkaz to rozkaz. Ale nie jesteśmy w więzieniu, tylko w szpitalu. A to przecież różnica, prawda?

- Dobrze, niech już ksiądz wejdzie - mruknął wartownik. - I obejdzie się bez rewizji.

Bardzo to Kamilowi odpowiadało. Przecież strażnik mógłby wymacać bandaż na ranie. A wtedy na pewno nabrałby podejrzeń.

- Niech ksiądz weźmie świecę. Ile to potrwa?

- Jestem gotów czuwać przy nim tyle, ile trzeba.

Kamil zapalił świecę. Wartownik wpuścił go do izolatki. Potem skrzypnęły zamykane drzwi, a Kord, postąpiwszy krok, zobaczył w słabym świetle pryczę z dogorywającym więźniem.

Przed chwilą w korytarzu Kamil odgrywał komedię rodem z awanturycznej powieści, dziecinną, aktorską gierkę. Teraz znalazł się w zupełnie innym świecie, w którym naprawdę czuło się obecność śmierci. Znał to uczucie. Sam niedawno się o nią otarł.

W tej mrocznej celi umierał człowiek. Nie było dlań nadziei, wycieńczone ciało w końcu musiało się poddać. Kamil miał nad nim przewagę. Chciał mu wydrzeć prawdę.

- Ej, Stochliński, słyszysz mnie? - oświetlił lampą twarz leżącego mężczyzny. Ten zamrugał i pokiwał głową.

- To teraz mów całą prawdę. Póki nie jest za późno. I tak wyjdzie na jaw, wcześniej czy później.

- Miałem już księdza - odpowiedział więzień.

- Na ubraniu Franciszki Mnich znaleźliśmy odciski palców tego, co ją zabił - podsunął Stochlińskiemu pod nos przyniesioną fotografię, choć niewiele było widać. Ale liczył na efekt psychologiczny. - Wiecie, że można po nich rozpoznać winnego? - Kamil chwycił dłoń Stochlińskiego, a ten raptownie ją wyrwał.

- Nie - powiedział.

- Sprawdziłem już odciski Ritterów. Nie pasowały - Kamil brnął dalej w swych półprawdach i pobożnych życzeniach. Tak, odciski można było rozpoznać. Ale czy można było być pewnym, że nie ma podobnych, tego nauka jeszcze nie stwierdziła. Owszem, odciski Ritterów nie pasowały, ale mogła to być wina zamazanego odbicia na materiale. W końcu, ile miał czasu na te porównanie? Wierzył, że prawda i tak wyjdzie na jaw. Ale kiedy? Może dopiero na Sądzie Ostatecznym, o ile Stochliński w takowy wierzył.

- Można by też sprawdzić wasze - znów chwycił dłonie umierającego i przytrzymał. To już była przemoc. Oby tylko Stochliński nie zaczął krzyczeć.

- Myślisz, że się przestraszę i powiem, co chcesz? - odparł trzeźwym, wyraźnym głosem umierający.

Kamil jeszcze raz pokazał mu fotografię z odciskiem palca. - Powtarzam, to znak z koszuli Mnichówny. Jeśli jest wasz, to znaczy, żeś kłamał. W końcu mówiłeś, żeś nie uczestniczył w samym mordzie i wynoszeniu ciała!

Stochliński odwrócił twarz. - Dlaczego mnie ksiądz męczy? Powiedziałem już wszystko. I coś w ogóle za jeden?

- Tak jak i wy, jestem w pułapce - odparł Kamil. - I nie dam wam spokojnie umrzeć, póki nie dowiem się całej prawdy.

- Nie spieszno mi na tamten świat - burknął Stochliński. Wydawało się, że im dłużej Kamil z nim rozmawiał, tym chory robił się bardziej ożywiony, wręcz zdrowszy.

- Słyszałem, że był u was ksiądz z ostatnim namaszczeniem. To dużo czasu już wam chyba nie zostało - syknął Kamil.

- Tak czy owak, miło mieć towarzystwo, gdy się zdycha - skwitował spokojnie Stochliński.

Kamil pomyślał, że dalsze przekonywanie już nie ma sensu. Powinien zdjąć odciski na siłę albo poczekać z tym, aż więzień umrze - i tyle. Ale to byłby połowiczny sukces. Nie po to tutaj przyszedł.

- Znaliście Mnichównę? - zadał oczywiste pytanie. - Ja znam opis tylko ze śledztwa. Oskalpowana głowa z dziurą w nagiej czaszce, z której wycieka mózg. Ciało gnijące. Zamiast

ud sterczące kości bez krztyny mięsa.

- Dość - stęknął Stochliński, ale Kamil kontynuował: - Przez resztki skóry na plecach wyziera kręgosłup, jak wielki grzebień. Na brzuchu wycięta rana, którą wyrwano z ciała dziecko. Poniżej wyżarta dziura. Wokół butwiejące resztki ubrania, przemieszane z gnijącymi wnętrznościami...

- Dość - powtórzył umierający. - Jestem tylko prostym człowiekiem ze wsi. I chcę jak prosty człowiek umrzeć - głos, znów cichy, teraz mu się załamał.

- Pozostawiacie po sobie niezalutwioną sprawę.

- Przecież wszystko już im mówiłem. I tak o mnie we wsi gadają.

- Ja nie będę niczego rozpowiadał na lewo i prawo, jaka by nie była prawda. Nie chcę tylko, by cierpieli niewinni - z naciskiem rzekł Kamil.

- Już o tym mówiłem z księdzem.

- A ksiądz nie może tego wyznać przed sądem. Ja nie jestem księdzem, tylko człowiekiem przebranym w sutannę.

- Moje słowo i tak dla sądu nic nie znaczy. Zrobi, jak będzie chciał.

Płomień świecy nagle drgnął, jakby przez pomieszczenie przeszedł zimny podmuch od okna do drzwi. Kamil osłonił światło. Spojrzał w gasnące oczy Stochlińskiego. - Możecie ocalić czyjeś życie. Bo wasze już nie w waszej ręce.

- Czyli myślisz pan, że jestem winny?

- Nie wiem, póki nie usłyszę prawdy.

- Wy, miastowi, nigdy nie jesteście szczerzy.

- Więc dobrze - odparł Kamil. - Tak. Sądzę, że chcecie zrzucić winę na Ritterów. Ale tyle razy zmienialiście już zeznania, że wszyscy się w tym pogubili. Niektórym pasuje, żeby skazać Żydów, a nie katolika, choćby był nic niewartym pijusem. Przyznaję, że ten znak palca, nawet gdyby się potwierdził, nie przekona wszystkich. Może, gdyby sąd dowiedział się, gdzie podział się płód. Gdyby pojawili się nowi świadkowie, nowe zeznania, odsłaniające prawdę.

- A na co panu prawda? Tak szczerze - przerwał Stochliński.

Kamil myślał chwilę, a potem odparł: - Chcę oczyścić swoje imię i innych, których być może niesłusznie oskarżałem. Tylko wtedy będę mógł znów normalnie żyć.

- I myślisz pan, że to, co mogę wyznać, pomoże panu żyć?

- Owszem.

- Nie wierzę... - Stochliński zakasłał. - Posiedzi pan ze mną? Jak mówiłem, prosty ze mnie chłop. Nie ma nic gorszego, niż umrzeć w samotności, w ciemności. Mam tyle dzieci,

mam żonę, a umieram zupełnie sam... - Stochliński teraz już wręcz zaniósł się kaszlem. - Sam. Zupełnie. Gdzie moi synowie...?

Kamil utkwiał wzrok w płomieniu prawie już wypalanej świecy. - Dobrze, posiedzę. Do samego końca. Ile będzie trzeba - obiecał.

- Bo myślicie, że zapłacę za ten czas prawdą? - drażył więzień.

- To wasz czas. Zrobicie z nim, co zechcecie - Kamil zwiesił głowę.

Stochliński utkwiał w nim wzrok. Kiedy Kamil znów się wyprostował, ich spojrzenia się spotkały. Kord widział, jak oczy umierającego gasną. Chwycił go za rękę. Inaczej niż wtedy, gdy chciał zdjąć odciski palców. Przez myśl przeszło mu coś niewiarygodnego. Poczł przez chwilę, jakby... żegnał własnego ojca. Już dorosły, świadomy straty. Tu, w takim miejscu...

Stochliński zamknął powieki. Oddychał wolno, coraz wolniej.

Za oknem panowały nieprzeniknione ciemności. Za chwilę miała też zgasnąć świeczka. Wtedy Stochliński nagle otworzył oczy. - Zobaczyłem ją - szepnął słabym głosem. - I powiem ci coś, synku.

Kamil pochylił się nad konającym, a ten wyszeptał mu coś do ucha...

Na zewnątrz celi, na korytarzu, wartownik niemal już zasnął, gdy obudziło go bębnienie w drzwi. Na początku pomyślał, że to Stochliński cudownie ozdrowiał. Potem przypomniał sobie o księdzu, którego wpuścił do celi. Przez wizjer nic nie mógł zobaczyć. Ostrożnie odemknął drzwi. Podniósł lampę na wysokość twarzy. Zobaczył bladego mężczyznę w sutannie.

- Stochliński? - spytał wartownik.

- Właśnie zmarł - odparł Kord drżącym głosem. Wartownik wszedł do środka, z kluczem w jednej dłoni i lampą w drugiej. Ujrzał na pryczy nieruchome ciało. Pochylił się nad nim, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście już po wszystkim. - Nie dycha - mruknął strażnik i pokiwał z zadumą głową. - To ksiądz wiele mu nie pomógł.

- Nie jestem księdzem. Nazywam się Kord. Jestem pensjonariuszem z celi obok - oznajmił Kamil oniemiałemu strażnikowi. - I chcę co rychlej rozmawiać z waszym przełożonym. Więc lepiej się ruszcie, jeśli chcecie ocalić własną skórę.

Przeczuwając kłopoty, wartownik wezwał nie tylko oficera z pobliskiego posterunku, ale i kilku tęgich pielęgniarzy. Dopiero wtedy zajrzał do celi obok. Wbrew temu, co usłyszał od dziwnego duchownego, znalazł wewnątrz chorego. Czyżby księdzu pomieszało się w głowie?

- Ty jesteś Kord? - zapytał strażnik zaspanego mężczyznę.

- Powiedz mu prawdę - rozległ się spokojny głos Kamila. - Zaufaj mi, proszę.

- Jestem Hubert Konicki, krewny Kamila Korda i jego chwilowy zastępca w tym ośrodku - przyznał indagowany.

Kiedy wartownik próbował połapać się w tym, co zaszło, na miejsce przybył wezwany oficer. Rozejrzał się pytająco.

- Dysponuję nowymi dowodami w procesie Ritterów. Chcę jak najszybciej przedstawić je władzom sądowniczym - oświadczył mu Kamil.

3

Luty - marzec 1886, Kraków, Wiedeń, Luceza

Kord musiał razem z bratem wrócić do celi, do czasu dalszych wyjaśnień. Huberta niebawem warunkowo wypuszczono. Dał jedynie słowo szlachcica, że będzie milczał o niekompetencji, jaką popisała się policja. Było to rozwiązanie zadowalające obie strony. W końcu prawdziwy Kord sam się odnalazł w szpitalu. Sprawie nie można było ukręcić łba całkiem, ale wyciszyć - jak najbardziej.

Tym bardziej, że powiadomione przez rodzinę Korda wpływowe czynniki zdołały załatwić, by Kamil stanął jako świadek przed Najwyższym Trybunałem w Wiedniu. Przetransportowano go do stolicy pod eskortą, aby tym razem już nic się nie przytrafiło. Nie zobaczył ani Dunaju, ani cudów Wiednia. Powozy, którymi go wożono, nie miały okien. W przedziale pociągu, którym jechał, zasłony były opuszczone. Wartownicy nawet na chwilę go nie odstępowali.

- Gadaj, co wiesz! - krzyczał przesłuchujący, zanurzając głowę więźnia w beczce z wodą. Kiedy skuty wierzgał, obrywał od drugiego przesłuchującego kijem po nerkach i stopach. - Gadaj!

Ponar niemal stracił przytomność, ale nic nie powiedział. Rzucili jego bezładne ciało na ziemię. Jak łachman.

- I to gównu nosiło kiedyś mundur - prychnął jeden z obrzydzeniem, nim wywlekli go z katowni. Gdy wciągali aresztanta po schodach, głowa Ponara miarowo uderzała o kolejne kamienne stopnie. „Kto rznął? kto trzymał? kto bił?”, przypomniały mu się zeznania Stochlińskiego. „Kto rznął? kto trzymał? kto bił?”, „Gadaj, co wiesz!”, „Gadaj!”, „I to gównu nosiło kiedyś mundur”, wystukiwała głowa.

Kiedy Kamil stanął przed Trybunałem, jego członkowie zasiadali na drugim końcu wielkiej, olśniewającej przepychem sali. Ledwie widział ich twarze. Byli jak bogowie siedzący w chmurach i krytycznie spoglądający na grzesznych śmiertelników. Po wysłuchaniu, co miał do powiedzenia i pokazania Kord, sędziowie bez słowa odesłali go do Krakowa. Eskorta, powóz, pociąg - wszystko się powtórzyło, tylko w przeciwnym kierunku.

Po dwóch dniach Kamila wypuszczono na wolność. Za wszystkie swoje przewiny został ukarany jedynie wysoką grzywną, tak jak i Hubert. Dlaczego sąd wykazał taką łaskawość? Wkrótce było to jasne.

Otóż decyzją Najwyższego Trybunału w Wiedniu 3 marca 1886 roku Ritterowie odzyskali wolność. Oficjalne uzasadnienie głosiło, że nie zostały ostatecznie rozwiane

wątpliwości dotyczące przebiegu obdukcji Mníchówny i ostatecznych jej wyników. Nieścisłości w wyjaśnieniach Maydla i Bielińskiego były zbyt poważne.

Kamil nigdy się nie dowiedział, w jakim stopniu na decyzję Sądu Najwyższego wpłynęły jego zeznania. Może w ogóle się nie liczyły? Kto wie...

W sprawie Ritterów interweniowało wiele osób. Krążyły kolejne przypuszczenia, plotki i półprawdy. Mówiono, że sprawą zainteresował się sam cesarz Franciszek Józef. Że dowiedział się o wszystkim za sprawą rabinów Brojde ze Lwowa i Szmejkesa z Przemyśla. Że córki Ritterów padły do stóp władcy w czasie audiencji, a on pocieszał je, żeby się nie martwiły.

Czy można było temu wierzyć? Jednocześnie krążyły plotki, że ktoś na łożu śmierci przyznał się do winy. I wyznał, że chciał zrobić przysługę znajomemu księdzu, z którym Mníchówna zaszła w ciążę. Czy to było kłamstwo, prawda czy echo afery z Kordem - więźniem i „księdzem”?

Kamil dochodził do siebie w mieszkaniu Ochorowicza. Tam czuł się najlepiej. Raz odwiedził go Hubert. Konicki sądził, że afera z Ritterami znów ich zbliży. Mylił się. Kord był mu jednak wdzięczny za jego pomoc.

- Przykro mi, że nie sprawdziłem się jako starszy brat. Przynajmniej... nie zawsze? - zawiesił głos Hubert. Spytał z nadzieją, ale Kamil wcale mu jej nie dał.

A gdzieś w Lutczy mały żydowski chłopiec po długiej rozmowie z Bogiem zrezygnował ze zgłębiania kabały i budowania armii golemów, które ochroniłyby jego naród. Przecież ujął się za jego ziomkami sam cesarz! Cóż mogło im zagrozić? Chłopiec radośnie pobiegł na powitanie Mojżesza i Gitli. Ritterowie znów byli w komplecie. Ich dziewczęta pod wpływem tego, co przeżyły, bardzo dojrzały, lecz teraz płakały ze szczęścia jak dzieci.

Sąsiedzi ze szczęścia nie płakali. Ale przynajmniej niektórzy znów zaczęli kupować u Moska, jak dawniej.

Lato 1886, Wiedeń

Kord siedział nad pięknym, modrym Dunajem i pisał. List do matki. List do Ernesta. List do brata i ciotki...

Tym ostatnim jeszcze raz podziękował i wyraził nadzieję, że nie naraził na szwank ani ich zdrowia, ani pozycji. Doceniał ich pomoc, ale dzieliły ich różnice w poglądach tak duże, że postanowił spotykać się z nimi tylko przy szczególnych okazjach.

Do Ochorowicza napisał, że zamierza rozwiązać zagadkę Szczerbca, którą jego ojciec ledwie nadgryzł. Kto wymyślił zaklęcie: „Żarliwą wiarę budzi Bóg Wszechmocny i Wszechwiedzący. Temu, kto te imiona Boga będzie ze sobą nosić, żadne niebezpieczeństwo nie zagrozi”? Czy ta sama osoba, która wykonała miecz? Może umieszczony na nim inicjał „CN” coś wyjaśniał? Chciał obejrzeć zabytek na własne oczy. Ponoć był teraz nie u Demidowów, a w Petersburgu. Kamil chciał porozmawiać z Żydami kabalistami. Zapytać ich, czy znają podobne egzemplarze broni. I dlaczego, ich zdaniem, taki napis znalazł się na mieczu koronacyjnym polskich królów? Dla którego władcy go wykuto? Pytań było multum, a Kamil chciał ustalić fakty. Marzył, że przynajmniej w tych naukowych poszukiwaniach nie przeszkodzi mu polityka i zabobony.

Do matki napisał zaś, że spędza najwspanialsze możliwe wakacje - w Wiedniu z Marią. Najpierw znów zaczęli do siebie pisać. Potem postanowili zaryzykować i wyjechać w tym samym czasie w to samo miejsce. Maria w towarzystwie ojca; Kamil z bagażem swoich niedawnych doświadczeń. Czy coś z tego będzie? Póki co, uwielbiał rozmawiać z Marią lub choćby jej słuchać. Mógł godzinami obserwować, jak się porusza. Czy ona cokolwiek w nim lubiła? Tego nie wiedział.

„Jesteśmy ewenementem. Jesteśmy trochę wybrykami natury, trochę odrzuconymi. Oboje pochodzimy z takich rodzin, że możemy sobie pozwolić na małżeństwo nie z rozsądku, a z miłości. Więc warto jej szukać”, myślał Kord.

- Kamilu - przerwała mu rozmyślenia Maria. - Chcielibyśmy zapytać cię z ojcem o pewną sprawę. Ale możesz odmówić, jeśli to tajemnica - zawahała się. Nigdy nie brakowało jej śmiałości, ale wiedziała też, że nie należy stawiać bliskich przed takimi dylematami tylko z powodu własnej nieposkromionej ciekawości.

- O co chcecie zapytać?

- O rozwiązanie sprawy Ritterów. Czy byli winni zabójstwa, lecz wypuszczono ich, by nie krzewić antyżydowskich zabobonów i żeby nie doszło do pogromów, jak w Rosji? Czy

zamordowano prawdę, żeby ocalić niewinnych? Czy też Ritterowie byli całkiem bez winy?

Maria chwyciła Kamila za dłoń i pytała dalej: - Co takiego powiedział Stochliński w celi? Jeśli nie chcesz, to oczywiście nie musisz nam tego wyjawiać.

Kamil popatrzył jej w oczy.

- Wybaczcie mi - szepnął. I odwrócił wzrok na fale Dunaju.

Epilog

listopad 1888, Londyn

Któregoś dnia przyszedł do Kamila list z Anglii. Nadawcą był niejaki Mark Penniodo. „Pierwsze słyszę. Znasz go?”, zapytała zdziwiona Maria. Penniodo pisał dobrze po polsku, mimo włoskiego nazwiska: „Szanowny Panie Kamilu. Żywię niepłonną nadzieję, że jeszcze mnie Pan pamięta. Mieliśmy kiedyś okazję wspólnie eksperymentować z fotografią. Jednak Panu lepiej się powiodło. Ja musiałem zmienić nie tylko zawód, ale i miejsce zamieszkania. Cieszę się, że dopiął Pan swego. Jeśli chciałby Pan odświeżyć naszą znajomość, załączam londyński adres mojej rodziny. Z poważaniem, Mark Penniodo”.

„Żartowniś”, pomyślał Kamil. Zagadkowy „Mark Penniodo” to oczywiście anagram imienia i nazwiska „Nikodem Ponar”. Groziło mu więzienie, ale przy takim, a nie innym obrocie sprawy Ritterów cesarsko-królewski sąd i jego potraktował stosunkowo łagodnie. Tak przynajmniej Kamil słyszał.

Tyle że Ponar zniknął. Ochorowicz dowiedział się, że wszystko mu zabrano. Posadę, pozycję, szacunek kolegów. A w obliczu szykan ze strony „znajomych” z wiadomych służb postanowił wyemigrować. Gdzie podziewał się Ponar? To od miesięcy nurtujące Kamila pytanie wreszcie zyskało konkretną odpowiedź. Kord postanowił wybrać się do niego do Londynu.

Podróżując na Wyspy, zahaczył o Paryż. Tam dowiedział się, jakie nowe choroby podejrzewa u siebie matka. Usłyszał, jak godną zaufania kobietą jest jego ciotka (a jednak!). Dostał też burę, że wciąż nie doczekał się z żoną dzieci.

Puszczał to mimo uszu. Za to poważnie zaniepokoiły go wieści z Londynu. Wyglądało na to, że znów o czyimś życiu lub śmierci miał zdecydować przypadek. Znów się zaczynało...

Wśród londyńskich zaułków szalał zwyrodnialec nazwany „mordercą z Whitechapel”. Atakował kobiety lekkiego prowadzenia, mordował je, wycinał wewnętrzne narządy. Ktoś w brytyjskiej prasie przypomniał, że całkiem podobny przypadek miał miejsce parę lat wcześniej w galicyjskiej miejscowości Lutcza. I że o morderstwo oskarżono wówczas pewnego Żyda. Prasa londyńska chętnie odpowiedzialnością za obecne bestialstwa obciążyłaby emigrantów ze wschodu. Żyd był idealnym kozłem ofiarnym. Domniemany morderca miał już nawet swój przydomek: „Kuba Rozpruwacz”, czyli „Jack the Ripper”. Sam go wymyślił czy ktoś mu pomógł? Może ktoś, kto słyszał o Mojżeszu „Icchoku” Ritterze?

Ritter - Ripper. Taka prawda zadowoliłaby i londyńczyków, i ich policję. Ważne, żeby zwyrodnialcem okazał się ktoś obcy.

Z kolei sami Żydzi też gubili się w domysłach. Niektórzy pytali nawet, czy to nie morduje dybuk, jakiś błakający się, upiorny duch...

Uprzedzenia i zabobony. Kamil już to znał. Jechał do Londynu odwiedzić dawno niewidzianego znajomego, a towarzyszyły mu widma z przeszłości. „Kiedy ten zaklęty krąg zostanie przerwany?”, pomyślał. „Może za pięćdziesiąt lat, jeśli tego dożyję, będzie lepiej? Może warto dożyć, żeby się przekonać?”

Był początek listopada 1888 roku.

Od Autora

W tej historii najbardziej niewiarygodne rzeczy są prawdziwe: od serii szytych grubymi nićmi procesów o mord rytualny, przez antysemitkę retorykę Matejki, po hebrajskie zaklęcie na Szczerbcu. Fikcją literacką są zaś perypetie głównych bohaterów - ludzi w miarę normalnych, starających się rozwikłać kryminalną zagadkę.

Ta powieść nigdy by nie powstała, gdyby nie zapal historyków (część z nich umieszczam w przypisach) zajmujących się tymi zapomnianymi sprawami, oraz talent literacki autorów powieści kryminalnych, którzy od dzieciństwa umilali mi czas - ich nazwiska pozostawiam domyślności Czytelników.

A nie tylko zainteresowanym Przypadkiem Ritterów polecam wycieczkę w piękne i pełne skarbów okolice Lutczy, Bliznego, Starej Wsi, Brzozowa, Haczowa...